

1997 867 chr. Arda. 4

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/114

1957



• «La Culture» • Revue mensuelle •

W. SUKIENNICKI : **„KOMUNIZM” SOWIECKI**

J. MIEROSZEWSKI : **CZY KONIEC
„ŚWIĘTEGO AMERYKAŃSKIEGO
CESARSTWA NIEMIECKIEGO ? ”**

E. GIERATOWA : **NOWIZNA**

SPIS RZECZY

Wiktor Sukiennicki :	„Komunizm” sowiecki	3
Wit Tarnawski -		
Stanisław Vincenz :	Czy Conrad był antyrosyjski?	19
Tadeusz Felsztyn :	Zastosowanie izolopów w przemyśle	35



Marian Pankowski :	Na powrót Polaków z Rosji Sowiec- kiej	45
Eugeniusz Gruodis :	Wiersze	47
Mac Goodman :	Ogień i pieśń	49
Mac Goodman :	Otwierały się drzwi na oścież	50

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	Czy koniec „Świętego amerykańskie- go cesarstwa niemieckiego”?	51
Berlińczyk :	List z Berlina (Sprawa Wolfganga Haricha)	57
Londyńczyk :	Kronika angielska	61

SPRAWY I TROSKI

Ewa Gieratowa :	Nowizna	67
-----------------	---------------	----

K R A J

Zbigniew Jordan :	Kluby Młodej Inteligencji w Polsce	81
-------------------	--	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Benedykt Heydenkorn :	O rehabilitację Leona Kozłowskiego	89
-----------------------	--	----

KRONIKA KULTURALNA

Jan Holcman :	Pożegnanie z Giesekingiem	105
J. Cz. :	O Z. Turkiewiczzu	110
Józef Czapski :	Ścieżki malarskie	112
Jerzy Horzelski :	Literatura emigracyjna	119

KSIĄŻKI

Zbigniew Folejewski :	Pokłosie roku mickiewiczowskiego ..	126
Jaz. :	„Torricola” J.M. Ursyna	131
Eugeniusz Hinterhoff :	Armia sowiecka	133
Klara Szpakowska :	O kłamstwie podręcznikowym	136
A.N. :	Prasa francuska o Polsce	139
—	Praktyki cenzury w Polsce	142
Zbigniew Jordan :	Nad warszawskim „Przeglądem Kul- turalnym”	143
—	Nadestane nowości wydawnicze	148
—	Historia U.S.A.	150



W. Iwaniuk, St. Szablowski, H. Malewska, K.A. Jeleński, J. Czapski, B. Taborski, M. Moraw- ski, J. Krzeczunowicz, A. Brom- ke, S.L. Lewicki, St. Westfal, F. Nahalewicz :	Listy do Redakcji	151
--	-------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień-Avril

1957

INSTYTUT



LITERACKI

ZAKOŃCZENIE ZBIÓRKI NA NAGROBEK DLA J. OLECHOWSKIEGO

Zebrano ogółem sumę 36.050 franków, którą przekazujemy wdowie, pani Ninie Olechowskiej. Sumę tę ogłaszamy ze wstydem. Emigracja, w przeważnej swej części wojskowa, nie potrafiła złożyć się na skromny grób dla swego popularnego poety, którego krótkie życie tak było związane z 2-gim Korpusem.

ZBIÓRKA NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Marian Pankowski, Bruksela	15.000 fr.
Konstanty A. Jeleński,, Paryż	10.000 "
Dr Michał Rostafiński, Paryż	1.000 "
Edward Berenbaum, Montevideo, Uruguay	105.000 "
Juliusz Godlewski, Zürich (z przeznaczeniem na sprzęt dla Biblioteki Jagiellońskiej)	350.000 "
R. S., Sarthe (Francja)	1.000 "
Adam Czerniawski, Monachium	3.500 "
Wiktor Maciejewski, Rueil-Malmaison (Francja)	2.000 "
Karol Styczniewski, London, Ont. (Kanada)	7.500 "

DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

Maria Majewska, Toronto, Ont. (Kanada) ponownie	3.500 fr.
Jerzy Piórkowski, Bronx, N.Y. (USA), ponownie	1.400 "
Irena i Stanisław Mrozowscy, Buffalo, N.Y. (USA)	15.500 "

DZIEKUJEMY

Imprimé en France



P. 9786 Chk. Arch.

« Komunizm » sowiecki

1. — TEORETYCZNE PRZESŁANKI NOWOCZESNEGO KOMUNIZMU

Niesłuszne byłoby przypuszczenie, że pojęcie wspólnej własności społecznej zostało wymyślone przez Marksa czy Engelsa, a tym bardziej przez Lenina czy Stalina. Znanie ono było ludzkości od zarania dziejów i historycznie bodaj poprzedzało pojęcie wyłącznej własności prywatnej. Wielu też z wybitnych myślicieli i reformatorów społecznych wypowiadało się za własnością społeczną, jako lepszą od sobkowskiej własności prywatnej. W naszej kulturze pierwszeństwo bodaj należy się Platonowi w IV wieku przed Chrystusem. W swej słynnej „*Politei*”, uważając, iż żądza bogactw jest cechą najgorszej części duszy ludzkiej i winna być poskramiana przez cnotę wstrzemięźliwości, pragnął on ją całkowicie wykorzenić z dusz „lepszych” i w tym celu w projekcie idealnego ustroju przewidywał dla „lepszych” klas społecznych — mędrców i rycerzy — zniesienie jakiejkolwiek własności osobistej i wprowadzenie całkowitego komunizmu.

Co więcej, w Piśmie Św., w *Dziejach Apostolskich*, znajduje się następujący „obraz pierwszej gminy chrześcijańskiej”: „A mnóstwa wierzących było serce jedno i dusza jedna; nikt też z nich tego, co posiadał, swoim nie nazywał, lecz było im wszystko wspólne... Bo nie było między nimi nikogo w niedostatku; gdyż wszyscy, co mieli role, albo domy, sprzedawszy przynosili zapłatę za to, co sprzedawali, i składali przed nogi apostołów. Rozdawano zaś każdemu, ile komu było potrzeba” (4, 32, 34, 35, ob. także 2, 44, 45). Katolicki komentarz do tego ustępu wyjaśnia, że „komunizm najwyższej miłości bliźniego i pierwszego

zapału wiary... (był) ... wcale nie nakazany, ale zupełnie dobrowolny". Gdy jednak pewien mąż, imieniem Ananiasz, z Safirą, żoną swoją, sprzedawszy rolę, zataili część zapłaty i skłamałi apostołowi Piotrowi, zostali natychmiast przez Boga ukarani śmiercią.

Toteż w ciągu wieków znajdowały się w chrześcijaństwie jednostki i mniejsze lub większe grupy, które, powołując się na wyżej cytowane ustępy *Dziejów Apostolskich* oraz słowa Chrystusa: „Jeżeli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj, co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie” (*Mat.* 19, 21, por. także *Mar.* 10, 21, *Luk.* 12, 33; 18, 22), wyrzekały się całkowicie własności, składały śluby ubóstwa i żyły w dobrowolnych „gminach komunistycznych” zwanych klasztorami. Ci jednak, co chcieli taki ustrój rozciągnąć na całe społeczeństwo chrześcijańskie, pragnąc je podnieść do stanu doskonałości pierwszych gmin chrześcijańskich, czy nawet wręcz kwestionując prawdziwość chrześcijan, zachowujących prywatną własność, wchodzili w konflikt z nauką kościoła o niezbędności własności dla uprawiania cnoty miłosierdzia, stawali się kacerzami i, w konsekwencji, byli często niszczeni ogniem i mieczem (Waldensowie, Bracia apostołscy, Beghardowie, Taborcy, Anabaptyści itp. — ob. K. Kautsky *Poprzednicy współczesnego socjalizmu*, Warszawa, 1949).

Pogląd, że dla wybranych, bardziej doskonałych, jednostek lepsza jest własność wspólna niż indywidualna, utrzymywał się przez wieki nie tylko w środowisku klasztornym i kacerskim; platońską tradycję, iż w idealnym ustroju nie będzie miejsca na własność prywatną, podtrzymywali również Tomasz Morus (1472-1535, *De optimo rei publicae statu deque nova insula Utopia*) i Tomasz Campanella (1568-1639, *Civitas soli*), autorzy słynnych „utopii”.

Nowoczesny komunizm nie uważa się jednak za ruch wsteczny, reakcyjny. Nie pragnie cofnięcia się, powrotu do „złotego wieku” pierwotnego komunizmu, lecz chce wieść ludzkość dalej drogą jej dotychczasowego rozwoju. Zgodnie z teoriami kierunku heglowsko-marxowskiego, obiektywnie konieczny dalszy postęp ludzkości ma ją wyprowadzić ze współczesnego, opartego na zasadzie własności prywatnej, ustroju kapitalistycznego i poprzez ustrój socjalistyczny (własność środków produkcji — społeczna, przedmiotów spożycia — prywatna), doprowadzić do ustroju pełnego komunizmu, gdzie pojęcie własności osobistej, prywatnej w ogóle nie będzie znane, a wszystko będzie społeczne, wspólne. Stać się zaś tak ma dzięki nieuniknionym dalszym postępom techniki: opanowywaniu przez człowieka wciąż nowych źródeł coraz to potężniejszej energii oraz coraz to większej wydajności, coraz to doskonalszych maszyn. Po uspołecznieniu środków produkcji w przejściowym ustroju socjalistycznym przez pewien czas będzie się jeszcze odczuwać stosunkowy brak różnych dóbr spożywczych i trzeba je będzie rozdzielać pomiędzy członków społeczeństwa w zależności od ich wartości i użytecz-

ności społecznej (np. w zależności od wydajności ich pracy). Ponieważ jednak wraz z uspołecznieniem środków produkcji zniknie motyw zysku i co za tym idzie, tendencja do ograniczania ilości wytwarzanych dóbr (aby nie spowodować zbyt niskiej ceny), postęp techniki ulegnie ogromnemu przyspieszeniu i wkrótce uspołecznione środki produkcji zaczną wytwarzać przedmioty spożycia w nadmiarze w stosunku do potrzeb społeczeństwa. W związku z tym zniknie potrzeba ich społecznego rozdziału i każdy członek społeczeństwa będzie mógł czerpać z nadmiaru wytwarzanych dóbr spożywczych w miarę swych potrzeb „ad libitum”. W tych warunkach nikt nie będzie zainteresowany w obronie dóbr, które uważa za „swoje”, przed zakusami na nie ze strony innych osób. Żaden zresztą z członków społeczeństwa, w którym będzie istniał nadmiar dóbr spożywczych i każdy będzie mógł je uzyskiwać w dowolnej nieograniczonej ilości, nie będzie skłonny do zabierania ich innym jednostkom. W przyszłym społeczeństwie komunistycznym stosunek ludzi do rzeczy, do dóbr spożywczych, miałby być mniej więcej taki, jak dziś, w normalnych warunkach, do wody, czy nawet powietrza. Nikomu przecież we współczesnych, normalnych warunkach nie przyjdzie do głowy zawłaszczanie pewnej ilości wody czy powietrza, twierdzenie, że stanowią one jego „prywatną własność”, i obrona ich przed użyciem przez innych.

A zatem przyszły komunizm, możliwy do zrealizowania tylko w społeczeństwie, gdzie będzie istniał nadmiar dóbr spożywczych, będzie się różnił zasadniczo od komunizmu pierwotnego. Komunizm pierwotny był komunizmem NĘDZY, przyszły komunizm ma być komunizmem dostatku, bogactwa, NADMIARU.

2. — POPRAWKI WPROWADZONE PRZEZ LENINA I STALINA

Takie były teoretyczne przesłanki nowoczesnego komunizmu, czy raczej wnioski („hipotezy”), do których dochodzili „naukowi socjaliści”-marksiści na podstawie dokonywanej przez nich analizy rzeczywistych materialnych faktów społecznych i rzekomego wykrycia „praw”, które miały nimi obiektywnie rządzić. Wciąż postępujący naprzód i coraz większy rozwój techniki, przemysłu, wydajności miał, ich zdaniem, w przyszłości koniecznie, nieuniknienie — niezależnie od tego czy ludzie tego chcieli, czy nie chcieli, czy to im się podobało, czy nie — doprowadzić przodujące, najbardziej technicznie i przemysłowo rozwinięte społeczeństwa naprzód do socjalizmu, a potem do komunizmu.

Współczesny sowiecki komunizm częściowo tylko podziela te przesłanki: wprowadza do nich pewne, bardzo istotne poprawki. Dlatego też nazywa siebie nie prosto „marksizmem”, lecz „marksizmem-leninizmem”, czy nawet przez pewien czas nazywał „marksizmem-leninizmem-stalinizmem”.

Przodujące, najbardziej technicznie i przemysłowo rozwinięte, społeczeństwa w nowoczesnych czasach zamieszkują Zachodnią Europę i Północną Amerykę. One też, według przesłanek klasycznego marksizmu, musiałyby pierwsze wkroczyć na wiodącą ku pełnemu komunizmowi drogę ustroju socjalistycznego.

Tymczasem sowiecki komunizm powstał i zatriumfował we Wschodniej Europie, czy nawet w Euro-Azji, które nigdy się nie zaliczały do krajów technicznie przodujących i pod względem rozwoju przemysłowego pozostawały daleko w tyle za Europą Zachodnią czy Północną Ameryką. Z tych chociażby względów, sowiecki komunizm nie mógł bez zastrzeżeń przyjąć przedstawionych wyżej teoretycznych przesłanek nowoczesnego komunizmu. Musiał wprowadzić do nich pewne istotne poprawki, aby teoretycznie uzasadnić możliwość swego istnienia oraz dalszego rozwoju w historycznie ukształtowanym Związku Sowieckim na technicznie zacofanych i przemysłowo niedorozwiniętych euroazjatyckich obszarach (1).

W swoim czasie odpowiednie zastosowanie metody dialektycznej pozwoliło Marksowi i Engelsowi dokonać tego, co nazywali odwróceniem filozofii heglowskiej „z głowy na nogi”. Nie teoria, myśl-idea, jak twierdził Hegel, lecz materia leży u podstawy wszelkiej rzeczywistości, oświadczyli Marks i Engels. „Byt określa świadomość”; obiektywna rzeczywistość materialna decydująco wpływa na ludzką świadomość, na ludzkie myśli i chcenia. Materialna, a przede wszystkim techniczno-ekonomiczna, obiektywna rzeczywistość jest podstawą, bazą; ludzkie myśli i chcenia, ludzka wola, są tylko wtórną nadbudową.

Tę, podstawową wydawałoby się, tezę marksizmu, Lenin, a następnie zwłaszcza Stalin, dialektycznie „poprawili” i zamienili w jej dialektyczną antytezę, czy też, obrazowo mówiąc, znowu przewrócili „z nóg na głowę”. Nie obiektywna, materialna, techniczno-ekonomiczna rzeczywistość, lecz ludzka świadomość, ludzka myśl i wola, poparte przez odpowiednio sprawną organizację, zadecydują o wszystkim. Zdolają przekształcić przyrodę i społeczeństwo. Nadbudowa może wpływać na podstawę i może ją POD SIEBIE podbudować (2). To nic, że Rosja jest

(1) Jeszcze w maju 1914 roku Lenin pisał: „Spośród wszystkich krajów kapitalistycznych, Rosja jest jednym z najbardziej zacofanych, najbardziej drobnoburżuazyjnych krajów”. *Dzieła*, T. 20, str. 291/2.

(2) Teoria o możliwości „podbudowywania” materialnej bazy technicznej pod siebie przez intelektualną nadbudowę nie została poniekąd po śmierci Stalina. W zasadniczym artykule „Prawdy” z 5. 4. 1956, „Komunistyczna partia zwycięża i zwycięża dzięki wierności leninizmowi”, czytamy między innymi: „Lenin opracował naukowo uzasadniony program przekształcenia ekonomicznie zacofanej Rosji w przodujące potężne, socjalistyczne mocarstwo. Komunistyczna partia natchnęła masy ludowe w kierunku wielkiej historycznej twórczości, budowy socjalizmu... Leninizm uczy, że jedyną materialną podstawą socjalizmu i komunizmu może być tylko wielki

krajem technicznie zacofanym, że przemysł ma w powiśkach, że olbrzymią większość jej ludności stanowią prymitywnie gospodający chłopci, element najbardziej społecznie konserwatywny czy nawet zacofany. W Rosji wprawdzie mało jest jeszcze przemysłowego proletariatu, ale jeszcze mniej świadomej swoich interesów klasowych burżuazji. Dlatego też, mówił Lenin, względny stosunek sił proletariatu do sił burżuazji jest w Rosji nie gorszy, a może nawet lepszy, niż w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy w Niemczech. Toteż, mówili Lenin (3) i Stalin, w Rosji możliwe jest zwycięstwo proletariackiej rewolucji. Należy tylko bardzo jej chcieć i robić wszystko dla jej dokonania. Mieć dokładną świadomość, na czym ta rewolucja ma polegać, i zdecydowaną wolę jej przeprowadzenia „do końca”. Dobra, sprawna organizacja świadomych i ofiarnych, gotowych na wszystko i nie cofających się przed niczym rewolucjonistów może dokonać rewolucji w carskiej Rosji.

To nic, że rewolucja i wynikała z niej wojna domowa zniszczyła Rosję doszczętnie. Zrujnowały w niej niemal całkowicie zaczątkowy za czasów carskich przemysł i technikę. Socjalizm można zbudować w jednym kraju, mówił Stalin. I to właśnie w Rosji, a nie w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Niemczech. Rosja pod względem rozwoju techniki i przemysłu pozostaje daleko w tyle poza Stanami Zjednoczonymi, no to trzeba „dopędzić i prześcignąć Amerykę”. W Rosji nie ma ciężkiego przemysłu, brak techniczno-ekonomicznej bazy, obiektywnej podstawy dla socjalistycznego a później komunistycznego ustroju. No to trzeba w ciągu jednej, dwóch, czy dziesięciu Pięćdziesiąt lat bazę taką dowolnym kosztem stworzyć *ex post*, podbudować podstawę pod socjalistyczną czy komunistyczną nadbudowę (2). Wszystko można zrobić, czego się chce: „Nie ma takich twierdzeń, których by bolszewicy nie mogli zdobyć”. Trzeba tylko być świadomym i zdecydowanym. Wiedzieć, czego się chce i jak to można osiągnąć, oraz nie cofać się przed żadną napotkaną po drodze do celu przeszkodą. No i trzeba dysponować odpowiednim narzędziem działania: już nie tylko sprawną organizacją świadomych i ofiarnych „zawodowych rewolucjonistów”,

przemysł, zdolny do reorganizacji rolnictwa i że „tylko wtedy, gdy kraj będzie zelektryfikowany, gdy POD przemysł, gospodarkę rolną i transport będzie PODBUDOWANA techniczna baza współczesnego wielkiego przemysłu, tylko wówczas ostatecznie zwyciężymy”.

(3) Jeszcze w maju 1917 roku Lenin polemizował na ten temat z Rykowem. Oto wyjątek z oficjalnego tekstu „Słowa końcowego” Lenina po jego referacie „o sytuacji bieżącej” na ogólnorosyjskiej konferencji bolszewików: „Tow. Rykow twierdzi, że socjalizm powinien przyjść z innych krajów o bardziej rozwiniętym przemysle. Ale tak nie jest. Nie można powiedzieć, kto zacznie i kto skończy. Jest to nie marksizm, lecz parodia marksizmu. Marx powiedział, że Francja zacznie, a Niemiec dokończy. A przecież proletariariat rosyjski osiągnął więcej niż jakikolwiek inny”. *Dzieła*, T. 24, str. 244.

lecz potężną i wciąż wzmacnianą i rozbudowywaną „specjalną maszyną przemocy i potęgi” — państwem sowieckim.

Tak „poprawiona”, czyli, w istocie rzeczy, całkowicie przekształcona, zamieniona w swą antytezę, przewrócona z obiektywnych materialnych „nóg” (techniczno-ekonomiczna podstawa) na świadomą, myślącą i chcącą „głowę” (ideologiczna nadbudowa), doktryna „naukowego” marksizmu nosi miano „marksizmu-leninizmu” czy „marksizmu-leninizmu-stalinizmu” i jest wciąż oficjalnie wyznawana i „dialektycznie” stosowana zarówno w Rosji Sowieckiej jak i w całym sowieckim imperium we Wschodniej Europie i w Azji.

3. — HISTORYCZNA GENEZA TYCH POPRAWEK

a) Rosja a Europa.

Klasyczny marksizm powstał i rozwinął się w Zachodniej Europie, na gruncie i w ramach ukształtowanej w ciągu wieków europejskiej cywilizacji i kultury. Sowiecki komunizm powstał, rozwinął się i zatriumfował na gruncie rosyjskim.

Moskiewska Rosja przez szereg wieków istniała poza europejską wspólnotą, czy też, w najlepszym wypadku, na jej marginesie. Podbita w pierwszej połowie XIII wieku przez Tatarów, pozostawała pod ich przemożnym wpływem aż do drugiej połowy wieku XV, kiedy to, jak pisał Marks w *Tajnej Historii Dyplomatycznej XVIII wieku* (Londyn, 1899, str. 81, por. *Istoria Dyplomacji*, T. I, Moskwa, 1941, str. 197), „zdmiona Europa na początku panowania Iwana III, ledwie podejrzewająca istnienie jakiejś Moskwy, ściśniętej gdzieś pomiędzy Litwą i Tatarami, została oszołomiona nagłym pojawieniem się ogromnego imperium na swoich wschodnich kresach”.

Moskowie Iwana III (1462-1505) nie weszła jednak do wspólnoty europejskiej i nie uznała się za jej część składową. Przez parę jeszcze wieków odżegnywała się od Europy i od jej kultury, jako od wartości ujemnej, skażonej. Europa była rzymsko-katolicka, a zatem, w rozumieniu Moskwy, trwała w błędzie, w grzechu odstępstwa od prawdziwej, ortodoksnej, prawosławnej wiary. Prawdziwa ortodoksja przechowywała się jedynie w Bizancjum, a po jego upadku (1453) skupiła się wyłącznie w Moskwie. Moskowie Iwana III, wraz z ręką siostrzenicy ostatniego Bazyleosa, Zofią Paleolog (1472), miała przejąć całość spadku po dawnym uniwersalnym *Imperium Romanum* i po dawnej ortodoksyjnej Europie. Tak głosiła teoria „Moskwy trzeciego Rzymu”, sformułowana po raz pierwszy na początku XVI wieku w liście do syna Iwana i Zofii, Wasyła, przez przebywającego w Pskowie greckiego mnicha Teofila (*Filofieja*) w słowach: „Tyś jest jedynym pod słońcem carem chrześcijańskim (prawosławnym). Wszystkie chrześcijańskie (prawosławne)

państwa zespoliły się pod Twoim panowaniem w jedno. Dwa Rzymy padły, trzeci stoi, a czwartego nie będzie” (4).

Dopiero w XVIII wieku car Piotr (1694-1725) „wyrąbał okno do Europy” w hermetycznym murze, którym Moskowie od niej się odgradzała: z ogromnym wysiłkiem podjął trud włączenia swego rozległego imperium do europejskiej wspólnoty kulturalnej i politycznej. Ta nowa polityka samodzierżców wszechrosyjskich — symbolem jej stała się nowa stolica, Petersburg — spotykała się jednak stale z poważnym sprzeciwem starej Moskwy. Przez cały czas w rosyjskim społeczeństwie i opinii publicznej ścierały się dwa sprzeczne prądy, które w XIX wieku przybrały nazwy „Zapadników” i „Słowianofili”.

Pierwsi z nich twierdzili że spóźniona w swym rozwoju historycznym Rosja winna się wzorować na Europie Zachodniej i możliwie się do niej upodabniać. Drudzy z odrazą i pogardą patrzyli na „zgnity Zachód”. Ich zdaniem, katolicko-protestancka, przemysłowo-kapitalistyczna, romańsko-germańska Europa kroczyła błędną drogą i zmierzała ku dekadencji, ku upadkowi. Natomiast „święta Ruś”, czy, szerzej, cała prawosławna Słowiańszczyzna (z wyjątkiem Polski, która ją „zdradziła” na rzecz Rzymu) pod przewodnictwem „trzeciego Rzymu”, przechowywała wszystkie pozytywne wartości ludzkie i ma przed sobą świetlaną przyszłość przewodzenia i zjednoczenia całego świata.

b) Specyficzne cechy rosyjskiego społeczeństwa i państwa oraz tradycyjne metody rewolucjonistów rosyjskich.

Spór pomiędzy „Zachodniowcami” (Europejczykami) a „Słowianofilami” (Moskwicami, Euro-Azjatami) w społeczeństwie rosyjskim nie pokrywał się z powszechnym w innych społeczeństwach europejskich konfliktem pomiędzy „postępowcami” a „zachowawcami” czy „wstecznikami”. „Zachodniowcy” i „Słowianofile” znajdowali się zarówno w zachowawczych kołach rządzących Imperium Rosyjskim jak i wśród najbardziej skrajnej rewolucyjnej opozycji. Specyficzny „słowianofilizm” w drugiej połowie XIX wieku stał się szczególnie popularny wśród najbardziej radykalnych „postępowców”, rewolucjonistów rosyjskich, zaciekle i bezwzględnie zwalczających istniejący w Imperium ustrój społeczny, polityczny i moralno-obyczajowy. Wielu wybitnych teoretyków rewolucyjnych wymownie uzasadniało, że ze względu na specyficzne cechy społeczeństwa i państwa rosyjskiego rewolucja socjalistyczna może być w Rosji dokonana łatwiej i wcześniej niż na Zachodzie.

Wydawca londyńskiego *Kółka* („Dzwona”), Hercen, twierdził, że ponieważ w Rosji przechowywała się „obszczyna z komunistycznym władaniem ziemią i rozdziałem pól; wiece gro-

(4) Ob. krytyczne uwagi N. Uljanowa o „kompleksie Filofieja” w *No-wyj Żurnal* 1956, N.Y., Tom XLV, str. 249 i nast.

madzkie (*mirowyje schodki*), robotnicze artele i wybieralni soltysi", „człowiek rosyjski" w swoim bycie jest „bliższy niż wszystkie inne narody europejskie do nowego ustroju społecznego". „Jesteśmy bliżsi ekonomicznego, to jest społecznego przewrotu, niż rzymsko-feodalna, mieszczańsko-uprzemysłowiona Europa" (Por. *Socjalistyczny Wiestnik*, 1956, Nr 4, str. 74).

Wydrukowana w drukarni Heroena w Londynie w 1861 roku, a rozrzucana w Rosji proklamacja „Do Młodego Pokolenia" głosiła: „Kto może twierdzić iż musimy iść drogą Europy, jakiejś tam Saksonii, Anglii, czy Francji? Możemy uniknąć smętnej doli Europy. W naszym życiu mamy zasady zupełnie Europe nieznane. Czyż u nich istnieje i jest możliwa obszczyna? U nas nie ma lęku przed przyszłością, jak w Europie Zachodniej. My śmiało idziemy na spotkanie rewolucji. Niemcy twierdzą, że mamy dojść do tego, do czego już doszła Europa. Jest to kłamstwo. Istotnie możemy do tego dojść, jeśli nałożymy na siebie pętlę europejskich instytucji i jej ekonomicznych porządków, ale możemy też dojść do czegoś innego, jeśli będziemy rozwijali zasady, które żyją wśród ludu. Gdyby dla zrealizowania naszych dążeń trzeba było wyrzucić sto tysięcy ziemian, nie przestraszylibyśmy się tego".

O chłopie rosyjskim, jako „urodzonym socjaliście", czy nawet komuniście, pisał również Ławrow, a Czernyszewskij i Michajłowski nie wykluczali, że „przy sprzyjających warunkach" Rosja może uniknąć „męczącego przechodzenia straszliwie długiej drogi Europy" i „przeskoczyć" z pierwszego czy drugiego stadium rozwoju społecznego bezpośrednio na piąte czy szóste, omijając pośrednie".

Wydawca *Nabatu* („Alarmu"), Tkaczew, szczegółowo rozwijał teorie, że w Rosji, odmiennie niż w Zachodniej Europie, państwo „wisi w powietrzu", nie mając żadnego oparcia społecznego i że wystarczy jedno „silne uderzenie" dla obalenia i całkowitego przeobrażenia ustroju.

Bakunin uważał chłopą rosyjskiego za „urozonego rewolucjonistę" i w deklaracji złożonej Międzynarodówce Robotniczej w imieniu sekcji rosyjskiej w 1870 roku pisał: „Naród rosyjski we wszystkich czasach dążył do zrealizowania wielkich zasad proklamowanych na międzynarodowych kongresach robotniczych: do społecznego władania ziemią oraz narzędziami pracy".

Czyż z tego wszystkiego nie miało wynikać, że dla dokonania rewolucji socjalistycznej w Rosji nie potrzeba było żmudnej i długotrwałej pracy przygotowawczej, organizowania masowego ruchu i oczekiwania na wytworzenie się obiektywnych warunków technicznych, ekonomicznych i społecznych. Wystarczyłaby stosunkowo nieduża ilość jednostek, byle NA WSZYSTKO zdecydowanych i, przed NICZYM się nie cofających, gotowych na największe osobiste i zbiorowe ofiary i poświęcenia oraz doskonale zorganizowanych w „żelaznej organizacji". Do takich wła-

nie ostatecznych wniosków doszedł Bakunin oraz jego uczeń Nieczajew, tworząc teorię i praktykę „nihilizmu".

Podkreślić bowiem należy, że wszystkie te teorie bynajmniej nie pozostawały tylko na papierze: kilka pokoleń rewolucjonistów rosyjskich usiłowało je stosować w praktyce i w pewnym okresie (*Wola Ludu*, 1880-1881) mogło się wydawać, że doskonała organizacja oraz zdecydowana wola i gotowość do najwyższych poświęceń kilkudziesięciu osób może istotnie zmienić bieg historii Rosji i radykalnie przekształcić jej ustrój.

4. — ODRZUCENIE METOD ROSYJSKICH PRZEZ MARKSA I PROROCZE POTĘPIENIE ICH PRZEZ ENGELSA

W pewnym okresie Bakunin, współpracując w latach 1868-1872 z Marksem i Engelsem przy organizacji Międzynarodówki Robotniczej, próbował przenieść nihilistyczne metody rosyjskie na zachód i zastosować je w robotniczych organizacjach rewolucyjnych. Próby te doprowadziły do poważnych konfliktów wewnątrz Pierwszej Międzynarodówki i spowodowały jej ostateczny upadek. Aczkolwiek bowiem Marks teoretycznie odżegnywał się od wszelkich elementów moralnych w swojej czysto „naukowej" teorii rozwoju społecznego i rewolucji, nie był on skłonny do stosowania w rewolucyjnej praktyce wszelkich metod i nie cofania się przed NICZYM, nawet przed pospolitą zbrodnią: morderstwem, kłamstwem, oszustwem, kradzieżą, uwiedzeniem itp. I to nie tylko dlatego, że określający, jego zdaniem, świadomość bytu na Zachodzie nie znał stosowania takich metod, jako zjawiska normalnego, lecz także — i może nawet przede wszystkim — dlatego, że w jego *par excellence* DETERMINISTYCZNEJ teorii rozwoju społecznego wola i chęć, chociażby nawet najbardziej zdecydowanych i gotowych na największe ofiary JED-NOSTEK nie cofających się przed NICZYM, odegrywały minimalną, jeśli w ogóle jakąkolwiek, rolę.

Zdaniem Marksa, „młyny historii meły powoli, lecz pewnie". Postęp techniki i przemysłu czynił jednakowo nieuniknionymi klęskę i zgubę kapitalistów oraz zwycięstwo i triumf proletariatu. Nie trzeba było zatem dla ich osiągnięcia sięgać do arsenału zbrodni pospolitych. Zdaniem klasycznego marksizmu, rewolucjoniści byli tylko „akuszerami rewolucji": ich funkcją było ułatwianie jej naturalnego porodu, a nie zaś sztuczne jego wywoływanie przy pomocy niedozwolonych, amoralnych metod.

Jeszcze wyraźniej od Marksa stosowanie „metod rosyjskich" w rewolucyjnej praktyce teoretycznie potępił Engels. W napisanej w 1850 roku „*Wojnie Chłopskiej w Niemczech*" znajdujemy obszerny ustęp, w którym Engels we wręcz proroczy sposób, na wiele lat przed urodzeniem Lenina i Stalina, opisał tra-

giczne skutki, do których stosowanie leninowsko-stalinowskich metod nieuniknienie musiało, jego zdaniem, doprowadzić (5).

Czyż całe to, rozumowanie Engelsa sprzed przeszło stu lat nie może być w każdym szczególe odniesione do Lenina i Stalina, którzy objawszy rządy w „jednym z najbardziej zacofanych, najbardziej drobno-burżuazyjnych krajów” (Lenin), pomimo nawet ewentualnych najlepszych swych chęci subiektywnych, zdaniem Engelsa, obiektywnie nie mogli reprezentować proletariatu fabrycznego i realizować jego interesów klasowych, lecz musieli bronić interesów drobno-burżuazyjnej biurokracji i zbywać klasę robotniczą „frazesami i obietnicami, zapewniając ją, że interesy owej obcej klasy są jej własnymi interesami”? Znalazłszy się „w takim fałszywym położeniu” każdy „wódz skrajnej partii”, zdaniem Engelsa, musiał być „bezpownotnie zgubiony”! Miał bowiem przed sobą tylko dwie drogi wyjścia: albo zginąć fizycznie w beznadziejnej walce o obiektywnie nie dające się zrealizować ideały albo też zginąć moralnie, świadomie te ideały zdradzając (6).

(5) Tekst Engelsa podajemy w tłumaczeniu polskim według wydania „*Wojny Chłopskiej*” w Warszawie w 1935 roku (Wydawnictwo „TOM”), str. 93 i nast.

„Dla wodza skrajnej partii nie ma nic gorszego, jak mus objęcia rządów w epoce, kiedy ruch nie dojrzał jeszcze do panowania klasy, którą on reprezentuje, i do przeprowadzania zarządzeń, których panowanie tej klasy wymaga. To, co wówczas może zrobić, nie zależy od jego woli, lecz od wysokości, do jakiej doszło przeciwieństwo różnych klas, i od stopnia rozwoju materialnych warunków bytu, stosunków produkcji i komunikacji, na których opiera się każdorazowy stopień rozwoju przeciwieństw klasowych. To zaś, co zrobić powinien, czego odeń wymaga jego własna partia, znowu zależy nie od niego ani też nie od stopnia rozwoju walki klasowej i jej warunków. Jest on więzieniem swych dotychczasowych doktryn i żądań, które wszak nie wpływają z chwilowego wzajemnego ustosunkowania się różnych klas społecznych, nie z chwilowego, mniej lub więcej przypadkowego, stanu stosunków produkcji i wymiany, lecz z jego mniej lub więcej głębokiego zrozumienia ogólnych rezultatów ruchu społecznego i politycznego. Z konieczności staje on zatem wobec nie dającego się rozwiązać dylematu: to co zrobić może, sprzeciwia się całemu jego dotychczasowemu postępowaniu, jego zasadom i bezpośrednim interesom jego partii; to zaś co zrobić powinien — nie daje się urzeczywistnić. Słowem zmuszony on jest reprezentować nie swoją partię, nie swoją klasę, lecz klasę, do której panowania ruch w danej chwili dojrzał. W interesie samego ruchu musi bronić interesów obcej klasy i zbywać własną swą klasę frazesami i obietnicami, zapewniając ją, że interesy owej obcej klasy są jej własnymi interesami. Kto znajdzie się w takim fałszywym położeniu jest bezpownotnie zgubiony”.

(6) Można by tu jeszcze zacytować kilka dalszych ustępów rozważań Engelsa z tej samej pracy. Cytujemy je dosłownie, opuszczając jedynie używane przez Engelsa nazwisko (Münzera), z tym aby czytelnik ewentualnie mógł na wolne miejsce wstawić dowolnie nazwisko Lenina albo Stalina.

5. — ZACHOWANIE SIĘ LENINA I STALINA W OBLICZU PRZEPOWIEDZIANEGO PRZEZ ENGELSA DYLEMATU

a) Lenin.

Ten pierwszy los przypadł w udziale Leninowi. Już w kilka lat po objęciu rządów w „jednym z najbardziej zacofanych, najbardziej drobno-burżuazyjnych krajów” uświadomił on z przerażeniem, że „kierownica auta wymyka mu się z rąk”: „niby siedzi człowiek przy kierownicy, a auto jedzie nie tam, dokąd je ten człowiek kieruje, lecz tam, dokąd je kieruje ktoś inny — elementy, czy te nielegalne, bezprawne, tylko bogu wiadomo skąd się biorące, czy to spekulanci, czy prywatni kapitaliści, czy jedni i drudzy — ale maszyna jedzie niezupełnie tak, często zaś zupełnie nie tak, jak wyobraża sobie ten, kto nią kieruje” (7).

„Zbudować społeczeństwo komunistyczne rękami komunistów, mówił Lenin w tym samym przemówieniu (7), to dziecinna, całkiem dziecinna idea. Komuniści to kropla w morzu, kropla w morzu ludowym”. I dalej: „W masie ludowej jesteśmy jednakże kroplą w morzu i możemy rządzić tylko wtedy, gdy trafnie wyrażamy to, co lud sobie uświadamia. W przeciwnym razie partia komunistyczna nie będzie prowadziła proletariatu, a proletariatus nie będzie prowadził za sobą mas, i cała maszyna się rozleci. Teraz lud i ogół mas pracujących dopatrjuje się rzeczy dla siebie zasadniczej w tym tylko, by praktycznie pomagać wydosztaniu się z rozpaczliwej nędzy i głodu... Chłop zna rynek i zna handel... Wobec tego powinniśmy zaopatrywać poprzez handel, ale zaopatrywać nie gorzej niż to czynił kapitalista, w przeciwnym razie lud nie będzie mógł znieść takiego rodzaju zarządzania”. „I tu trzeba jasno sprawę postawić — gdzie tkwi nasza siła i czego nam brak? Władzę polityczną mamy zupełnie dostateczną... Czego zaś brak? Rzecz jasna, czego brak: brak kultury warstwie komunistów, która rządzi. Ale jeśli wziąć

„Stanowisko ... na czele (rządów) było o wiele ryzykowniejsze od roli któregośkolwiek z nowożytnych regentów rewolucyjnych. ... Przewrót społeczny, który snuła wyobraźnia ... był jeszcze do tego stopnia nie ugruntowany w ówczesnych stosunkach materialnych, że stosunki te przygotowywały właśnie ustrój społeczny, będący wręcz przeciwieństwem wymarzonego przez ... ludu społecznego. ... sam, jak się zdaje, odczuwał głęboką przepaść między swymi teoriami a bezpośrednio daną rzeczywistością, przepaść którą tym mniej mogła pozostać ukryta przed jego wzrokiem, im bardziej wykoszlawione było odbicie jego genialnych poglądów w ciemnych głowach masy jego zwolenników...”

(7) Wszystkie powyższe cytaty są wzięte ze sprawozdania politycznego Lenina na XI zjeździe partyjnym w dniu 27. III. 1922 roku. Ob. *Dzieła wybrane*, T. II, str. 911 i nast.



Moskwę — 4.700 odpowiedzialnych komunistów — i wziąć tę maszynę biurokratyczną, tę bryłę — to kto kogo prowadzi? Bardzo wątpię, by można było twierdzić, że komuniści kierują tą bryłą. Prawdę powiedziawszy, nie oni prowadzą, lecz ich prowadzą”.

Tak przedstawiała się obiektywna sytuacja Rosji Sowieckiej i jej perspektywy na przyszłość oczom i umysłowi Lenina. Był on człowiekiem dostatecznie inteligentnym i kulturalnym, by zdać sobie sprawę z dylematu, przed którym go postawiła historia. I dostatecznie uczciwym, by nie „zbywać” swej własnej partii i klasy „frazesami i obietnicami”, lecz mówić im całą gorzką prawdę. Prawdę o realnie istniejącym niebezpieczeństwie, że formalnie pokonana drobna burżuazja rosyjska może „narzucić swoją kulturę” pozornym zwycięzcom! (*loc. cit.* str. 934/5)

Wystąpienie Lenina na XI zjeździe partyjnym było właściwie ostatnim jego wystąpieniem w charakterze wyposażonego w pełnię sił i władzy „nowożytnego regenta rewolucyjnego”, „wodza skrajnej partii”, który objął rządy przedwcześnie i obiektywnie „znalazł się w fałszywym położeniu”. Zwalony w kilka tygodni po tym zjeździe atakiem paraliżu (maj 1922), Lenin, najpierw ograniczony w mowie i piśmie, a potem ich całkowicie pozbawiony, przez długie jeszcze miesiące usiłował beznadziejnie walczyć przeciwko toczącemu ustrój sowiecki drobno-burżuazyjnemu „rakowi biurokratyzmu”. Przez długie miesiące dogorywał, bezsilny wobec nielojalnych poczynań człowieka, który „zostawszy sekretarzem generalnym, skupił w swych rękach niemożliwą do objęcia władzę (*nieobjętą w rękach*)” (z tak zwanego „testamentu” Lenina z 25. 12. 1922) i coraz wyraźniej sięgał po pełnię spadku po wciąż jeszcze fizycznie pozostającym przy życiu Leninie (8).

b) Stalin.

Stalin przeżył Lenina o lat prawie trzydzieści, przez cały ten czas pozostając u szczytów władzy i przez cały czas powiększając zakres swych osobistych wpływów i władzy. Już w pierwszej dekadzie po śmierci Lenina Stalin publicznie w artykule w *Izwiestijach* (17. 1. 1933) pisał: „na świecie nie ma i nigdy nie było tak potężnej i autorytatywnej władzy, jak nasza władza sowiecka”. A z biegiem lat ta „władza sowiecka” stawała się coraz bardziej osobistą władzą Stalina.

Jaką cenę musiał zapłacić Stalin za osiągnięcie i utrzymanie się na stanowisku co najmniej równym — jeśli nie przewyższającym — stanowisko rzymskich cesarów czy wschodnich despotów? Cenę dokładnie określoną przez Engelsa przed przeszło stu laty: „w interesie samego ruchu — który go wyniósł na szczyty — musiał bronić interesów obcej klasy i zbywać własną

klasę frazesami i obietnicami, zapewniając ją, że interesy owej obcej klasy są jej własnymi interesami”. Tą „obcą klasą”, której interesów obiektywnych Stalin przez cały czas bronił, była nawskroś przesiąknięta ideologią drobno-burżuazyjną rosyjsko-sowiecka biurokracja.

W interesie bowiem biurokracji, i tylko biurokracji, a w żadnym razie nie w interesie mas ludowych czy robotniczych, leżało stałe i konsekwentne zwiększanie władzy państwowej i rozszerzanie jej zakresu. Masy bowiem były tylko obiektem oddziaływania tej władzy „ucisku i przemocy”, o której dotychczasowi klasycy marksizmu (z Leninem w „*Państwie i Rewolucji*” włącznie) zapowiadali, że bezpośrednio po rewolucji proletariackiej przekształcą się jakościowo i zaczną, w miarę posuwania się po drodze do socjalizmu i komunizmu, stopniowo „usychać” i „wiednąć” przekształcając się coraz bardziej z „władzy nad ludźmi” we „władzę nad rzeczami” (9).

Bezpośrednio niemal po ostatecznym ugruntowaniu się przy władzy w partii i państwie, Stalin poddał radykalnej rewizji tę, podstawową wydawałoby się, tezę klasycznego marksizmu. Ku powszechnemu zdumieniu wszystkich „starych leninowców” i marksistów, na XVI zjeździe partyjnym, w czerwcu 1930 roku, Stalin oświadczył, że dotychczasowe stanowisko marksizmu-leninizmu w sprawie teorii „obumierania”, „wiednięcia” czy też „zasypiania” państwa było błędne. „Stoimy na stanowisku obumierania państwa — mówił wówczas Stalin — a jednocześnie jesteśmy za wzmocnieniem dyktatury proletariatu, która jest najsilniejszą i najpotężniejszą władzą ze wszystkich istniejących dotąd władz państwowych. Najwyższy rozwój władzy państwowej dla przygotowania warunków do obumierania władzy państwowej — oto formułka marksistowska. Czy to jest „sprzeczność”? Tak, rzeczywiście to jest „sprzeczność”, lecz sprzeczność życiowa, całkowicie odzwierciedlająca dialektykę marksistowską”.

Najwidoczniej uznając słuszność twierdzenia Lenina, że usi-

(9) Jeszcze za życia Lenina, w 1923 roku, czołowy wówczas teoretyk sowieckiego prawa i państwa, P. Stuczka, w podręczniku dla sowieckich studentów („*Uczenie o gospodarstwie i o konstytucji RSFSR*”, 3 wyd.) w rozdziale końcowym, zatytułowanym: „Akt ostatni: państwo obumiera”, pisał: „Po zwycięstwie proletariatu słowa o wrastaniu w nowe społeczeństwo przyszłości i o stopniowym obumieraniu funkcji władzy politycznej przybierają zupełnie realne formy. Z wzrostem sił proletariatu i jego władzy zmniejsza się konieczność realnych represji, zastosowania gwałtu... Jeśli podzielimy wszystkie nasze komisariaty ludowe na grupy: organy gospodarcze (wytwórczość i rozdział), i organy przymusu (wojsko, sprawy wewnętrzne i sąd), to zupełnie przekonywujące się staje stopniowe obumieranie, atrofia tych ostatnich; pozostają tylko pierwsze, to jest dyrgowanie ekonomiczną orkiestrą. Sprawa dojdzie może nawet do „orkiestry bez dyrygenta”, ale po co roić o takich sztukach. Jedno pozostaje poza sporem: państwo, jak również i prawo w sensie klasowym, ulatnia się, obumiera”. Po objęciu władzy przez Stalina rozwój państwa poszedł po linii akurat odwrotnej od zapowiadanej przez Stuczkę, a sam Stuczka pośmiertnie został uznany za „wroga ludu”.

(8) Lenin zmarł dopiero 21. 1. 1924 roku.

łowanie zbudowania w Rosji społeczeństwa komunistycznego „rękami komunistów”, byłoby „całkiem dziecinną ideą”, Stalin zdecydował spróbować to uczynić „rękami aparatu państwowego”. Być może nawet działał w dobrej wierze, a w każdym razie postępował zgodnie ze starą tradycją rosyjskich rewolucjonistów, którzy nigdy nie przebiegali w środkach i nie cofali się przed NICZYM na drodze do osiągnięcia zamierzonego celu. Decydując się na próbę zbudowania w Rosji „społeczeństwa komunistycznego” przy pomocy aparatu państwowego, Stalin bynajmniej nie poddawał rewizji marksistowskiego poglądu na istotę państwa. Nie kwestionował tezy Engelsa i Lenina, że państwo jest „specjalnym narzędziem”, specjalną machiną przemocy, ucisku i wyzysku; przeciwnie takiego właśnie „narzędzia” potrzebował i był zdecydowany na jego użycie w jak najszerszym zakresie.

Zwiększanie i rozszerzanie zakresu władzy państwowej i doprowadzenie do jej „najwyższego rozwoju” obiektywnie leżało w interesie klasowym biurokracji. Im większa i potężniejsza była władza państwowa, tym większe i rozleglejsze były uprawnienia urzędniczego aparatu biurokratycznego, zarówno jego całości, jak i poszczególnych członków. Urzędnicy-biurokraci uosobiali „państwo” i jego interesy i za to byli odpowiednio wynagradzani. Wynagradzani tym lepiej, im „państwo” było potężniejsze i bogatsze. Fakt zaś, że występowali nie jako czynnik samodzielny, lecz zależny, nie we własnym imieniu, lecz jako reprezentanci „dyktatury proletariatu” czy też dyktatury osobistej Stalina, nie wpływał na ich obiektywną sytuację. Poszczególne jednostki, urzędnicy-biurokraci, mogli w każdej chwili paść ofiarą wybuchu gniewu lub kaprysu dyktatora, i stracić wszystko, łącznie z życiem. Bez biurokracji jednak, jako klasy, żadna dyktatura, ani zbiorowa, ani osobista, obyć się nie mogła.

W ten sposób, niezależnie od swoich subiektywnych zamiarów i chęci, Stalin przystępując do budowy w Rosji „społeczeństwa komunistycznego” przy pomocy państwa, obiektywnie działał w interesie klasowym „aparatu państwowego”, to znaczy biurokracji. Słowem, jak to przewidział przed przeszło stu laty Engels, Stalin był zmuszony reprezentować nie swoją partię, nie swoją klasę, lecz klasę, do której panowania ruch w danej chwili dojrzał. Tę klasę, która, jak to w ostatnim okresie swej działalności stwierdził Lenin, posiadała „kulturę rządzenia”. „W interesie samego ruchu”, dla utrzymania się na powierzchni wzburzonych przez rewolucję fal społecznych, Stalin zmuszony był bronić obiektywnych interesów klasy biurokratycznej i zbywać własną swą klasę — proletariat i masy ludowe — „frazesami i obietnicami”, bądź to zapewniając „że interesy owej obcej klasy są jej własnymi interesami”, bądź też terroryzując i niszcząc „niewiernych” i opornych przy pomocy tegoż aparatu państwowego „ucisku i przemocy”.

Formułując w 1930 roku na XVI zjeździe partyjnym swoją zasadniczą koncepcję teoretyczną budowy „społeczeństwa ko-

munistycznego” przy pomocy państwa, Stalin groźnie uprzedził, że każdy, „kto nie rozumiał tej swoistości i „sprzeczności” naszego okresu przejściowego, kto nie rozumiał tej dialektyki procesów historycznych, jest stracony dla marksizmu”. Nie były to puste tylko słowa: w ciągu następnej dekady większość dawnych współpracowników Lenina i doświadczonych marksistów została stracona w dosłownym, a nie tylko przenośnym słowa znaczeniu. Jeśli zaś chodzi o stalinowskie „frazesy i obietnice” oraz zapewnienia, że rozbudowa potęgi i koncentracja dysponowania całością życia społecznego w rękach aparatu państwowego leży w interesie proletariatu i mas ludowych, to przypomnijmy tylko słynne stalinowskie hasło, że w rezultacie kolektywizacji rolnictwa „życie stało się lepsze i weselsze” oraz oficjalne stwierdzenia: przez XVII konferencję partyjną w 1932 roku o zbudowaniu w Z.S.S.R. „podstaw socjalizmu” oraz przez XIX zjazd w 1952 roku (w treści nowego statutu partyjnego) o „zakończeniu w Z.S.S.R. budowy socjalizmu” i wejściu w okres budowy komunizmu.

Takimi „frazesami i obietnicami” zwodził Stalin przez lata masy „swojej” klasy i partii, wówczas gdy kosztem niezwykle wysiłków i niesłychanej eksploatacji mas włościańskich i robotniczych rozbudowywał potęgę polityczną i militarną państwa oraz w dziedzinie gospodarczej dokonywał tego, co Marks nazywał „pierwotną akumulacją kapitału” (rozbudowa ciężkiego przemysłu= „podbudowa” „podstawy” pod polityczno-ideologiczną „nadbudowę”). Mówił masom o „zakończeniu budowy socjalizmu” i pomyślnym, „zwycięskim” wejściu w „pierwszą fazę komunizmu” wówczas, gdy ich materialna sytuacja nie wiele się różniła — a jeśli tak, to raczej na gorsze — od sytuacji za czasów leninowskiego NEP'u! I dziś, w czterdziestym roku po Rewolucji Listopadowej, a w roku piątym po oficjalnym proklamowaniu „wejścia w pierwszą fazę komunizmu”, Związek Sowiecki nadal cechuje raczej ostry brak wszelkiego rodzaju dóbr spożywczych, niż ich obfitość czy nadmiar. A przecież według kategorycznego twierdzenia teorii klasycznego marksizmu realizowanie komunizmu możliwe by było dopiero w społeczeństwie, gdzie będzie istniał NADMIAR dóbr spożywczych.

Wiktor SUKIENNICKI

TOM XX - Biblioteki "Kultury"

JÓZEF MACKIEWICZ

KONTRA

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

Po ogromnym sukcesie, jakim wciąż jeszcze cieszy się „Baśka i Barbara” Zofii Romanowiczowej, wydaliśmy nową powieść jednego z najlepszych młodych pisarzy emigracyjnych:

TADEUSZ NOWAKOWSKI

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

POWIEŚĆ

Przeszło 400 stron druku. Cena fr. 850, sh. 17/., dol. 2.50.

Zamówienia prosimy kierować:

"LIBELLA" - Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris 4. (France)

WARUNKI SPRZEDAŻY:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam, za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach.

Czy Conrad był antyrosyjski ?

DIALOG

I

B.: — Co to za książka, którą pan ma w ręku?

A.: — Nowy przekład głośnej powieści Conrada *W oczach zachodu*.

B.: — No i co? Podobają się panu?

A.: — Doskonała rzecz, a przy tym świetnie przełożona. Stanowczo za mało mówi się o niej i czyta. Ale tłumacz sam potrosze w tym zawinił. Swoją antyrosyjską przedmową przyczynił się do obojętności czytelników wobec dzieła. Dzisiaj, gdy mniej więcej wszyscy są antyrosyjscy, nikogo taki temat zbytnio już nie ciekawi. Tłumacz po prostu zaklepał klepki czytelników.

B.: — Ładne mi uznanie! Mam prawie wrażenie jak gdyby pan tym powiedzeniem odebrał tłumaczowi znacznie więcej niż pan zrazu mu użył.

A.: — Nie! Moje uznanie dla tłumacza — przede wszystkim jako dla krytyka conradowskiego — pochodzi stąd, że nie przeszedł do porządku dziennego nad Conradem, odsyłając jego dzieło bądź do jednej z szufladek uznanych arcydzieł, bądź do „ubiegłej epoki”. Samotność, nawet osamotnienie Polaka, który dźwiga swój świat ze sobą wśród bezmiarów oceanów, u Conrada jest równocześnie jaskrawym przykładem i jakby wyprzedzeniem obecnego i coraz rosnącego osamotnienia Europejczyka. Bez cytatów literackich, bez żadnego balastu i bez podpórki tradycji Conrad uratował i ścisnął w sobie ziszczone i żywą tradycję europejskiego człowieka, nawet więcej, jej wypad w przyszłość ludzkości. Moje uznanie dla stanowiska tłumacza jest więc

wyraźne. Ale przytwierdzenie antyrosyjskim egocentryzmem narodowym raczej szkodzi takiemu zrozumieniu, niż pomaga.

B.: — A cóż innego miałby tłumacz stwierdzać, skoro antyrosyjskie nastawienie Conrada wynika jasno nie tylko z jego powieści, ale zostało sprecyzowane wielokrotnie przez samego pisarza w artykułach, listach i prywatnych rozmowach. Oto co Conrad pisał w swoim głośnym artykule „Wojna i autokracja”, ogłoszonym po wojnie rosyjsko-japońskiej w roku 1905:

„*La Russie c'est le néant*” — powiedział Bismarck. „Nicość! Może jednak książę Bismarck nie użył tego słowa w ścisłym znaczeniu? W słowie nicość kryje się budząca grozę idea nieskończoności, podczas gdy Rosja nie ma idei. Nie jest ona nicością; jest i była po prostu negacją wszystkiego, dla czego warto żyć. Nie jest zwykłą pustką — jest ziejącą otchłanią oddzielającą Wschód od Zachodu, bezdenną przepaścią, która pochłonęła wszelką nadzieję na zmiłowanie, każdą dążność do osobistej godności, do wolności, wiedzy, każde uszlachetniające pragnienie serca, każde odkupiające westchnienie sumienia. Ci co zajrzeli w tę otchłań, wiedzą dobrze, że nie ma tam gruntu dla niczego, co w najlżejszej mierze mogłoby służyć najniższemu chyba potrzebom ludzkości”.

Jest to chyba stanowisko dość wyraźne i niedwuznaczne. Trudno zaś przypuszczać, by pisarz tak uczciwy i odpowiedzialny jak Conrad, zupełnie co innego głosił w swej powieści a co innego w wypowiedziach publicznych. Dodam, że nie może być mowy o jakiejś zmianie poglądów Conrada na Rosję w samym okresie pisania *W oczach Zachodu*, bo mamy jego list do Garnetta, pisany już po wydaniu tej powieści (20 października 1911), w którym Conrad potwierdza niemal tymi samymi słowami opinie przytoczonego artykułu, cytując nawet owo zdanie Bismarcka: *La Russie c'est le néant*. I jeszcze raz pod koniec życia Conrad daje wyraz niezmienności swych poglądów w późnej przedmowie do *W oczach Zachodu*, pisząc w roku 1920, że „zarówno prześladowcy jak i prześladowani są na wskroś Rosjanami” i że „tygrys nie potrafi zmienić pręga na swej skórze ani lampart centek”. Czegóż więcej potrzeba?

A.: — Na razie niczego więcej, jak uzupełnienia zaczerpniętego z tegoż samego wstępu Conrada. Bo powiada on: „Tylko prawda może być racją bytu jakiejkolwiek twórczości”. Ponadto wyznaje: „Nigdy jeszcze nie przyszło mi z większym trudem zdobywać odpowiedni dystans w stosunku do przedmiotu, wznieść się ponad wszystkie namietności, przesady i nawet osobiste wspomnienia”. Ponad namietności? Nie, wyraźniej jeszcze, ponad żal i oburzenie! Ponad pamięć matki zgasłej na wygnaniu! To chyba dość. Rozważmy przeto, i to jest nasze zadanie, o ile wzniosł się ponad cierpienia, nie zapominając niczego, tylko używając ich jako motoru dla zrozumienia, współczucia i jak sam wyznaje sympatii. Bo brakiem ludzkim — jeśli nie grzechem — Zachodu w stosunku do Rosji jest przede wszystkim obojętność, nawet ślepotą, pokryta na przemian to dekoratywną ciekawością, to strachem, gdy podziwiają sobie czy to zwycięstwa rosyjskie,

czy takie lub inne Dnieprostroje, ale nic ich nie obchodzi *co to kosztuje!* Niewątpliwie współczucie Conrada jest szczere i nie trudno to wykazać na samym dziele.

B.: — Inna rzecz współczucie, a inna sprawiedliwość i osąd ostateczny. Można współczuć przestępcy, niemniej jednak trzeba go potępić. Nie zaprzeczam zresztą, że Conrad należy do wyjątkowych ludzi, u których obowiązkiem sprawiedliwości nie tylko nie wyklucza współczucia, ale je budzi i niejako przyzywa do pomocy — rzekłbyś dla jakiejś ostatecznej równowagi. Jednakowoż właśnie ta ambiwalencja podejścia, zarazem wymagającego i litosnego, może stać się przyczyną wielu nieporozumień w interpretacji jego utworów.

A.: — Zapewne, ale jeśli chodzi o powieść Conrada, to w swych publicznych wypowiedziach nie wyszedł on poza nią, ani jej nie anulował, bo jest ona głębszym świadectwem *całego* człowieka, przeto dokumentem ważniejszym niż przygodne bojowe wypowiedzi. Bo Conrad jest naturą zbyt bogatą, zbyt skrytą przy tym aby z powodu wspomnień o zdruzgotanej rodzinie czy też z zawziętości politycznej wynurzał się całkowicie. Swych ran zapomnieć nie mógł, Rosja była ich przyczyną, ale inni i to Rosjanie cierpieli podobnie. Cóż miał począć? Wytrwać zewnętrznie na słusznej platformie obrony politycznej narodu? Tak. Ale nie mógł się zamknąć. Jego postawa nie jest dwuznaczna, ale człowiek i pisarz tej miary, nieraz szekspirowskiej, który daje innym, i to odmiennym od siebie ludziom, miejsce na świecie, nie może być propagandystą. Nie zaprzeczy pan chyba, że docenił on heroizm nie tylko niewoli i cierpienia, lecz co więcej heroizm rozpacz.

B.: — Nie zaprzeczę, ale powtarzam raz jeszcze, że Conrad prócz współczucia posiadał swój drogo zdobyty *pión moralny* i potrafił wybaczyć wszystko, prócz nielojalności i zdrady. Nie wolno nam pominąć tego znamiennego wyznania wiary, jakie Conrad składa w swoich „Wspomnieniach”, że „porządek świata opiera się na kilku prostych ideach, starych jak góry; między innymi jest to idea wierności”. Toteż Conrad darzy swego głównego bohatera tej powieści jedynie pogardliwą litością, a nie uważa go, nie może uważać za towarzysza doli na tym świecie, za współczłowieka, sądząc z tego co wypowiada przez usta nauczyciela języków, człowieka Zachodu.

A.: — Nie wyrządza pan przysługi Conradowi podkreślając taki arystokratyzm, bo czyż uważa pan, że przeciwstawiony przez usta tegoż nauczyciela „Zachód” wychodzi tak pozytywnie w porównaniu z rzekomym Wschodem, jakby wskazywała powierzchnia jego wypowiedzi, skomponowanych bądź co bądź przez wielkiego a skrytego ironistę Conrada.

B.: — Coś panu później powiem na ten temat, ale na razie słucham.

A.: — Jeśli chodzi o sam tekst, zawiera on niezmiernie wiele bardzo ważnych i wyraźnych danych, że Conrad właśnie ustami owego rzekomego zachodniego człowieka krytykuje a na-

wet smaga Zachód, a także jego postawę wobec „Wschodu”. Przede wszystkim wrażenia z Genewy. „Ulice nosiły piętno obłudnej i bezdennej nudy”. Słowa samego pisarza. Tak nie napisałby entuzjasta Zachodu. I dalej: „Miasto prowincjonalnych cnót i uniwersalnej gościnności” (hotelowej), „miasto obowiązkowej tolerancji, szanowne miasto uchodźców, dla którego wszystkie ich bóle i nadzieje nic nie znaczą”. Co więcej, ów widz zachodni ma uczucie, że został zamieszany w coś chorobliwie przesadnego nawet *teatralnego*. Ironia jest widoczna. Pewna Szwajcarka, nasza przyjaciółka, osoba o niepospolitej inteligencji, która zresztą była w Polsce przed wojną, już po wojnie powiedziała mi swe wrażenia niemal słowami nauczyciela języków z powieści Conrada, chociaż nie znała wcale tej powieści: „Obcowanie z Polakami jest nieznośne, bo te wszystkie przeżycia, deportacje, więzienia itp. są wprost teatralne, a ponadto uwikłują nas w takie życie i dręczą przez to”. Przygodnie autor podśmiewa się z „widza” jeszcze inaczej. Oto nawet pismo rosyjskiego listu wydaje mu się czymś kabalistycznym, niepojętym dla Zachodu.

Podobny smak ma opinia nauczyciela języków, „że całe to napięcie (którego ofiarą jest panna Haldin) podkopałoby zdrowie dziewczyny zachodu, ale natury rosyjskie odznaczają się odpornością”. Ironia w ustach autora, człowieka, który w dzieciństwie był wywieziony z rodziną do Wołogdy, stracił na wygnaniu matkę, a w skutku wygnania, ojca. Przypomina mi się tu opinia pewnego całkiem dobrze myślącego fryzjera francuskiego, że ludzie „Wschodu” przywykli do tego wszystkiego, bo mają jakąś inną skórę.

B.: — Tak. Ale ów stary Anglik, choć jest pewnego rodzaju *porte-parole* autora, musi być także sobą, to jest zasuszo- nym nauczycielem języków. Musi go cechować pewna trudność, a nawet opaczność rozumienia spraw i psychiki Rosjan, przynajmniej od czasu do czasu jeżeli ma się nam wydać postacią prawdopodobną. Autor więc na pewno całkiem świadomie nadał mu pewne realistyczne cechy związane z jego narodowością i zawodem. Nie dajmy się jednak tym ubocznym cechom zmylić. Nic na to nie wskazuje by autor ze swym narratorem w zasadzie się nie solidaryzował.

Wydać mi się zatem, że nie mamy prawa wątpić o powadze zasadniczych orzeczeń starego nauczyciela p. Haldin, zanadto zresztą pobrzmiewa w nich ton głębokiego przekonania i powagi właściwy frazie samego Conrada. Łatwo nawet wykryć w jego wypowiedziach — po patosie i pasji ujęcia — ustępy gdzie Conrad przemawia za samego siebie. A są to właśnie najbardziej niszczące analizy rosyjskiej rzeczywistości i charakteru.

Dodajmy do tego, że w owym jakby niedocenionym przez pana wstępie autora znajdują się refleksje Conrada, osobiste ale głębokie i ostateczne, bo najbardziej przeraża go to iż ci wszyscy ludzie wplątani w krwawą bezcelowość zbrodni i po-

święcenia, nie są zjawiskiem wyjątkowym, lecz powszechnym, normalnym wytworem swego kraju, czasu i rasy. I to jest także obrona wstępu tłumacza.

A.: — Na to odpowiada sam Conrad w powieści (str. 257), że prawdziwy dramat despotyzmu nie jest właściwie polityczny, bo nie rozgrywa się na wielkiej widowni politycznej, tylko za kulisami, w sercach ludzi, którzy tak jak matka Haldina, na przekór wszystkiemu, nie godzą się z tym wewnętrznym. I temu właśnie Conrad nie tylko nie odmawia współczucia ale nawet identyfikuje się z tym ostatnim bastionem, gdyż jak wynika ze wstępu, nie oczekuje zmiany od upadku takiego czy innego systemu, tylko uzależnia ją od *przemiany w sercach*. Po części zresztą nawet odezwaną się Razumowa o Zachodzie jak widać z napięcia, które wprowadza Conrad, pochodzą od autora. Reakcja Razumowa na obywatela szwajcarskiego wypoczywającego po królewsku, jak gdyby wszystko do niego należało, jest taka: „Wyborca, wybieralny, oświecony, a z tym wszystkim bydlę” (str. 60). Albo dalej: „Ta gmina w samym sercu demokracji. Serce jak gdyby dla niej stworzone — nie większe od zeschłego ziarnka grochu i tyleż warte”.

B.: — Nie wiem czy te kpiny z demokracji możemy słusznie przypisać samemu autorowi, tym bardziej, że włożył je w usta amatora zniechęconego przez siebie despotyzmu. Ale skoro panu idzie o wykrycie antyzachodniego nastawienia Conrada, mam dla pana inne argumenty. Istnieje niedokończona powieść Conrada pt. *Siostry*, napisana w roku 1896, w której pisarz zdecydowanie oświadcza się przeciw światowi zachodniemu. W pierwszym jej rozdziale daje on bardzo krytyczny i pozbawiony jakichkolwiek względów obraz życia w zachodniej Europie, którą zwiedza gość ze wschodu, młody malarz, Ukrainiec. Życie to

„odpycha wewnętrznym bezładem i małością... Nie istnieje w nim nic wielkiego, ponieważ wszystko jest skończone, określone, związane z ziemią... Poza nim rozciąga się wspaniały świat spraw nieskończonych i wiecznych — ale świat to beznadziejnie daleki zachodnim sercom, w których jego tajemnica nie potrafi obudzić niczego poza ukrytym lękiem i wzgardą”.

Wreszcie pisarz przeciwstawia niedwuznacznie „kryształowo czystym lecz ciasnym widnokrzom Zachodu — wrodzoną mądrość Wschodu”.

Można tu zatem znaleźć jak na dłoni to, co pan stara się wyłuskać z tekstu *W oczach Zachodu*. Można by niemal określić, że Conrad patrzy tutaj na świat zachodni — oczyma Wschodu. Nie zapominajmy jednak o datach. To są poglądy Conrada z roku 1896, a *W oczach Zachodu* powstało w roku 1910. Pierwsze zetknięcie się żeglarsza dalekich mórz ze stałym lądem Europy i jego skonwencjonalizowaną cywilizacją obudziło, jak widać, w duszy Conrada reakcję zdecydowanie niechętną. Ale od tej pierwszej reakcji do *W oczach Zachodu* pisarz przeszedł długą drogę myślową, wejrzał głębiej w istotę zarówno Zachodu jak

i Wschodu Europy i miał czas zważyć wszystkie za i przeciw. I w końcu, w moim rozumieniu, zdecydował się wybrać ograniczony, ale jasny horyzont Zachodu przeciwko zwodnym pokusom wschodnich bezkresów.

Nie jeden element *Sióstr* znajdziemy także w *W oczach Zachodu* — bo Conrad nigdy nie wielbił Zachodu na ślepo i do końca życia widział jasno jego braki — ale elementy te znajdują się już w zgoła innej kompanii ideowej i mają inny wydźwięk ostateczny.

Toteż wracając do antyzachodnich wystąpień Razumowa, wydaje mi się, że nie mają one w powieści uczuciowego poparcia autora — chociaż sam Conrad nie szczędzi cięgów „zachodniej” Genewie. Pogarda Razumowa dla Zachodu jest po prostu wynikiem obcości Zachodu, komentowanej przezeń swoicie po rosyjsku.

A.: — „Obcość”? Nie! To wykazuje i nawet podkreśla gdzie indziej i to świadomie. Pamięta pan przecie, jak reaguje Razumow na obcość Juliusza Łaspary, na jego niezmordowaną aktywność i wciąganie innych do niej. „Przeklęty Żyd!”. Conrad umyślnie nie rozstrzyga czy Łaspary był Żydem, ale wyjaśnia, że jest to opowieść *nie o Zachodzie*. Wiemy jednak, że podobne reakcje wcale nie są przywilejem Rosji i spotykaliśmy je w Polsce, nie mówiąc już o Niemczech Hitlera. Ironia Conrada w stosunku do Zachodu, który rzekomo jest wolny od takich reakcji, jest zbyt widoczna i chyba także wieszczą. Nie ulega wątpliwości, że rzekome stanowisko zachodnie Conrada bywa nieraz pułapką.

B.: — Wydaje mi się, że w pańskich twierdzeniach jest pewna sprzeczność. Z jednej strony widzi pan w Conradzie „ściśnienie europejskiego człowieka” na przestrzeni wieków, a potem wykazuje pan jego ironię wobec Zachodu, który sam reprezentuje. Czy też może przypisuje pan wewnętrzną sprzeczność samemu Conradowi?

A.: — Nie widzę w tym żadnej sprzeczności, gdy uświadomimy sobie, że „Zachód” już w ciągu ostatnich stu lat, a jeszcze bardziej obecnie uroił sobie, że on jedynie jest Europą. Takie pretensje (wyrażone jako posiadanie jedynie prawdziwej wiary) nie były zbyt dziwne w okresie wypraw krzyżowych. Ale dzisiaj, to znaczy od pół wieku przynajmniej, kończyć Europę na granicy wschodniej niemieckiej, a obecnie nawet na granicy okupacji amerykańskiej, to trochę za wiele do strawienia, a o wiele za mało dla utrzymania Europy. Toteż Conrad dosadniej napiętnował zachodnią pogardę dla Wschodu niż jakikolwiek historyk, czy Jakub Burkhart w swym studium o Bizancjum czy Grosset w swym „Bilan de l'Histoire”. Prawdopodobnie głównie dzięki swej rodzinnej i polskiej tradycji z kraju, w którym nie tylko Wschód ścierał się z Zachodem, ale, jak świadczy choćby związek narodów nazwany Rzeczypospolitą, a przede wszystkim Unia grecko-katolicka, także spajał się z Zachodem.

Conrad nie tylko nie stanął jednostronnie po stronie Zachodu, ale w jądrze swojej rosyjskiej powieści uchwycił — on jedynie nie-Rosjanin — głęboko ukryty i zasypany wieloma warstwami, a jednak rzeczywisty nurt sumienia, który ściśnięty w ten sposób z konieczności wybucha niszczycielsko.

B.: — Cóż pan nazywa jądrem powieści i co jest owym rzekomym nurtem sumienia?

A.: — Przewrót i wybuch wewnętrzny Razumowa.

B.: — Wyrażenie pana tak zwięzłe i pewne siebie wprowadza mnie w kłopot, bo nie podobna się na nie zgodzić tak gładko i bez komentarzy. Muszę przyznać rację tłumaczowi, że Razumowa w widzeniu Conrada cechuje prymitywizm moralny, niewypracowana i nieuświadomiona moralność jak gdyby pierwotnego człowieka. Wprawdzie doprowadza ona do zwrotu zupełnego w Razumowie, ale przychodzi jakby z zewnątrz czy też z nieznanego dna duszy, a udział woli i świadomości jest tu wtórny i nieważny.

A.: — Chciałbym to odeprzeć jak najsilniej nie w innym celu jak na to, aby uratować wartość odkrycia, powiem prawie wynalazku, Conrada. Gdzież jest przełom moralny jak nie w tym wypadku i od kiedy pewność i zbyt pewne siebie uświadomienie sumienia, a nie czyhanie wewnętrzne i drżenie jest jego kardynalną cechą i największą zaletą? Zobaczmy przede wszystkim jak zamknięty i zaryglowany ze wszystkich stron jest Razumow w swej psychicznej rzeczywistości. Nie zapominajmy jeszcze, że zupełna niemuzikalność religijna, niemal głuchota duchowa zgęszcza atmosferę jego samotności. Konstruuje go tak właśnie, autor nie mógł mu chyba zrobić większych trudności dla obudzenia się sumienia. Naturalnie że przełom Razumowa pochodzi z „zewnątrz”, ale wcale nie z jakiegoś społecznego zewnątrz, tylko spoza granic zaryglowanej rozsądkiem świadomości. Jest to obudzenie nagłe, bo Razumow był najzupełniej samotny, pogrążony w jamie, w piekielnej tajemnicy swego czynu. Tym bardziej gdy siostra Haldina owa przejrzysta i pełna ufności dusza skłaniała się ku Razumowi jako jednemu przyjacielowi zniszczonego przez carat brata. W rezultacie pozostało mu to jedno — odkryć wszystko, dać się przez to złamać, życiowo kark złamać całkiem samotnie. I taki czyn miałby być wyrazem moralności „prymitywnego” człowieka? To oczywiście nie jest zaletą, że brak mu było sokratyzmu, treningu moralnego, tak jak całej Rosji go brak. I brak „reformacji” w głębszym znaczeniu to jest tego co dała ona pośrednio czy bezpośrednio, w kierunku racjonalnego życia moralnego. Razumow gardził „konwencjonalnym sumieniem” ale nosił w sobie podziemną burzę sumienia. Taki poryw zresztą nigdzie nie jest zjawiskiem powszechnym, ale jako indywidualny i niekonwencjonalny ma w sobie wszystkie cechy narodzin moralnych, wybuchu bezmiennego, niedającego się zaszufadkować, zwłaszcza, że graniczy ze samozniszczeniem. Należy bowiem trening moralny, wynik cywilizacji i stabilizacji, urobiony dzięki

otoczeniu i szkoleniu, oddzielić ściśle od samych źródeł moralności. Już Plato wspomina o tym ze smętkiem, jako o możliwości, jak wyglądałoby obywatele społeczeństwa cywilizowanego, którym rządziłaby prawda, gdyby ich niespodzianie przenieść w stan wojny, bezprawia i moralnego chaosu. W tym rzecz, że przełom Razumowa pochodzi jakby spoza niego, z „dna” jak słusznie wyraża się tłumacz, jako coś obcego, jako daimonion, nie tylko jako coś moralnego w społecznym i użytecznym sensie lecz jako coś boskiego.

B.: — Obawiam się, że przez ten ciekawy zresztą wywód, odwraca pan uwagę od właściwej intencji Conrada, a nawet ją mimowoli wypacza. Bo po tej jak gdyby pochwałę samorodnej moralności nie każdy słuchacz potrafi ją oddzielić od osoby i od narodowości bohatera. Postawmy sprawę całkiem prosto i zapytajmy: czyż Conrad miałby Razumowa ukazać jako wzór? Na pewno nie. Podejście Conrada do Razumowa, od początku zimne i ironiczne a tylko pod sam koniec złagodzone współczuciem, wskazuje wyraźnie, że w intencji autora nie jest on wcale ideałem do podziwu czy naśladowania, ale odstrasającym przykładem, niepociągającą ofiarą nieludzkiego systemu. Co więcej aspołeczny a równocześnie oportunistyczny Razumow to niezbędną ogólniwo samego systemu. Bez Razumowych nie byłoby carów. Bo Conrad wszystkich Rosjan — złych i dobrych — uważał za ludzi tragicznie wykolejonych, za naród „pod przekleństwem” i nie zgadzałoby się to z powagą i pasją jego dzieła, gdyby podsuwał ich za wzór Zachodowi, którego zresztą jak przekonał się wcale nie uwielbia.

A.: — Pozwoli pan, że przerwę, bo trudno przypuścić aby taka niewyszukana alternatywa — jak antyrosyjskość czy prorosyjskość — wyczerpywała stanowisko Conrada. To byłby specyfik słabości, właściwy niektórym politykom. Dotąd nie było przecież mowy o żadnym stawianiu za wzór, tylko o odkryciu Conrada. A we wspomnianym odkryciu można by się dopatrzeć co najwyżej zdziwienia odkrywców wraz z cichą lecz gorzką ironią: patrzcie jak dziwna jest dusza ludzka! Sumienie budzi się w człowieku wyrzuconym poza nawias, opuszczonym, zatkanym, wyzębionym przez osamotnienie, a nie koniecznie w tych, których od urodzenia pilnuje katechizm i grzeje opieka moralna.

B.: — Zapewne. Rzecz to zrozumiała (choć prowadząca do wielu nieporozumień), że źródła człowieczeństwa biją zazwyczaj najwyżej tam, gdzie nie zostały jeszcze wykorzystane, nieujęte w system, a także, że wykładany przez pokolenia katechizm moralny często może spospolitować i przysypać kurzem zobojętnienia samą istotę dobra, na której został zbudowany. Ale z tego nie wynika wcale, byśmy mogli oprzeć cały nasz system praworządności i bezpieczeństwa moralnego na spontanicznych i nieobliczalnych reakcjach moralnych w rodzaju pokajania Razumowa. Pomyślmy tylko w kogo rozwinałby się Razumow, gdyby nie był spotkał przypadkiem Natalii Haldin? Mielibyśmy może

jednego więcej agenta Ochrony przenikliwego a gardzącego ludźmi.

Conrad był nie tylko genialnym analitykiem procesów moralnych, ale przede wszystkim praktykiem, który w ogniu własnych doświadczeń dobrze poznał zasady moralnego bezpieczeństwa dusz. Wiedział że jak marynarza na statku, tak też człowieka w życiu powstrzymuje od hańby i klęski skrupulatne przestrzeganie kilku prostych i od dziecka mocno wpojonych zasad. To jest może mało, lecz to jest również bardzo wiele. Bo „naturalne” sumienie, jakkolwiek bezcenne źródło wszelkiej moralności, musi być umocnione przez kulturę sumienia, przez system świadomych i głęboko wbitych nakazów i zakazów, które niby pierwszy rząd okopów powstrzymują stały napór nieprzyjaciela.

Więc koniec końców nie można się dziwić że Conradowi nasuwało się tak często w obliczu spraw rosyjskich to określenie: cynizm. Choć może idzie tylko o jakiś straszliwy, dziecinny brak konsekwencji i poczucia odpowiedzialności. Nie dziwny się także, że nie potrafił polubić swego niesamowitego bohatera. Bo, powiedzmy sobie szczerze, że cała ta porodowa operacja sumienia, wraz ze wstępnymi nieudanymi zabiegami i wykrętami, a zatem gdy bohater powieści Razumow wchodzi do szynku, odnajduje pijanego woźnicę i wali go tak bezlitośnie, że według relacji Sofii Antonownej całe ciało było jednym sińcem, i gdy wreszcie zjawia się u rosyjskich rewolucjonistów w Genewie aby się odkryć i dać zniszczyć, wszystko to razem jest brutalne i odpychające. Wspomniał pan przed chwilą o sokratyzmie, o ironii. A jakżeż brak w tym wszystkim ironicznej tolerancji, brak ironii, w gruncie rzeczy zgodliwej i nawet przebaczącej, sokratycznego stanowiska. Bo wszystko co oparte na tyranii i cierpieniach jest podminowane, a przez to odrażające. I to nam wyraźnie przedstawia Conrad. Wiedział on że rozumieć można i trzeba, zwłaszcza że jest w tym siła wyższa dla walki, ale nie solidaryzować się przez rozumienie bierne. *What is to be done* — pyta Zachód. Goethe mówi: na początku był czyn. I Mickiewicz podobnie.

A.: — Ach te czyny, ci działacze. Wydaje mi się, że podcina pan gałąź na której pan usiadł. Także Wschód pytał ustami Czernyszewskiego: *Czto delat'*. I jak zaczęli działać to czasy nasze pękają od nadmiaru ich czynów.

W tym miejscu milczący świadek naszej rozmowy, p. W.D., poruszył się prosząc o głos. Nazwijmy go tutaj C.

C.: — Zgadnam się, że „wybuch” sumienia z dna wcale nie jest dowodem prymitywizmu, bo w takiej formie może zgłosić się zbudzenie najwyższej odpowiedzialności. Ale może także wskazywać, że zaniedbano wychowania, prowadzenia i kierowania sumienia chociażby posiadało wielki potencjał. Wychowanie sumienia i torowanie mu drogi jest zadaniem tych instytucji, które mają do czynienia z najtajniejszymi zakątkami serc ludzkich, a zatem religii i kościołów. Powiem śmieiej, kościoła po-

wszechnego, który mimo zawikłań historycznych wychowuje ludzi nie dla celów ziemskich jedynie, a zatem nie dla państwa, nie dla narodu ani cywilizacji ani dla szczęścia ludzi na ziemi, ani nawet dla samej swej organizacji, tylko dlatego aby się stali dziećmi Najwyższego, jak zapowiada psalm Dawidowy. Niestety ani we wstępie tłumacza ani w dotychczasowej rozmowie chociaż była mowa o wielkiej tradycji, rzekomo nawet o „wypadzie w przyszłość”, nie wspomniano o religii a w szczególności, jak należałoby się spodziewać, nie mówiono o tradycji religijnej Europejczyków, o chrześcijaństwie. Natomiast w samej książce Conrada, trzeba to podnieść, choć wskazówek religijnych niewiele, są one ważne i ostateczne. Nie mogę rozstrzygnąć czy zamierzone przez autora czy wynikłe z pewnej logiki tematu.

W pamiętnikach Razumowa wspomniany jest zaledwie smak świętokradztwa, nie świętości, ale trzeba czuć choćby nieświadomie obecność świętości, aby tak dotkliwie odczuć świętokradztwo. Razumow bowiem przedstawiony jest w swych dalszych perypetiach, zwłaszcza po przyjeździe do Genewy, nie jako ten, który czyni i zamierza zło dla korzyści lecz dla wyzwania dobra, w odplacie za sieroctwo, za brak miłości, za los osamotnienia i w braku innej broni jak pogarda. Pogarda to jego bastion, jego ratunek, to jedyna wewnętrzna ojcowizna sieroty. Przez to jest już blisko piekła, choć zrazu jeszcze nie ma w pogardzie samego piekła jak Farinata Dantego. Motorem jego sumienia stała się miłość, bo pokochał człowieka czystego i ufnego serca, siostrę swojej ofiary. Ale ta miłość jest spadkiem poświęcenia i przebaczenia terrorysty Haldina, wydanego przez samego Razumowa. W rezultacie Haldin zwycięża w powieści, swym frontalnie zagarniającym atakiem zaufania i poświęcenia. Ofiara z Życia, chociaż fałszywa w zastosowaniu, była szczerą i wielką w intencji a uwieńczyła ją ufność w „zamachu” na duszę człowieka głuchego moralnie. Już to że Haldin zobaczył w Razumowie, jak napisał w liście do siostry, „nieskalane, wzniosłe, samotne istnienie”, co Razumow wspomina z krwawą ironią i ze złością, założyło od razu petardę pod Razumowa rzeczywistego. Zaufanie siostry Haldina rozsądziło go ostatecznie. Uświadamia sobie napróżd ze złością, potem ze wstrząsem: „mam dar wzbudzania zaufania”. Toteż zwycięstwo Haldina poza grobem jest ostateczne. I z tego wynika, że nie tylko złote wywody Conrada co do Zachodu są słuszne, ale o wiele więcej: że w powieści zwyciężają Rosjanie, a raczej coś poza nimi, „Sędzia sprawiedliwy”.

B.: — Zwyciężają Rosjanie? Czyżby? A jakże określa to sam Conrad w przedmowie do powieści:

„Okrucieństwo i głupota rządów autokratycznych wywołuje niemniej głupią i dziką reakcję utopijnego rewolucjonizmu, który oddaje się niszczeniu — w tej dziwacznej wierze, że w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza przemiana w sercach. Ci ludzie nie są w stanie zrozumieć, że mogą osiągnąć jedynie zmianę nazw”.

Przypuszczenie, że Conrad jest prorosyjski, ku któremu obaj panowie zdają się zmierzać na podstawie jego powieści, opiera się głównie na poglądzie, że Conrad widząc ostro ujemne cechy Zachodu, miałby tym samym wybrać Rosję. Lecz w istocie choć Conrad dostrzega zalety jak i słabizny obu stron wybiera tę, której saldo jest solidniejsze. Rzecz pewna, że nie jest to saldo rosyjskie.

C.: — Ujmę to inaczej, a na razie nie chcąc łudzić nikogo muszę powiedzieć otwarcie, że nie mam sympatii do samego Conrada. Conrad dobywa wprawdzie ze swego duchowego dziedzictwa cechy i dźwięki religijne, lecz wydaje mi się odstępą od czegoś co wiedział, ale porzucił i czego nie chciał zgłębić. Wiedział, bo gdyby nie wiedział, nie mógłby stać się odstępą. Powiem w dodatku, że odstąpił na rzecz czegoś, co nawet nie jest jego godne. Bo i on przecież jest w sytuacji podobnej jak ci jego „wstrętni” Rosjanie, tylko, że dobrowolnie rezygnuje i przyjmuje porażkę, *c'est cela qui me révolte contre lui*. Defetysta duchowy, któremu może świta coś czasem, że jego pozycje nie są zwycięskie to jest prawdziwe, i że nie mogą się ostać.

A.: — Ale przecież poprzednio wymienione cytaty z książki i wywód pana B. co do rozwoju Conrada, jak to wynika z powieści *Siostry*, wskazują dostatecznie, że nie „odstąpił” jednoznacznie na rzecz jakiegoś Zachodu, jakby się mogło komuś zdawać.

C.: — Rozważmy przecież do czego nawraca we wstępie autorskim z roku 1920. Nie lekceważmy tego wstępu i w każdym razie nie pomijajmy go, jak zdaje się czynić to pan A. Przeciwnie! W takim nawrocie na trzeźwo i to po dokonaniu odkryć, o których mówiliśmy, odsłania się defetyzm Conrada. Bo cóż znaczy ów fatalizm naturalistyczny i prawie rasistyczny, takie powiedzenie niegodne jego, jak to o tygrysie i lamparcie? Czyżby owa rzekoma „dusza narodu” była jakąś monadą niedostępną i pozagradzaną na wieki płotami i kratami? I nawet gdyby coś w tym było, czyż należy ją tak stabilizować? Chyba tylko z bezradności. Pan A. wspominał o „wypadzie w przyszłość”. A któreż inne źródło jak nie Ewangelia odsłania nam w jednym zamachu szlaki w przyszłość, tak jak otwartą poświatę miesięczną na szlakach oceanu. Któż, jeśli nie Conrad, powinien był sobie zapamiętać i przeniknąć wymowę takiego właśnie obrazu ze szlaków morskich, a nie zapychać politycznych wrogów narodu do wiecznej klatki. Polacy zresztą ładnie by wyglądali, gdyby uwierzyli raz na zawsze w swą „skórę”, taką a nie inną, i że nigdy się z niej nie wydobędą.

B.: — Czy z tego wynikałoby, że zdaniem Pana przecież w konflikcie Zachodu ze Wschodem Rosja ma w jakiś sposób rację?

C.: — Wynika chyba to, że zarówno w konflikcie jak i w nieśczęśliwych próbach zbliżenia się, obojętność, a ja powiem silniej: wygasająca dusza Zachodu zawiniła wielce, bo to nie Wschód lecz Zachód wyprodukował na Wschodzie bolszewizm.

Wschód należał do zony religijnej i brał wszystko dosłownie, religijnie. W swych porywach Rosjanie szukali religii, a treść ich poszukiwaniom dał Zachód. I stąd nienawiść do Zachodu zrozumiała, bo Rosja jest ofiarą Zachodu, a nie potworem samym w sobie. Nienawidzą Zachodu za to, że sami są teraz tym czym są.

B.: — Te opinie są niewątpliwie szczere a także śmiałe, ale przecież ludzko przypominają zdania Dostojewskiego ze słynnego *Dniewnika Pisatiela*. A to chyba już musi uprzedzić krytycznie.

Jeśli nawet przyjąć, że myśl i technika Zachodu w istocie zdemoralizowały Rosję — to czy winna i zła jest sama w sobie powieść dla dorosłych, która przedwcześnie wpadnie w ręce dziecku lub barbarzyńcy i zdemoralizuje ich? A poza tym czyż duch Wielkorosji jako jądro imperium nie był już uformowany za Iwana Groźnego? Wraz z tym, że umiał zwyciężać nawet w klęsce, bo łudził tak umiejętnie, że prawie prawdopodobnie, jezuitę ojca Posewina, zarówno jak nawet naszego króla, trzeźwego Stefana Batorego, przynętą połączenia się i nawrócenia na katolicyzm przy głębokiej pogardzie i obrzydzeniu w stosunku do katolicyzmu.

C.: — A jednak w chrześcijaństwie wschodnim, choć pod powłoką schizmy są wielkie i cenne zasoby wiary i obecności Bożej, zadaniem katolicyzmu zaś jest uwolnić Rosję od fanatyzmu, ciasnoty i skurczu. Zatem na darmo jest płakać nad niemoralnością Rosji, bo jest to hipokryzja. Do Moskwy nikt inaczej nie wejdzie jak z krzyżem.

A.: — Jeszcze gdy mowa o wpływach a nawet i „winie” Zachodu trzeba by stwierdzić, że w żadnym wypadku sprawa wpływów nie jest łatwa i że cała „wpływologia” nieraz błądzi po manowcach. Przecież każdy człowiek, i prawdopodobnie także każdy naród, wybiera taki wpływ lub tę stronę wpływu, która mu odpowiada lub jakoś dogadza. Dlaczego Rosjanie nie przyswoili sobie, i nawet nie śnili by sobie przyswoić, ducha sokratyzmu? (Choć nie należy twierdzić, że nie mogą tego zrobić albo nie robią). Ani ducha dialogu i wszystkiego tego, co zatem idzie.

Zatem od czego „odstąpił” Conrad rezygnując z wniosków ze swego zrozumienia Wschodu? Chyba tylko z misji Rzeczypospolitej łączenia Zachodu ze Wschodem? Ależ Polska zrezygnowała z tego dawno. Conrad był tylko niemal ostatnim ogniwem w tym procesie i chociaż, jak widzieliśmy, rozumie Rosję, sam już nic „zrobić” nie mógłby, a co odkrył uczynił wstydliwie i dla tych co mają uszy dla słuchania. Jak Polska sama, zawisł między dwoma światami. Lecz dalsze dyskusje zaprowadziłyby nas za daleko i nie skończyłyby się rychło. Chodziło nam o to czy Conrad był antyrosyjski, a chyba niewątpliwie, że w głębszym sensie nie był.

B.: — Skoro pan po wszystkich za i przeciw w rozważaniu tej sprawy, doszedł do wniosku ostatecznego, myślę, że po-

winieniem uzupełnić go kilkoma również ostatecznymi uwagami. Proszę wybaczyć mi, że się rozgadam, ale sprawa prawdy o Rosji, tak jak ją widział Conrad, nie jest wcale prosta — a przecież o tę własną prawdę Conrada nam tutaj przede wszystkim chodzi. Otóż mnie się zdaje, że stanowiska Conrada w zagadnieniu Wschód-Zachód póty się nie zrozumie i póty będzie się wydawać nieraz całkiem sprzeczne osądy, póki nie wnuknie się w pewną specyficzną cechę umysłowości tego wielkiego pisarza i człowieka. Conrada cechuje rzadko u ludzi spotykany zespół psychiczny: Oto przy niezwyklej zasięgu i wszechstronności umysłowego widzenia posiada on zdolność praktycznego wyboru. Cecha ta przejawia się jednolicie w jego stosunku do zasadniczych zagadnień życiowych i być może jest wynikiem faktu, że ten myśliciel i poeta tkwił przez dwadzieścia lat w praktycznym, trudnym zawodzie, wymagającym szybkiej i jasnej decyzji, w każdej chwili jego wykonywania. Znamienne przy tym, że wszystkie decyzje Conrada, o których wspominam poniżej, mają swój moralny aspekt, swój cel: bezpieczeństwo i prawosć duszy człowieka.

A oto przykłady: Choć pogląd Conrada na świat jest zasadniczo pesymistyczny, choć nie widział on w układzie świata ani celu ani sensu — wyznaczył dla siebie i swych bohaterów prosty i pozytywny program moralny, stworzony właśnie przez wyznawców sensu i celu — wyznaczył nie dlatego by program ten był filozoficznie nienaruszalny, ale że jest praktycznie słuszny i wybawia duszę człowieka od grożącej zewsząd katastrofy.

Inny przykład: Conrad, rewolucjonista z tradycji rodzinnej i z ducha, wróg tyranii, szyderca kapitalistycznych interesów materialnych — jest w swych polityczno-społecznych poglądach zwolennikiem raczej ustalonego porządku rzeczy, niż gwałtownych reform i przewrotów. Wybiera on zło mniejsze od większego, woli porządek choć niedoskonały od wstrząsów społecznych, które wyzwalają bestię w człowieku i prowadzą do groźnego chaosu, który najczęściej strąca ludzkość o stopień niżej od tego, z którego usiłowała się podnieść. Niestety, ostatnio sami mamy możność obserwować przykład tego, na miarę światową.

Wreszcie wybór, który nas w tym przypadku najbardziej obchodzi: Conrad widząc jasno „zmaterializowanie”, formalizm i zacieśnienie ducha na Zachodzie, nieraz po prostu dusząc się w tej atmosferze, stanął jednak zdecydowanie po stronie zachodniej równowagi, praworządności, ochrony praw jednostki i moralnego konwensu — przeciw wschodniej krańcowości, bezprawiu, tyranii i brakowi wiążących norm moralnych. Jak już wspominałem, mówiąc o wyznaniu wiary Conrada z wczesnej powieści *Siostry*, nie był to wybór prędko ani łatwy i Conrad przeszedł długą drogę, nim w końcu zdecydował się opowiedzieć po stronie, która choć sama bardzo daleka od doskonałości, jest mądrzej dostosowana do niedoskonałej natury człowieka. Na początku powiedział pan, jakże słusznie, że Conrad ścisnął w sobie

żywą tradycję europejskiego człowieka. Tak, właśnie tradycję. Jeżeli wybrał Zachód — to dlatego, że miał w sobie widzenie jego wielkiej historycznej całości. W pojęciu Conrada Zachód był nie tyle dzisiejszością, ile tym wszystkim, co rodziło się na terenie zachodniej Europy tak w dziedzinie myśli jak wychowania człowieka od czasów starożytnych. Zapewne, każda „szkoła” ma swoje braki a w końcu zasklepia się i degeneruje. Widzimy to niestety dzisiaj. Niemniej zdobycze jej może nie są jeszcze niepowrotnie stracone.

Wydaje mi się, że ta krótka pochwała Zachodu była potrzebna w tej naszej rozmowie. Tkwi ona niewypowiedziana poza postawą narratora jak i autora *W oczach Zachodu* i ona to nadaje jego ocenie spraw rosyjskich ton głębokiego przekonania, które bez tego mogłoby się wydać gołosłowne lub płytkie.

C.: — A jednak chyba sam pan nie zaprzeczy, że Conrad stanął także po stronie rdzenia ludzkiego w Rosji, który choćby nawet w otoczeniu obrzydliwym, posiada wartości niezastąpione i to nam może dać nadzieję — a nie mówimy tu o drogach — że ktoś mógł powszechnie przyjęty z dobrej woli, odrodzi Rosję.

A.: — Aby docenić podatność tego rdzenia, te wartości i te nadzieje warto by mieć wejrzenie znacznie głębsze niż to co o tym wie ogół, a tym bardziej zachodni, nawet katolicki. Tymczasem brak nam właściwie obrazu przekonującego od wewnątrz, który by pozwolił wierzyć w powyższy wyraz nadziei.

C.: — A jednak nie jest przecież niemożliwe dla uszu religijnie muzykalnych, jak się wyrażono przed chwilą, dosłyszec na wschodzie tony nadziei. Nie chodzi mi o dogmatyczne refleksje ani wiarę całkiem świadomą i choć poprawną intelektualnie lecz zamarłą, bo zamarła z braku gorzenia wewnętrznego. Co nas uderza na wschodzie to przeżywanie obecności bożej, do której „stworzenie wzdycha leżąc w boleści” (apostoł Paweł) i tęsknoty ku jej spełnieniu u tych „co chcą być współnikami bożej natury” (apostoł Piotr). I to nawet u tych jednostek i grup, których wychowanie religijne nie jest dostateczne, u ludu, nawet u analfabetów. Ten i ów Europejczyk odpali mi na to z miejsca, że na skutek rewolucji i to wszystko nawet wygasło. Tymczasem na przykład „Komsomolskaja Prawda” z marca 1956 donosi o wielkim święcie i procesji spontanicznej w ziemi Kurskiej, obok źródła uważanego za święte. Referent opowiada, że tłumy młodzieży komunistycznej, jak gdyby rwący strumień, brały udział w tym niepohamowanym porywie. Może takie stosunkowo szczupłe wiadomości, które przecież ciągle nas dochodzą, o porywach trwalszych od świadomości, od wychowania nawet i od zamiaru, powiedzą nam coś nie coś czego my na zachodzie w oburzeniu na Rosję nie staramy się dosłyszec.

A.: — Zapewne jest to pocieszające, że w Rzymie, gdzie pan tak wiele przeżywał, ma się słuch tak wyczulony dla spraw odległych przestrzennie lub czasowo. Dobrze to że jest takie miejsce i takie uszy. Ale my, inni, mamy wciąż jeszcze słuch przytłumiony hukami dział i dudnieniem tanków, a także hory-

zont tak zaciemniony lasem rosyjskim, że nie widzimy drzew. Ale to właściwie nie ma już znaczenia dla naszych rozważań, bo nie możemy żądać od Conrada tego czego nam nie dał lub dać nie chciał.

C.: — Powracając do Conrada wydaje mi się, że książka jego może przy głębszym wejrzeniu stać się Memento sądu nad Zachodem za jego igranie z rzeczywistością transcendentną. Sądu za kastrowanie ducha, za wykorzenienie zdolności do życia pełnego i odprowadzanie potencjału na tory rzekomo pożyteczne lub „nieszkodliwe”.

B.: — Zgoda, jeśli pan uzupełni, że w powieści natarczywiej jeszcze rozbrzmiewa inne „momento” dla Zachodu: by nie ufał i by strzegł się szerokiej duszy rosyjskiej.

Conrad sprawiedliwie ukazuje wartości, tkwiące w narodzie rosyjskim, w jego głębokiej uczuciowości, w niewypalonym entuzjazmie, nawet w tej szkole nieszczęścia, która wydobywa z ludzkiego serca skarby wiary, miłości i poświęcenia, jakiej próżno by dziś szukać na bezpiecznym, wygodnym Zachodzie. Ale... *timeo Danaos et quoque dona ferentes*. Conrad, ostrzega, że te wartości mieszczą się w zepsutym mięszu i przez to skazane są na zagładę. Ostrzega przed „tym przegniłym, ponurym ogromem, gdzie nawet cnoty wyradzają się w zbrodnię, w cynicznej atmosferze niewoli i buntu”. Jestem pewien, że gdyby Conrad chciał zalecić Zachodowi jakiś ożywczy wzór do naśladowania nie szukałby go w Rosji lecz gdzie indziej. Choć nie koniecznie w teraźniejszości, ani w tym co już gotowe, ziszczone. Ale powieść jego nie jest wskazywaniem drogi, co najwyżej ostrzeżeniem „memento”, jak pan określił.

A.: — Jeśli powieść Conrada była memento wobec zbliżającej się przyszłości, a przeto wobec teraźniejszości w której znalazło się nasze pokolenie, to każdy z panów ma rację, bo jest to memento dwustronne. Ale czyż wobec tego co przeżywamy, zarówno na Wschodzie jak na Zachodzie, można naprawdę powiedzieć, że Conrad wybrał? Chyba nie. I to wcale nie z braku decyzji. Nie można bowiem oprzeć się pokusie wskazania na tę postać, według słów Słowackiego „umiłowaną otdą i na wieki”, która leży u podłoża powieści Conrada. I na tę polską jedność powieści dostępną dla czytelnika „osobliwego” to jest Polaka, o ile tradycja dawnej Rzeczypospolitej w nim nie wygasła, czy to z wierności, czy jako szersza nadzieja i obietnica. Ale z kim mówić o tym? I po co? Przypomina mi się tutaj jedna z pieśni serbskich ze zbioru Wuka Karadżića, który Mickiewicz uważał za najwyższe wzniesienie poezji słowiańskiej. Dziewczyna która straciła ukochanego śpiewa: „Wyśpiewałabym ci pieśń, ale pieśń dojdzie do pohanych ust, zapisałaśbyś cię w księdze, ale księga dojdzie do pohanych rąk”. Awersja do komunikowania głębokich przywiązań sprawiła, że Conrad stał się ironistą, ale może tylko na zewnątrz, na pierwszym planie. A na co dzień, jak w owym wstępie do powieści, był zrezygnowany. A co jest poza tym?

B.: — Przed chwilą wskazał pan bardzo słusznie na ukrytą jedność polską w duszy Conrada. Niech mi więc wolno będzie zakończyć rozmowę fragmentem z przedmowy do „Wspomnień”, gdzie sam Conrad tak się wypowiada:

„Krytycy wyczuli we mnie nowy ton. A ponieważ właśnie w czasie, gdy zacząłem pisać, odkryto istnienie rosyjskich pisarzy, nalepiono mi etykietkę słowiańskości. Ośmielałem się powiedzieć, że o wiele słuszniejsze byłoby przysądzenie mi polskości. Nie ma nic bardziej obcego polskiemu temperamentowi, niż tak zwana przez świat literacki słowiańskość. Polskiemu temperamentowi z jego tradycją samorządu, z jego rycerskim rozumieniem moralnych rygorów i wygórowanym szacunku dla praw jednostki! Bezstronny pogląd na ludzką we wszystkich odmianach jej świetności czy nędzy ze szczególnym uwzględnieniem praw dla tych, którzy są nieuprzywilejowanymi na tym świecie — oparty nie o jakąś mistyczną zasadę, lecz o prostą zasadę wspólnoty — oto co znamionowało umysłową i moralną atmosferę domów, dających schronienie memu burzliwemu dzieciństwu”.

Wit TARNAWSKI i Stanisław VINCENZ
oraz W. DOŁĘGA

„...Książka o Poznaniu, mieście młodości autora...”

ALEXANDER JANTA

DUCH NIESPOKOJNY

NOWOŚĆ WYDAWNICZA NAKŁADEM „GRYFU”
W DWÓCH RÓWNOCZESNYCH WYDANIACH:

Wydanie amerykańskie na specjalnym papierze i w grubej oprawie.

Cena \$4.00. Skład główny:

POLISH AMERICAN BOOK Co.

1136 Milwaukee Ave, Chicago 22. Ill.

lub bezpośrednio u autora:

A. JANTA, 134-21 Cherry Ave, apt. 2a. Flushing 55, N.Y.

Wydanie europejskie w cenie £1.0.0 lub franków 1.000.

Do nabycia w:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.,

169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

poza Stanami Zjednoczonymi i Kanadą.

We Francji: „Libella”, 12, rue St.-Louis-en-l'Île, Paris 4.

Oba wydania 283 strony — oprawa płócienna — ozdobna obwoluta projektu artysty-grafika Władysława Szomańskiego.

Zastosowanie izotopów w przemyśle

Żyjemy już w epoce atomowej. Obok bomb atomowych i wodorowych, obok niemiernie głośniejszych stosów i elektrosiłowni, cicho, bez rozgłosu, pracują już od lat we wszelkich działach nauki, techniki, rolnictwa, lecznictwa i przemysłu izotopy promieniotwórcze i niepromieniotwórcze, produkty przeważnie stosów atomowych, w części zaś wszelakiego rodzaju cyklotronów, synchronotronów, bewatronów i tym podobnych potężnych maszyn do przyspieszania protonów i elektronów.

Izotopami nazywamy atomy, mające w swym jądrze tę samą ilość protonów, a różną ilość neutronów. Własności chemiczne izotopów tego samego pierwiastka są identyczne, różnice fizyczne natomiast, na skutek małej różnicy masy, nieco różne. Poza jednak wodorem ciężkim i trytem, dwukrotnie, względnie trzykrotnie cięższymi od wodoru, różnice mas w innych izotopach są tak nieznaczne, że praktycznie i ich własności fizyczne są niemal te same, a tym samym ich losy we wszelkich przemianach natury fizycznej, czy też chemicznej nieomal zupełnie jednakowe. Jeśli więc domieszkamy do jakiegoś pierwiastka odpowiedni procent jego izotopu, mamy wszelkie prawo spodziewać się, że po wszystkich procesach technologicznych, czy też biologicznych, procentowa zawartość przymieszanego izotopu pozostanie ta sama.

Izotopy mogą być, jak to już wspomnieliśmy, albo stałe, albo też promieniotwórcze. W zastosowaniach przemysłowych te ostatnie grają główną rolę. Dzięki bowiem ich promieniotwórczości ich wykrycie jest znacznie łatwiejsze, a pomiar zaś mocy promieniotwórczej izotopu o znanym natężeniu promienio-

ludzkości” (*). Rozdział z będącej w opracowaniu książki: „Atomy w służbie

wania może nam dokładnie powiedzieć, jaka jest jego zawartość w badanej próbce. A są to metody tak czułe, że pozwalają wykryć ilości rzędu jednej miliardowej części badanego materiału, niedosiegalne zwykłymi metodami analizy chemicznej. A że do tego badanie to może odbywać się na miejscu, bez konieczności wyjmowania, czy wycinania badanej części, nie dziw więc, że zastosowanie izotopów promieniotwórczych w przemyśle rozpowszechnia się coraz bardziej.

Badania przemysłowe. — Izotopy służą w pierwszym rzędzie dla celów badawczych, jak na przykład do tak istotnego dla współczesnej techniki zagadnienia, jak zużywanie się części pracujących zespołów. Pytanie, jaki materiał i jak obrobiony zapewni największą długotrwałość pewnej części składowej złożonego mechanizmu, gra szczególnie ważną rolę w przemyśle samochodowym i lotniczym. Również i pytanie, jaki smar i w jakich warunkach najlepiej przedłuża życie trących części, jest bardzo istotne.

Przed wprowadzeniem izotopów promieniotwórczych można było znaleźć odpowiedź na to pytanie jedynie przy pomocy długotrwałych, a więc żmudnych i kosztownych doświadczeń; obecnie zastosowanie izotopów promieniotwórczych pozwala przeprowadzić je w znacznie krótszym czasie i nieporównanie mniejszym kosztem.

Jeśli części trące stanowią warstwę nałożoną, jak na przykład w wypadku chromowanych powierzchni, wystarcza drobna stosunkowo domieszka promieniotwórczego materiału, identycznego składu z materiałem nałożonym, a więc na przykład w wypadku chromowanych powierzchni promieniotwórczego chromu 51 (okres półrozpadu 26 dni), aby bez trudności wykryć jak wiele chromu dostało się skutkiem zużycia do smaru i jak wiele przylgnęło do drugiej powierzchni trącej. Ponieważ metody promieniotwórczości pozwalają na wykrywanie obecności bardzo małych ilości, toteż już po stosunkowo krótkim czasie łatwo stwierdzić, które z badanych metod obróbki, czy też jaki gatunek smaru daje mniejszą ilość okruszek badanej części, a tym samym zapewnia mniejsze jej zużywanie się.

Jeśli badana część jest wykonana z jednego kawału, domieszkiwanie izotopów promieniotwórczych może być zbyt kosztowne. W tych wypadkach jednak nieraz wystarczy powierzchniowe naświetlenie danej części w stosie atomowym, gdyż metal jej zwykle zawiera choćby drobną tylko ilość domieszek, które podlegają przemianie na izotopy promieniotwórcze pod wpływem strumienia neutronów.

W podobny sposób można uzyskać samoczynną sygnalizację, informującą że dana część uległa zużyciu poza dopuszczalną granicę. Jeśli ta dopuszczalna granica zużycia tłoka w pewnym silniku wynosi na przykład 0.2 mm, wystarczy umieścić w szeregu punktów pod powierzchnią tłoka drobne ilości jakiegoś

metalu promieniotwórczego o stosunkowo słabej przenikliwości promieniowania, a więc najlepiej wydzielającego tylko promienie beta, które cieniutką warstwę metalu już skutecznie pochłania. Dopóki więc tłok nie został zużyty, smar nie wykazuje żadnej promieniotwórczości. Z chwilą jednak, gdy zużycie odsłoni promieniotwórczy metal, natychmiast znajdzie się on w smarach, których promieniotwórczość łatwo wykryć zwykłymi metodami badania. W ten sposób promieniotwórczość smaru ostrzega, że dana część uległa już zużyciu ponad dopuszczalną granicę i wymaga wymiany.

Podobnie zastosowanie izotopów promieniotwórczych pozwala na badanie wszelkiego rodzaju procesów technologicznych, które są połączone z mieszaniem (np. stopy) lub przenikaniem jednych składników w drugie (np. cementowanie), dając nam z miejsca odpowiedź na pytanie jak skutecznie to przenikanie się odbywa, jaka jest jego szybkość i jednostajność.

Pomiar i samoregulacja. — Bardzo ważnym problemem produkcji przemysłowej jest utrzymanie wymiarów produkowanego przedmiotu w należytych granicach. Zastosowanie izotopów promieniotwórczych jako źródła promieniowania może tu być bardzo korzystne. Kiedy na przykład chodzi o utrzymanie grubości wyrabianej bibułki tytoniowej, czy też innego materiału, który łatwo uszkodzić przy pomiarze jego grubości środkami mechanicznymi, można tu dokonać pomiaru grubości bez dotykania materiału, stosując jakiś izotop promieniotwórczy jako źródło promieniowania. Każdy materiał, zależnie od swej gęstości i grubości (którą mierzymy w gramach czy miligramach na centymetr kwadratowy, to jest wielkością podającą ile waży płytka danego materiału na kształcie kwadratu o boku jednego centymetra) pochłania odpowiednią część promieni beta i gamma. Obliczając więc natężenie przepuszczonego promieniowania w zależności od grubości danego materiału można, zupełnie go nie dotykając, a po prostu mierząc natężenie promieniowania otrzymanego po drugiej stronie badanego materiału — z dużą dokładnością określić jego grubość.

Zależnie od grubości i gęstości danego materiału stosuje się albo promienie beta, albo też, gdy chodzi o większą przenikliwość, gamma. Promienie beta są dobrym środkiem pomiarowym gdy chodzi o materiały od dwu miligramów do 1.2 grama na centymetr kwadratowy, a więc od cieniutkiej bibułki papierosowej do około 1/16 cala stali. Jako źródło tego promieniowania stosuje się względnie długotrwałe — jak na potrzeby pomiarowe — izotopy siarki 35 (okres półrozpadu 87 dni), teluru 127 (90 dni) oraz strontu 90 (25 lat), przy czym siarka 35 nadaje się jedynie do grubości 5 miligramów na centymetr kwadratowy, podczas gdy stront dopuszcza grubości do 0.7 grama. Stront 89 wreszcie, choć szybciej się rozkłada (okres półrozpadu 53 dni) ma jednak przenikliwość promieni beta jeszcze więk-

szą, a więc nadaje się do materiałów grubszych, względnie gęstszych.

Gdy chodzi o większe grubości, stosuje się izotopy wydzielające promienie gamma, a więc na przykład kobalt 60, co zezwala na pomiar grubości do 4 cali stali.

Tego rodzaju pomiar może równocześnie służyć jako samoczynna regulacja. Porównując promieniowanie otrzymane od płytki badanego materiału wzorcowej grubości z promieniowaniem otrzymanym od materiału który właśnie wyszedł z walców, samoregulujące urządzenie zmniejsza lub zwiększa odległość walców — zależnie od wyniku pomiaru — i tym samym zapewnia jednolitą grubość produktu bez udziału ręki ludzkiej.

Przykładem takiego urządzenia może być samoczynna regulacja grubości poszczególnych warstw, które tworzą papier lub też taśmy ściernie, w której źródłem promieniowania jest stront 90. Mierzenie odbywa się bez jakiegokolwiek styczności narzędzia mierzącego z materiałem mierzonym, co przy produkcji przedmiotów o powierzchniach delikatnych i łatwo ulegających zniszczeniu jest bardzo istotne.

W wypadku, gdy chodzi o pomiar grubości powierzchni nakładanych na podłoże metalowe, a więc np. o platerowanie, czy też galwanizację, stosuje się grubościomierze polegające na tym, że metal podłoża odbija promienie beta przechodzące przez warstwę nałożoną, przy czym natężenie odbitego promieniowania, które wraca z powrotem poprzez tę warstwę, zależy od jej grubości. Ta metoda pomiarowa, zwana metodą odbitego promieniowania, pozwala również i na samoczynną regulację nałożonej warstwy.

W podobny sposób można mierzyć wysokość cieczy w zamkniętym zbiorniku, gdyż oczywiście ciecz pochłania więcej promieni niż pusta przestrzeń. Przy pomocy urządzenia samoregulującego można również utrzymać wysokość cieczy w takim zbiorniku na stałym poziomie. Przy pompowaniu ropy przez rurociągi długości setek kilometrów, domieszcza jakiegoś materiału promieniotwórczego do pierwszej porcji ropy innego składu, pompowanej przez ten sam rurociąg, pozwala obsłużyć rurociągu na jego końcu odbiorczym skierować w odpowiedniej chwili strumień ropy do nowego zbiornika, a tym samym uniknąć pomieszania dwu jej gatunków.

Zastosowanie izotopów promieniotwórczych również pozwala łatwo śledzić nieszczelności i upływy. Jeśli np. chcemy sprawdzić miejsce w którym wkopany w ziemię rurociąg wycieka, wystarczy domieszać do tłoczonej cieczy jakiś materiał promieniotwórczy na tyle słaby, że nie promieniuje on poza ściany rury, w miejscu wycieku jednak wydostaje się on wraz z daną cieczą (czy gazem, gdy np. chodzi o tak niebezpieczne wycieki gazu świetlnego) na zewnątrz. Toteż proste urządzenie, jak np. licznik Geigera, pozwala od razu wykryć miejsce wycieku, bez konieczności zmuszania i kosztownego odkopywania rury nieraz na znacznej jej długości.

W podobny sposób można badać szczelność np. kabin lotniczych, tak wielką grającą rolę przy obecnych lotach na dużych wysokościach.

Oświetlanie i jonizacja powietrza. — Izotopy promieniotwórcze, jak cez 137, tryt, polon i stront 90 itp., znajdują szerokie zastosowanie przy wyrobie wskaźników i napisów samoświecących, przy czym coraz większa różnorodność stosowanych tu izotopów zapewnia dużą gamę kolorów.

Początkowo stosowano do tego celu ciała promieniotwórcze bez żadnej różnicy. Ostatnio jednak stwierdzone niebezpieczeństwa takiego promieniowania nakazują większą ostrożność w ich wyborze. Najkorzystniejsze są tu izotopy, wydzielające słabe promienie beta, które — zupełnie wystarczające, aby wywołać świecenie fosforu, stanowiącego zasadniczy składnik takiej masy świecącej — są jednak na tyle słabe, że pochłania je warstwa kilku centymetrów powietrza. Tym samym więc są one już zupełnie bezpieczne na niewielkiej od nich odległości.

Dalszym zastosowaniem przemysłowym izotopów jako źródła promieniowania to *jonizowanie powietrza* przez ich promieniowanie. Przy całym szeregu procesów przemysłowych, a więc np. wyrobie takich materiałów, jak papier, plastyki, celuloza, proch strzelniczy, przy przedzeniu czy tkaniu ze sztucznych włókien, trące o siebie materiały są źródłem elektryczności statycznej. Ta elektryczność może być powodem wielu kłopotów. W pierwszym rzędzie podczas samej produkcji, jak np. gdy mamy przecinać, składać, wiązać, splatać, czesać lub tkać te materiały, powstałe na skutek naelektryzowania siły odpychania elektrycznego mogą stanowić poważne utrudnienie i źródło wielu wad produkcyjnych.

Ponadto drobne pyłki naładowane elektrycznie, osiadając na częściach metalowych o odmiennym ładunku i silnie przylegając do nich, mogą rozregulować samoczynne regulacje, a tym samym być źródłem wad produkcyjnych, lub też, przyklejając się do gotowych tkanin, mogą nadawać im niechlujny wygląd.

Jeszcze gorzej jest gdy mamy do czynienia z produktami łatwo zapalnymi, jak np. przy produkcji celulozy, czy tym bardziej prochu, lub przy pompowaniu benzyny, napełnianiu zbiorników w samolotach itp. W tych warunkach duże napięcia elektryczne mogą się stać źródłem iskrzenia, a więc i pożaru, lub wybuchu.

Zastosowanie izotopów promieniotwórczych może usunąć to niebezpieczeństwo. Umieszczone w odpowiedniej odległości od miejsca tarcia, promieniami swymi jonizują one powietrze, a tym samym czynią je dobrym przewodnikiem elektryczności. Wytworzone ładunki elektryczne rozładują się więc poprzez powietrze ku ziemi, usuwając różnice napięć i tym samym opisane wyżej skutki ujemne i niebezpieczeństwa.

Jak skuteczne może być tego rodzaju jonizowanie świadczy przykład jednej z amerykańskich wytwórni tekstylnych, gdzie — mimo starannej wentylacji — po przerwie nocnej wszystkie kros-

na były z rana oblepione grubą warstwą powstałego przy tkaniu bawełny pyłu, przyciągniętego przez ładunek statyczny maszyn. Zastosowanie jonizujących izotopów usunęło to zjawisko całkowicie.

Jako źródła promieniowania stosuje się tu przeważnie tal 204, obecnie zaś coraz częściej mówi się o zastosowaniu kryptonu 85, nieużytecznego, a nawet szkodliwego produktu odpadkowego stosów atomowych.

Oczywiście, zastosowanie tego rodzaju jonizującego promieniowania wymaga środków ostrożności, aby nie zagrozić zdrowiu pracujących przy danej produkcji robotników. Źródła promieniowania muszą więc być tak osłonięte, aby w żadnym wypadku promieniowanie nie mogło bezpośrednio osiągnąć obsługi. Są to jednak trudności stosunkowo niewielkie. W wypadku np. talu 204 wystarczy osłona miedziana grubości 1/16 cala lub szklana grubości podwójnej.

Inne zastosowania promieniowania izotopów promieniotwórczych. — Stosowanie bardziej przenikliwych promieni może ułatwić cały szereg operacji przemysłowych. I tak np. przy wierceniu wąskich tuneli podczas badań nad podziemną gazyfikacją w Anglii należało połączyć tunel pionowy z dość wąskim tunelem poziomym. Uskuteczono to w ten sposób, że — po wydrążeniu tunelu poziomego — umieszczono w odpowiednich jego miejscach, ładunki kobaltu 60 o mocy 0.15, 10 i 500 milikyrów (jeden milikyr — milicurie — jest to ilość promieniotwórczości równa promieniotwórczości jednego miligrama radu). Odpowiednie liczyldo elektronowe, mierząc natężenie promieniowania z tych trzech źródeł, określało położenie wiertła drążącego tunel pionowy z dokładnością do trzech cali.

Podobny system zastosowano przy oczyszczaniu 57 milowej długości rurociągu w Szkocji. Umieszczenie w wykonującym tę pracę wiertle ładunku kobaltu 60, o mocy 75 milikyrów, pozwoliło na określenie położenia wiertła w każdej chwili, za wyjątkiem wypadków, gdy rura była zbyt głęboko wkopana. Wtedy bowiem konieczne byłoby źródło o większej mocy promieniotwórczej, czego w danym razie, ze względów bezpieczeństwa, wolało się unikać.

Innym przykładem zastosowania promieniotwórczości, to domieszka promieniotwórczego gazu, radonu (produkt rozpadu radu), do śledzenia ruchu gazów wdmuchiowanych do pieca hutniczego.

Izotopy promieniotwórcze można nawet stosować do prac tak pozornie z nimi nie mających wspólnego, jak obliczanie powierzchni złożonych figur, zadanie — jak wie każdy, kto powierzchnie takie próbował mierzyć — żmudne i niezbyt łatwe, gdy zależy nam na dużej dokładności. Tymczasem powleczenie takiej powierzchni jednolitą warstwą masy promieniotwórczej lub, lepiej jeszcze, wycięcie jej w jednolitej płycie, do której domieszano nieco odpowiedniego izotopu promieniotwórczego, po-

zwala na dokładne pomierzenie promieniowania, jakie ta powierzchnia wydziela w jednostce czasu, a tym samym — porównując je z promieniowaniem powierzchni kwadratu o dokładnie pomierzonym boku — można obliczyć bez trudności powierzchnię figury.

Ciekawym wreszcie i obiecującym zastosowaniem izotopów może być tusz promieniotwórczy. Narysowane tym tuszem klisze dają, bez jakichkolwiek kamieni litograficznych, doskonałe odbitki na papierze światłoczułym w bardzo wielkich ilościach, zależnych tylko od natężenia promieniowania i czasu półrozpadu użytego izotopu. Oprócz taniości metoda ta ma i tę zaletę, że tak uzyskane odbitki mają dokładność szczegółów niedostępną przy żadnej innej metodzie litograficznej.

Polimeryzacja. — Sztucznie wytwarzane włókna, tak zwane plastyki, mogą mieć bardzo rozmaite własności, od włókien doskonale sprężystych do ciał o własnościach zbliżonych do żywicy, a więc o dużej lepkości i dających się ugniatać bez trudności. Możliwe są oczywiście i wszelkie typy pośrednie. Materiały te, jak wiemy, są długimi łańcuchami atomów, zawierającymi nie raz kilka ich setek. Ich własności sprężyste lub plastyczne zależą od tego, czy takie nitki atomów w gotowej drobinie leżą nieomal równolegle jedna do drugiej, czy też są one przemieszane ze sobą, jak kłębek wełny. Podobnie własności takich drobin są zupełnie odmienne, jeśli nitki mogą się przesuwac jedna w stosunku do drugiej pod wpływem przyłożonych sił, czy też jeśli ruch ten uniemożliwiają liczne wiązania poprzeczne. Z jednego i tego samego materiału wyjściowego można więc otrzymać materiały o bardzo różnych właściwościach zależnie od tego, jakim podlegały procesom w czasie ich produkcji.

Otóż silne promieniowanie, przerywając więzy łączące atomy w punktach słabszych połączeń, umożliwia nowe połączenia, przeważnie poprzeczne. W ten sposób, naświetlając pewien rodzaj plastyku można uzyskać w nim nowe węzły poprzeczne i całkowicie zmienić jego własności fizyczne. Podobny system zastosowano niedawno w stacji badawczej Standard Oil Company w New Jersey dla polimeryzacji produktów ropnych, to jest uzyskiwania węglowodorów o większej ilości atomów w drobinie, ważnego produktu wyjściowego w wielu dziedzinach przemysłu chemicznego, zwłaszcza barwnikowego i farmaceutycznego. Te wysoko ukształtowane typy węglowodorów uzyskiwano dotąd poddając surowy materiał, ropę i jej produkty destylacji, wysokim ciśnieniom i temperaturom. Obecnie ten sam skutek można osiągnąć przy znacznie mniejszych ciśnieniach i temperaturach, a więc i mniejszym kosztem, stosując odpowiednio silne źródła promieniowania, jak promieniotwórczy kobalt 60 lub też popioły promieniotwórcze.

Promieniotwórczy kobalt może również służyć do wulkanizacji gumy, lub też do produkcji sztucznych gum, odpornych na wysokie temperatury, jak np. gum zawierających fluor (zwa-

nych FBA), których wulkanizacja zwykłymi metodami chemicznymi jest szczególnie trudna. Podobnie można stosować naświetlania promieniotwórcze dla polimeryzacji etylenu, lub winylu, którego polimer stanowi ważną namiastkę plazmy.

Zastosowanie izotopów do tego celu ma i inne zalety. Przy produkcji np. sztucznych gum, proces polimeryzacji produktów wyjściowych (butadienu i styrenu) przebiega samorzutnie, pod warunkiem jednak zapoczątkowania reakcji, tak jak proces spalania się węgla nie wymaga podsyceania, byle tylko zapoczątkować go przez podpałkę o dostatecznej temperaturze i ilości dostarczonego ciepła. Chemicznie stosowane metody zapoczątkowania tej polimeryzacji wymagały dotąd dość wysokich temperatur, skutkiem czego gotowy produkt nie mógł uzyskać pożądanych własności. Natomiast zapoczątkowanie polimeryzacji przy pomocy promieniowania pozwala na stosowanie niskich temperatur a tym samym daje sztuczne gумы o znacznie wyższej wartości.

Ciekawym wreszcie zastosowaniem promieniowania jest również np. produkcja tranzystorów (półprzewodników), które coraz bardziej wypierają lampy elektronowe w wielu ich zastosowaniach. Najczęściej używany typ tranzystora stosuje german z zanieczyszczeniami arsenu. Działanie jego polega na odpowiednim rozłożeniu atomów arsenu w siatce krystalicznej germanu, powodujących punkty nieciągłości, „dziury”, w tej siatce. Te same „dziury” można wywołać również i naświetlaniem o odpowiednim natężeniu, przy czym uzyskane w ten sposób tranzystory są nawet lepsze, niż zwykły german z zanieczyszczeniami arsenowymi.

Samoczynne zabezpieczenie robotnika. — Mimo najlepszych nawet urządzeń ochronnych nie można całkowicie wykluczyć wypadków, spowodowanych przez nieostrożność robotnika. Jeśli np. robotnik pozostawi palce na kowadle, opadający młot musi je zmiażdżyć. Ale i tu zastosowanie promieniotwórczości może go od tego uchronić. Jeśli na palcu robotnika umieści się obręczkę z odrobiną ciała promieniotwórczego (na odpowiednio grubym podłożu ołowianym, aby zabezpieczyć jego palec od skutków promieniowania), a młot zaopatrzy się w urządzenie odbiorcze, które naświetlone wstrzymuje ruch młota, pozostawienie palca na kowadle samoczynnie wykluczy opadanie młota.

Te i inne wyniki naświetlania pewnego materiału promieniami wydzielanymi przez ciała promieniotwórcze, lub też poddawanie ich działaniu strumienia neutronów są trudne do teoretycznego przewidywania, zwłaszcza że zależą one w decydującej mierze od rodzaju i czasu naświetlania oraz od jego natężenia. Konieczne są więc metody doświadczalne dla badania tego wpływu. Do tego celu służą umyślne stosy atomowe (stos dla badania tworzywa), lub też odpowiednie komory, w których wytwarza się promieniowanie odpowiedniego rodzaju i o dowolnym natężeniu.

Badania tego rodzaju są dość trudne i wymagają wyspecjalizowanego personelu technicznego i naukowego. Toteż powstają już instytucje badawcze, państwowe lub prywatne, które zajmują się wyłącznie tego rodzaju studiami. Są to więc niejako poradnie przemysłowe, które — na zamówienie poszczególnych zakładów przemysłowych — przeprowadzają badania, jak można by ich produkcję ulepszyć lub potanieć przez zastosowanie promieniowania izotopami promieniotwórczymi lub też strumieniem neutronów, i opracowują potrzebne do tego celu metody i aparaturę.

Prześwietlanie. — Nieomal od chwili odkrycia promieni roentgena (X) zaczęto je stosować w przemyśle, zwłaszcza metalowym, dla wykrywania uszkodzeń lub słabych miejsc w produkowanych częściach lub spawanych zespołach. Ilu nieszczęśliwym wypadkom można by było zapobiec, gdyby każda ośka samochodu podlegała prześwietleniu przed jej wmontowaniem!

Powszechnemu zastosowaniu tej metody stoją jednak na drodze niezmiernie wysokie jej koszty, gdyż lampy roentgena są bardzo drogie i zużywają bardzo wiele energii elektrycznej, zwłaszcza przy prześwietlaniu grubych części metalowych. Metale bowiem, a zwłaszcza metale ciężkie, jak stal, pochłaniają promienie roentgena w bardzo dużym stopniu.

Tymczasem ciała promieniotwórcze, wydzielające promienie gamma, promienie z samej swej istoty bardziej przenikliwe, niż promienie roentgena, mogą wykonać to samo zadanie w sposób tańszy i prostszy. I tak np. kobalt 60, stosunkowo tani izotop sztuczny, wydziela promieniowanie o przenikliwości równej tej, jaką otrzymalibyśmy od lampy roentgenowej o napięciu dwu milionów volt! Lampa tego rodzaju jest to olbrzymia i kosztowna maszyna, wymagająca — wobec olbrzymich napięć — bardzo dużych ostrożności przy obchodzeniu się z nią. Tymczasem kobalt, który wykonuje to samo zadanie, kosztuje wszystkiego 50 dolarów, jest mały (najmniejsza taka „pigulka” ma 2 mm. średnicy i nie jest o wiele dłuższa), a do tego, umieszczony w bloku ołowianym odpowiedniej grubości, jest zupełnie bezpieczny. Dzięki jego małemu wymiarom można taki kobalt promieniotwórczy wprowadzić do wnętrza badanego mechanizmu i tym samym uzyskać radiogram nawet bardzo grubej ściany, skoro się ją oświetla od wewnątrz. W ten sposób więc można łatwo dosięgnąć zakamarki na pewno niedostępne dla lampy roentgena.

W zależności od grubości materiału stosuje się różnego rodzaju izotopy. Dla stali grubości do 10 cali stosuje się, jak już wspomnieliśmy, kobalt 60 (okres półrozpadu 5.3 lat) lub tantal 182 (117 dni). Dla mniejszych grubości można stosować cez 137 (lat 33), iryd 192 (70 dni) lub wreszcie stosunkowo słaby tul 170 (127 dni), najlepiej nadający się do małych grubości i do lekkich stopów.

Znaczenie przemysłowych zastosowań izotopów promieniotwórczych. — Zastosowanie izotopów dla celów przemysłowych nie tylko że zapewnia lepszą jakość wykonanego produktu, co ma szczególne znaczenie tam, gdzie od wytrzymałości danej części zależy nieraz życie ludzkie, ale jest równocześnie i źródłem poważnych oszczędności. Obliczono np., że przy badaniu stopnia zużycia części maszyn na skutek tarcia i korozji można uzyskać, przy użyciu izotopów promieniotwórczych, ten sam wynik w ciągu czterech lat kosztem 10,000 funtów, jaki przy dawnych metodach wymagałby 60 lat i wydatku 350.000 funtów, a więc oczywiście byłby niemożliwy do przeprowadzenia. Zastosowanie prześwietlania promieniotwórczego dla badania wszystkich spawanych miejsc w dużym zbiorniku gazów pozwala zmniejszyć koszt jego budowy o 10.000 dolarów, a zastosowanie samoczynnych metod regulacji grubości plastyków zaoszczędziło jednej tylko ich wytwórni kwotę 100.000 dolarów w ciągu roku.

Obliczono, że w roku 1954, gdy zastosowanie izotopów promieniotwórczych w przemyśle było ciągle jeszcze w kolebce, przemysł amerykański zaoszczędził przez ich zastosowanie kwotę stu milionów dolarów.

W latach 1946 do 1956 w Stanach Zjednoczonych izotopy promieniotwórcze stosowało 1.400 różnych organizacji przemysłowych najprzeróżniejszych typów, od zakładów tytoniowych, do chemicznych, wyrobu obrabiarek, budowlanych, farmaceutycznych itp. Najczęstszymi zastosowaniami były badania grubości (300 zakładów) oraz inspekcja gotowego produktu (350 zakładów).

Izotopy promieniotwórcze cicho, nieomal niespostrzeżenie, wtargnęły w nasze życie i nie ma dziś już prawie ani jednego zakątka, w którym by one nie odbiły swego piętna. Zanim więc jeszcze energia atomowa stała się czymś więcej, niż jeno pierwszą jutrzeńką, zapowiadającą nową przyszłość, epoka atomowa wkroczyła już w pokojowe życie ludzkości pod postacią izotopów.

Tadeusz FELSZTYN



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Na powrót Polaków z Rosji Sowieckiej

*Drzewo szare
nie wybuchał oczekiwany kolorem
Powodzi marcową
milczkiem przepłyni kraj
na głuszech mórz dopiero
na reje wiatrów
podnieś swój krzyk
co lody lute rujnuje*

*Pająk plugawy a nietykalny
przed żrenicami poetów*

*Drzewo szare drzewo miłości
szorstkimi kwiaty nas pozdrawiasz
Pióro pióro zanurzyć
w piórach orlich a potem
zakreślić różę
piers pelikana*

*Na razie niechaj przystaną rzeki Poprzez ziemie rozpięte
na lodach i prawie tak wielkie jak krzywda wracają*

*resztki słów obronionych
przed dziobami wron
imiona pamięć wlokące
na prędze fioletowej*

Wracają
z pierwszym sercem
zaszytym niedosłyszalnie

O drzewo szare drzewo miłości
ręce pod korę schronione
niechaj powieki opowiadają

Pierwszy oddech tutaj
pierwszy ptak wylatujący naprzeciw
oczy otwierające się i
trwoga pokotem i
deszcz rzęsimy
słonkiem nakrapiany

Ku wzniosłym ogniom portu zbawionego
arke płynąca
jeszcze tylko
piórem piórem
dotknąć doliny
po której płynął Dunaj
samotny

Piersz pelikana róża jutrzenna
O drzewo szare nie opuszczaj nas

Marian PANKOWSKI

Wiersze

LETNI DESZCZ

Szare maki
pękają na niebie.

Białawe mleko
załaziło horyzont
i płynie
dachami i zgrzanymi liśćmi,
miękkim językiem
szepcząc
jak papuga:

do Danai,
do Danai...

SFINKS

Jestem bezbarwny kamień zagadkowej runy.
Jestem znak na bezbarwnym kamieniu,
gwiazda i cyfra dla badaczy zaginionego imperium.
Jestem skała co otacza źródła.
Jestem nienazwany imieniem.

Jestem bezbarwny kamień, szara kora.
Jestem głąb bezbarwnego kamienia: głąb z macicy perłowej.
Jestem skała i czarna, wąska dłoń.
Jestem skała i krzyk zdławiony między skalą i urwiskiem.
Jestem nienazwany imieniem.

Eugenijus GRUODIS jest jednym z młodych poetów litewskich, współpracujących w piśmie „Literatūros Lankai”. Jako poeta debiutuje będąc już na emigracji. Obserwując siebie i najbliższe otoczenie, Eugenijus Gruodis usiłuje swoim kontemplacjom dać wyraz jak najbardziej skondensowany i prosty, wykazując zarazem wysoki poziom i niecodzienną erudycję. Niedawno w Stanach Zjednoczonych ukazał się pierwszy tomik jego wierszy pt. „Aguonos ir smeljs” (Maki i piasek).

PRZYWIDZENIE

W zielonym mroku stoi zwierzę.

*Dom jest zbudowany z rudych nieciosanych belek,
a rogi zwierzęcia są długie i wytworne.*

*Mrok jest jak zielony dach,
jak cienkie, kruche szkło,
i masyw mego domu jest błękitny
i błękitny cień.*

*I stoi zwierzę z pochylonym karkiem,
jego pysk jest młody i wilgotny,
jego rogi są długie i ostre,
jak białe ekstatyczne konary.*

DAR

*Ktoś włożył słowo
w ciemność mojego serca
jak pieczęcie z ołowiu
w czarny, drgający aksamit.*

*Ktoś odcisnął ślady
na łukach oddechu,
jak na pustyni chwiejące się wielbłądy:
w gorącym i drżącym piasku.*

WIARA

*Znak Pana
na chlebie,
na progu,
na polnej ścieżce.*

*Znak Pana
na zorzy porannej,
na słońcu południa,
na gwieździe wieczornej*

*Pana,
który nie obronił pól,
który nie strzegł domu,
który odebrał syna.*

Eugenijus GRUODIS

Z litewskiego tłumaczył Juozas KEKSTAS

Ogień i pieśń

*Daleko urodzone wodospady blasku
Wróćcie do muzyki, spadajcie jarzące
Na rzekę złotej zieleni.
Niech się napelni odrodzona mowa,
Bardziej muzyczna niż wysoki śpiew,
Bardziej niż słowo nasze doskonała,
Czystym, potężnym potokiem bez skazy
Który się sypie w giętki obszar wód.
Nikt nie wie już
Gdzie się zaczyna promienne powietrze
A gdzie jest ogień co od fali bije —
Tak ich natury tutaj się złączyły.*

*Dalej niż sięgać dano uniesiony,
Poza widziane dotychczas granice
I poza wolę która służy ziemi,
Ziemski, a jednak nie z tej zwykłej ziemi,
Poznać próbuję nowy jej alfabet
Abym przemawiać mógł siedmiorgiem tonów
Mowy i ognia,
Otrzymując dar.
Abym dla oczu naszych świat zapalił
W najczystszej chwili tylko odgadniony,
Świat bogów i ludzi —
A tak natury ich się połączyły
Że nie wiem już
Czyja to siła tutaj promieniuje
I czyj tu ogień z dołu w górę bije.
Kochana moja, nieznajoma ziemio,
Zielona moja, złota ukochana.
Idę ku tobie z moją wolą światła
I słyszę mowę, twoją mowę rzeki,
Bardziej muzyczną niż wysoki śpiew,
Bardziej niż słowo nasze doskonałą
I przemieniony jestem w nową moc.
Tak się natury nasze połączyły
Że jedna siła tutaj promieniuje
Że jeden ogień, pieśń, do góry bije.*

Mac GOODMAN

Otwierały się drzwi na oścież

Otwierały się na oścież,
Trzaskały przez wiele lat
Drzwi hoteli i barów
I domów i chat.
Długo szukałem jej.
Wreszcie znalazłem ją.
Nie ta co dawniej.
Jakże zmieniona.
Starucha cierpka,
W pół pochylona.
Jak martwe drzewo
Powitała mnie.
Zimna jej twarz,
Nieznane jej wieki.
Ale w jej oczach płomień lekki, lekki
Skakał i palił i mądry był.
A moje życie rozpadło się w pył.
Po to jej usta tylko się otwierały:
„Ty, człowiek od niechcenia!”
I wiedziałem, że nie ma odtąd darów ziemia,
Że lepiej dla mnie, gdybym był umarły.

Mac GOODMAN

Z angielskiego tłumaczył Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Czy koniec „Świętego Amerykańskiego Cesarstwa Niemieckiego „?

Niemcy epoki Adenauera formowały swą politykę na przesłance, że cele Stanów Zjednoczonych i Niemiec w stosunku do Rosji i komunizmu całkowicie się pokrywają. Właściwie dopiero Węgry wykazały że owa zbieżność, choć rzeczywista, inaczej jest rozumiana w Waszyngtonie a inaczej w Bonn. Przez sojusz i wspólnotę celów Amerykanie rozumieją bazy, Nato, obronę „status quo”. Kanclerz Adenauer te same przesłanki pojmował dynamicznie. Rozbudowa potencjałów NATO i niemieckich sił zbrojnych — w perspektywie Bonn — służyć miała nie jako „linia Maginota”, lecz jako instrument nacisku w fazie przyszłych rokowań z Rosją. Rokowań o co? Oczywiście o realizację niemieckich postulatów. Na tej liście postulatów Nr 1 było zjednoczenie Niemiec na warunkach zachodnich.

Politycy w Bonn nie tylko mylnie odczytali sens polityki Waszyngtonu lecz również nie wyciągnęli żadnych wniosków z dziwnej metamorfozy paktu atlantyckiego. Bo jak to właściwie było? W roku 1950 pisano szeroko o stu dywizjach. W dwa lata później o sześćdziesięciu pięciu, a w roku 1954 o trzydziestu pięciu. Ile dywizji dziś liczą siły NATO? Pięć?...

W praktyce wygląda to w ten sposób, że wszyscy gorąco się zapewniają, iż siły zbrojne typu konwencjonalnego są ogromnie potrzebne. Równocześnie jednak wszyscy redukują konwencjonalne siły zbrojne (i budżety) — licząc niezachwianie na strategiczne lotnictwo amerykańskie i bombę wodorową. Mało tego — mocarstwa europejskie zaufanie w lotniczo-wodorowy „parasol” amerykański posuwają tak daleko, iż siłami konwencjonalnymi (wycofanymi z NATO) realizują swoje „prywatne” cele polityczne. Ilustracji w tym względzie dostarczyły Francja i Wielka Brytania.

Jeszcze sześć czy siedem lat temu poczucie zagrożenia ze strony Sowietów było tak żywe i realne, iż z jednej strony cementowało jedność w sensie politycznym a z drugiej strony dodawało bodźca do dźwigania ciężarów zbrojeniowych. Lecz obecnie, gdy Ameryka dysponuje lotnictwem strategicznym, które, startując z baz amerykańskich, może dokonać wodowego bombardowania w dowolnym punkcie na kuli ziemskiej — w państwach bloku zachodniego utrwała się przekonanie, że Rosja wojny nie podejmie. A nawet gdyby Sowiety zaryzykowały tak szalony krok — sądzą na Zachodzie — że o wyniku wojny zadecydowałyby atomowo-odwetowe bronie w dyspozycji Ameryki a nie konwencjonalne siły zbrojne sojuszników.

Utrwalanie się powyższego poglądu pociągnęło za sobą poważne konsekwencje polityczne. Mocarstwa europejskie redukują swe udziały w NATO, zwiększając równocześnie swe wysiłki zmierzające do odbudowy ich światowej pozycji. Tak najogólniej można by scharakteryzować politykę Francji i Wielkiej Brytanii w bieżącym okresie.

Jak na tym tle wygląda polityka zachodnich Niemiec?

Choć zabrzmi to arbitralnie twierdząc, że Niemcy zachodnie w ogóle nie miały do tej pory polityki zagranicznej. W kardynalnej sprawie, to jest zjednoczenia Niemiec, od chwili powstania republiki związkowej do tej pory nie zrobiono dosłownie nic.

Pierwszym krokiem na drodze ku realizmowi musi być wydobycie istotnych zagadnień z dżungli sloganów, propagandy i emocji nacjonalistycznych. Byłoby naiwnością oczekiwać takiego wysiłku od polityków partyjnych, których każde posunięcie dyktowane jest kalkulacją wyborczą. Żaden polityk kandydujący w najbliższych jesiennych wyborach nie pogrzebie swoich szans lekcjami trzeźwości i realizmu.

Roli wydobycia istotnych problemów z mętnej wody propagandy na twardej grunt obiektywizmu winny się podjąć niemieckie wschodnie instytuty badawcze i niezależni publicyści. Tylko te czynniki mogą dokonać stopniowej re-orientacji opinii społecznej w Niemczech zachodnich. Dopóki owa re-orientacja nie nastąpi, każda nowa koncepcja niemieckiej polityki wschodniej zawiśnie w próżni.

Propaganda i emocjonalizm narodowy (żeby nie powiedzieć szowinizm) wyśrubowały niemieckie cele polityczne do granic utopii i absurdu. Jest to w pewnym sensie typowa po-klęskowa reakcja. Chłodne i rzeczowe umiarkowanie najtrudniej przychodzi pokonanym.

Przyjrzyjmy się pewnym faktom.

Według oficjalnego zachodnio-niemieckiego poglądu istnieje tylko jedno państwo niemieckie. W opinii Bonn wschodnio-niemiecka republika ludowa jest strefą okupacyjną administrowaną przez Sowiety. Wolne, demokratyczne wybory na wszystkich ziemiach niemieckich winny stanowić wstęp do pełnego reaktywowania zjednoczonego państwa niemieckiego.

Jest oczywiste, że są to postulaty maksymalne, które mo-

głyby być urzeczywistnione albo w wyniku zwycięskiej wojny albo w rezultacie ultymatywnego nacisku ze strony Stanów Zjednoczonych. W tym drugim wypadku zakładamy, że Rosja skapitulowałaby w obliczu groźby konfliktu światowego.

Powyższy program byłby realny gdyby istniało „Święte Amerykańskie Cesarstwo Narodu Niemieckiego”. Rząd w Bonn, który według ocen optymistów dysponować będzie w końcu lipca br. trzema wyszkolonymi dywizjami — nie ma żadnych możliwości samodzielnego realizowania wyżej naszkicowanego programu.

W sumie ocena owej maksymalistycznej polityki sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: czy Amerykanie są skłonni ów program realizować, czy nie?

Rzeczowa odpowiedź na powyższe pytanie musi wypaść negatywnie. Adenauerowska koncepcja „Świętego amerykańskiego Cesarstwa narodu niemieckiego” nawet w znaczeniu przenośnym jest chimera.

Uczucie zawodu jest obustronne. Amerykanie w roku 1950 widzieli NATO w innej perspektywie i snuli projekty, które zawiodły. W obecnej jego formie NATO nie odpowiada nawet defensywnym wymogom a cóż dopiero mówić o jego ewentualnej roli jako instrumentu nacisku. Amerykanie nikomu nie obiecywali, że zjednoczą Niemcy na własną rękę — jeżeli wolno się tak wyrazić. Zjednoczenie miało być w pierwszej linii inicjatywą niemiecko-europejską. Narzędziem ewentualnego nacisku miały być natomiast imponujące siły NATO.

Amerykanie dostosowali się do zmienionej sytuacji. Dziś ograniczają się do życzenia by NATO — choćby w ograniczonym stopniu — broniło europejskiego „status quo”. Nacisk, demonstracja siły, czy jakiegokolwiek działanie ofensywne w ogóle nie wchodzi w grę.

Z uwiadu NATO Amerykanie wyciągnęli konsekwencje. Niemcy — nie. W sumie pierwszym punktem naszej analizy musi być stwierdzenie, że adenauerowska teoria zjednoczeniowa upadła całkowicie. Upadła całkowicie ponieważ nie ma żadnych szans odbudowy.

Jeżeli trzeba wyłączyć tak wojnę jak i nacisk czy demonstrację siły — nie pozostaje nic innego jak negocjacje.

Ktokolwiek obejmie we wrześniu ster niemieckiej polityki chcąc podjąć inicjatywę zjednoczeniową będzie musiał zacząć od re-definicji niemieckich postulatów. Adenauerowskie oficjalne postulaty są bowiem równoznaczne z kapitulacją Rosji i Polski. Jeżeli nie ma realnych możliwości wywarcia nacisku w skali światowej jest bezpłodną naiwnością domagać się kapitulacji. Ani Rosja, ani Polska nie skapitulują w obliczu żądań niemieckich, bo nikt nie zamierza ich do tego zmusić. A któż kapitułuje jeżeli nie musi?

Rozważmy z kolei szanse i perspektywy negocjacji niemiecko-rosyjskich.

Związek Sowiecki jak długo jest Związkiem Sowieckim

nie może zaakceptować zachodnich warunków w sprawie zjednoczenia Niemiec. Przyjmując warunki Bonn Rosja musiałaby zdradzić komunistyczny rząd wschodnio-niemiecki, zerwać wszystkie umowy zawarte z tym rządem, wyprzeć się go. Innymi słowy, akceptując adenauerowskie warunki Sowiety musiałby się stać współnikiem w likwidacji jednego z państw obozu komunistycznego. Jestem przekonany, że takiej operacji nie mógłby bezkarnie zaryzykować Stalin. Dla obecnego kierownictwa sowieckiego byłaby to z całą pewnością operacja śmiertelna.

Można fałszować historię rewolucji (jak na Węgrzech) ale zawsze w imię rewolucji. Można usiłować przekonać przywódców państw komunistycznych, że Imre Nagy dążył do wyłączenia Węgier z bloku wschodniego a tym samym działał wbrew interesom obozu socjalistycznego. Przyjmując jednak warunki Bonn rząd sowiecki nie mógłby odeprzeć zarzutu zdrady partii i państwa komunistycznego, zdrady interesów bloku wschodniego, któremu Rosja przywodzi. Na kapitulację tych wymiarów Moskwa może by się zgodziła gdyby bomby wodorowe leciały na Kreml, ale nie wcześniej.

Należy przyjąć za pewnik, że jeżeli Rosja zgodzi się kiedykolwiek na zjednoczenie Niemiec (w wyniku rokowań a nie w rezultacie wojny) to zgodzi się tylko na taką formę zjednoczenia, które nie naruszy ani jej prestiżu ani bezpieczeństwa.

W Polsce Rosja zgodziła się, częściowo milcząc, częściowo oficjalnie, na wielkie zmiany. Ale źródła owych przemian są wewnętrzne nie podyktowane z zewnątrz.

Gdyby doszło do zbliżenia i zacieśnienia/stosunków między obu niemieckimi republikami, gdyby owo zbliżenie przybrało jakieś konkretne formy — Rosja zgodziłaby się może na ustąpienie Ulbrichta i na wschodnio-niemiecki „październik”.

Czytelnik zapyta może w tym miejscu dlaczego Rosja dziś nie chce się zgodzić na „październik” w Niemczech wschodnich? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Któż przed rozpoczęciem gry pozbywa się atutów? Polska nie ma bezpośredniej granicy z Zachodem. Ale Niemcy wschodnie mają. I dlatego „odwilż” w niemieckiej republice ludowej jest zagadnieniem nie tylko wewnętrzno-niemieckim ale w pierwszym rzędzie zagadnieniem sowieckiej polityki zagranicznej. Rosja nie cofnie poparcia Ulbrichtowi za darmo i nie zgodzi się na „odwilż” w Niemczech wschodnich dopóki ogólnoniemieckie konsekwencje tej „odwilży” nie zostaną ubezpieczone.

Gdyby dziś miejsce Ulbrichta zajął przywódca miary Gomułka i cieszący się równie szerokim poparciem narodu jak Gomułka mogłoby dojść do spontanicznego zjednoczenia Niemiec ponad głowami zarówno Moskwy jak i Bonn. Nie ulega wątpliwości, że nie obyłoby się wówczas bez rewolucji i rozruchów, których konsekwencje trudno dziś wymierzyć.

Niemcy wschodnie są głównym atutem Rosji w Europie. Cena tego atutu jest bardzo wysoka i lepiej na ten temat nie żywić złudzeń.

Wyobraźmy sobie, że Bonn uznaje rząd wschodnio-niemiecki, obie republiki podpisują szereg umów, stosunki między obu krajami układają się coraz pomyślniej. Po pewnym czasie w Niemczech wschodnich następuje znaczna liberalizacja i demokratyzowanie co w konsekwencji doprowadza do federacji. Jest więc prawdopodobnie, że proces powyższy pozostawiony własnemu biegowi doprowadziłby po pewnym czasie do całkowitego zjednoczenia Niemiec.

Tego rodzaju rozwój sytuacji w Niemczech wywarłby głębokie wrażenie w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii.

Osobiście nie dziwię się zupełnie, że przywódcy sowieccy popierają starego stalinowca Ulbrichta, ślepo oddanego Moskwie. Stalinizm nie ma przecież żadnych szans zjednoczenia Niemiec a wschodnio-niemieccy stalinowcy nie kryją ani dla Moskwy ani dla Bonn żadnej niespodzianki. Natomiast narodowy komunizm gdyby znalazł dynamicznego przywódcę mógłby odegrać w Niemczech historyczną rolę. Zjednoczone, 75-cio milionowe, wysoko uprzemysłowione, bogate, narodowo-komunistyczne Niemcy mogłyby się stać bardzo trudnym i niebezpiecznym partnerem. To nie Polska czy Jugosławia. To byłyby drugie Chiny. Skłonny jestem przypuszczać, że w Moskwie nikt nie marzy o zjednoczonych Niemczech głoszących prawo do własnej, niemieckiej drogi do socjalizmu.

Rozpatrując kompleks tych zagadnień z punktu widzenia polityki Moskwy — musi się dojść do wniosku, że nie leży w interesie Sowietów ani zjednoczenie Niemiec na warunkach zachodnich, ani zjednoczenie Niemiec pod sztandarem narodowego komunizmu. Z drugiej strony Rosja nie ma żadnych szans zjednoczenia Niemiec i utrzymania ich na stopie satelity w stalinowskim tego słowa znaczeniu.

Więc jakie jest wyjście?

Nim odpowiemy na to pytanie należy obiektywnie stwierdzić, że Rosji żadne „wyjście” nie jest potrzebne, gdyż obecny stan rzeczy zapewnia jej ogromne korzyści. To nie Moskwa szuka „wyjścia” tylko Bonn. I dlatego Niemcy zachodnie jeżeli zechcą przystąpić do realnych negocjacji będą musiały zaproponować rozwiązanie strawne dla Moskwy.

Niemcy uwierzyli w legendę jałtańską, że Rosjanie znaleźli się w sercu Niemiec na skutek chytrej gry Stalina z Rooseveltem. Żołnierz niemiecki walczył i zwyciężał, ale wielcy tego świata przehandlowali pół Niemiec przy zielonym stoliku. Od lat sufluje się opinii niemieckiej przekonanie, że Rosja nie ma żadnego tytułu do Niemiec wschodnich poza dyplomatyczną szacherką. Owa legenda, która każe Niemcom wierzyć, że zostali nie tyle pobici co oszukani — wytwarza klimat uniemożliwiający porozumienie z Rosją.

Faktem jest, że Rosjanie nie wytargowali Niemiec wschodnich przy zielonym stoliku tylko pobili Niemców w polu. Ich tytuł do Niemiec wschodnich jest konsekwencją bezspornego

wojskowego zwycięstwa. To są realia, które trzeba sobie uświadomić rozważając perspektywy rokowań niemiecko-rosyjskich. I w roku 1957 nie Bonn w tych rokowaniach reprezentować będzie zwycięzcę.

Jestem skłonny przypuszczać, że w toku rozmów Moskwa w takim czy innym punkcie poszłaby na dość dalekie ustępstwa. Jednak z całą pewnością nie odstąpi nigdy od żądania ewakuacji baz i wojsk mocarstw zachodnich. Atut niemiecki Rosja wymieni jedynie za układ zwiększający jej bezpieczeństwo. Amerykanie mogą dziesiątki razy deklarować czysto obronny charakter Paktu Atlantycznego. Niemniej z punktu widzenia realnej polityki, którą niewątpliwie kieruje się Moskwa — bazy wyewakuowane są korzystniejsze od najbardziej pokojowych baz, które pozostają na miejscu.

I oto dochodzimy do sedna zagadnienia. Bazy o których mowa są amerykańskie. Niemcy są nie tylko atutem dla Rosji. Są również atutem dla Amerykanów.

Jeżeli spojrzeć na całość problemu z perspektywy Bonn to główna trudność sprowadza się do faktu, że tak Waszyngton jak i Moskwa pragną atut niemiecki zachować do gry w skali światowej i nie chcą pozbywać się tej karty w rozwiązaniu lokalnym à la Austria. (Stąd tendencje tak w Waszyngtonie jak i w Moskwie do sprzęgania problemu niemieckiego z ogólnymi projektami rozbrojeniowymi).

Jakie jest więc wyjście?

Musimy pod adresem Waszyngtonu powiedzieć to samo cośmy powiedzieli o Moskwie. Waszyngton nie szuka żadnego „wyjścia” bo obecna sytuacja zapewnia mu poważne korzyści strategiczne. To nie Amerykanom potrzebne jest „wyjście” tylko Niemcom.

Dlaczego uregulowanie sprawy niemieckiej w płaszczyźnie światowej polityki amerykańsko-rosyjskiej jest takie trudne? Ponieważ ani Waszyngton ani Moskwa nie dążą do wyrównania różnic i układu. Celem polityki zarówno rosyjskiej jak amerykańskiej nie jest „równowaga sił” lecz przeciwnie, ustalenie zdecydowanej przewagi. Z chwilą bowiem gdy świat zredukował się do dwóch super-mocarstw bezpieczeństwo gwarantuje tylko zdecydowana przewaga. Dlatego wszystkie Genewy, spotkania na najwyższym szczeblu itp. rozczarowują tych, którzy mylnie odczytują ich charakter. To są wszystko konferencje taktyczne. Nasza epoka nie zna innych. Koegzystencja jest bowiem formą taktyki, która opiera się na obustronnym przekonaniu, że zdecydowaną przewagę można osiągnąć bez uciekania się do wojny atomowej. Ktokolwiek koegzystencję rozumie inaczej rozumie ją fałszywie.

Jak dotąd Niemcy prowadzą idealnie konformistyczną politykę i nie sprawiają kłopotów ani Ameryce ani Rosji. Niemcy zachodnie patrzą na Waszyngton — Niemcy wschodnie na Moskwę i... *everybody happy*. Ale powiedzmy sobie otwarcie, że to nie jest polityka zmierzająca do zjednoczenia Niemiec.

Polacy nie mają żadnych możliwości własną inicjatywą wpłynąć na zmianę obecnego układu w Europie środkowo-wschodniej. Niemcy choć i ich zakres możliwości jest ograniczony — są przecież w znacznie lepszej sytuacji od nas.

Powiedzmy dla przykładu — Amerykanie nie są w możliwości przeszkodzić przyszłemu rządowi w Bonn uznania rządu wschodnio-niemieckiego i nawiązania z nim bezpośrednich rozmów. Nie leży również w mocy Waszyngtonu przeszkodzić nowemu parlamentowi federalnej republiki jeżeli poweźmie uchwałę anulującą obecną ustawę o służbie wojskowej.

Niemcy nie mogą podjąć bezpośredniej akcji zjednoczeniowej. Nie leży również w ich możliwościach zorganizowanie nowego systemu w Europie środkowo-wschodniej jak omawiany obecnie „pas neutralny”. Leży natomiast w ich możliwościach ruszenie kwestii niemieckiej z martwego punktu. Innymi słowy Niemcy zachodnie mądrą i odważną polityką mogłyby przymusić tak Waszyngton jak i Moskwę do szukania „lokalnego” rozwiązania problemu niemieckiego. Przez rozwiązanie „lokalne” należy rozumieć w tym kontekście rozwiązanie czysto europejskie nie związane z ogólno-swiatowymi zagadnieniami jak rozbrojenie, kontrola atomowa itd.

Amerykański departament stanu nie wykazuje dziś najmniejszego entuzjazmu dla koncepcji „pasa neutralnego”. I w pewnej mierze jest to zrozumiałe. Rozbrajanie „pola minowego” związane jest zawsze z pewnym ryzykiem. Toteż trzeba sobie jasno powiedzieć, że Ameryka podejmie tę koncepcję tylko wówczas, gdy zostanie do tego zmuszona. W innych słowach — podejmie tę inicjatywę wówczas, gdy rząd w Bonn przekona ją swoją aktywną, samodzielną polityką, że stan obecnego podziału jest nie do utrzymania.

Juliusz MIEROSZEWSKI

List z Berlina

SPRAWA WOLFGANGA HARICHA

7-go marca 1957 roku przed Sądem Najwyższym Niemieckiej Republiki Demokratycznej we wschodnim Berlinie stanął prof. dr Wolfgang Harich, oskarżony o zdradę stanu. Proces trwał tylko dwa dni i o jego przebiegu trudno cośkolwiek napisać konkretnego, gdyż nikt z korespondentów akredytowanych w Berlinie nie miał możliwości śledzenia rozprawy. Nawet przedstawiciele prasy z państw bloku wschodniego nie otrzymali zezwolenia na wstęp do sali sądowej. Wolfgang Harich został zasądzony na

dziesięć lat ciężkiego więzienia. Według oficjalnej wersji władz wschodnioniemieckich Harichowi dowiedziano, że przygotowywał zamach stanu i powstanie przeciwko rządowi Ulbrichta-Grotewohla.

Sprawa ta nie wymagałaby bliższej i szczegółowej uwagi na łamach „Kultury” gdyby aresztowanie Haricha i proces przeciwko niemu nie były związane z szerszym aspektem obecnej sytuacji w międzynarodowym ruchu komunistycznym, a szczególnie z problematyką polskiej rewolucji październikowej. A tymczasem akt oskarżenia i metoda procesu miały na celu wykazanie organicznego związku pomiędzy przemianami w Polsce a „kontrewolucyjną” działalnością Wolfganga Haricha.

Zanim jednak przedstawimy te wymowne aspekty pierwszego od XX Kongresu procesu politycznego, którego jedyną przyczyną i głównym źródłem było „odchylenie ideologiczne” Haricha spróbujemy nakreślić sylwetkę ofiary policyjnego reżymu N.R.D.

36-letni Wolfgang Harich pochodzi z typowego niemieckiego środowiska intelektualnego. Ojciec jego był dość znanym w okresie Republiki Weimarskiej pisarzem i dziennikarzem. Młody Harich już na ławie gimnazjalnej wykazywał nieprzeciętne zdolności i kiedy na początku drugiej wojny światowej zaczął studia u wybitnego filozofa na uniwersytecie berlińskim, profesora Nicolai Hartmanna wrócono mu wielką karierę naukową. Okres wojny wniósł w życie młodego studenta romantyczny epizod dość bliskich kontaktów z personelem ambasady japońskiej w Berlinie. Rezultatem tych znajomości były zainteresowania Haricha dla buddyzmu i dla azjatyckich systemów filozoficznych i religijnych. Powołanie do wojska w roku 1943 przerwało Harichowi studia nad buddyzmem. Ale żołnierz z niego był kiepski. Harich zdezerterował z frontu i utonął w chaosie bomb, ruin i dezorganizacji dogorywającej stolicy Trzeciej Rzeszy.

Po kapitulacji Niemiec Harich rzuca się w wir kulturalnego życia Berlina, okupowanego przez cztery mocarstwa. Pisuje do wydawanego przez władze francuskie dziennika „Der Kurier”, a po kilku miesiącach zostaje recenzentem teatralnym tegoż pisma. Gdzieś na początku 1946 roku Wolfgang Harich zaprzyjaźnia się z krytykiem teatralnym i pisarzem z Leningradu — Dymyszcem, który w mundurze oficera sowieckiego zdobywał, nie bez talentu i powodzenia, sympatie intelektualistów berlińskich dla Rosji i marksizmu. Harich ulega całkowicie dyktando nowego przyjaciela i staje się zagorzałym marksistą. Jesienią 1946 roku opuszcza redakcję „Der Kurier” i przenosi się do sektora sowieckiego jako krytyk teatralny wydawanego przez rosyjskie władze okupacyjne pisma „Taegliche Rundschau”. Niepospolity intelekt Haricha, jego błyskotliwa elokwencja i fantastyczna zdolność absorbowania tajników „Nowej Wiary” sprawia że drzwi do kariery w ustroju komunistycznym otwierają się mu wszędzie bez najmniejszych trudności. W ciągu półrocznych studiów Harich opanowuje obfity program marksizmu-leninizmu, na który inni potrzebowaliby długich lat. W roku 1949 obejmuje on profesurę zagadnień marksizmu-leninizmu na uniwersytecie wschodniobrzezińskim. Następnie zostaje redaktorem naczelnym „Deutsche Zeitschrift fuer Philosophie” będąc jednocześnie głównym lektorem wydawnictwa „Aufbauverlag”.

Dawnym i nowym przyjacielem Haricha wydaje się, że „Wunderkind” młodej generacji intelektualistów niemieckich stanie się typowym przedstawicielem uprzywilejowanej i konformistycznej kasty naukowców, służących

wiemni systemowi stalinowskiemu. Wkrótce okazuje się jednak, że był to sąd zbyt pochopny. Powstanie robotników niemieckich 17 czerwca 1953 roku załamuje wiarę Haricha w słuszność polityki kierownictwa partii S.E.D. Pod wpływem rewolucyjnego czynu klasy robotniczej Harich pisze latem 1953 roku pierwszy niekonformistyczny artykuł w tygodniku „Sonntag”. Drugim głębokim przeżyciem dla Haricha jest dyskusja prowadzona wśród filozofów wschodnioniemieckich na temat interpretacji filozofii Hegla. Wyłamuje się on ze sztywnych, dogmatycznych sformułowań Stalina, Żdanowa i Aleksandrowa i znajduje wspólny punkt widzenia z Lukaczem z dalekiego Budapesztu. Między starym Lukaczem i młodym Harichem rozwija się głęboka współpraca.

Wczesnym latem 1956 roku Wolfgang Harich przebywa w Polsce. Konferuje z marksistami warszawskimi, wygłasza referaty i wykłady dla studentów polskich, przypatruje się polskiemu życiu naukowemu i kulturalnemu. Dostreaga nowe prądy, śledzi z rosnącym zainteresowaniem polską „odwilż” nad Wisłą. Kiedy wraca do Berlina oświadcza w gronie przyjaciół, że znalazł w Polsce to czego nie widzi w Niemczech Wschodnich: „odważną myśl i rewolucyjny patriotyzm”.

W takim stanie psychicznym wchłania 36-cioletni marksista niemiecki wypadki październikowe w Polsce i na Węgrzech. Obserwuje falę rewolucyjnego uniesienia wśród młodzieży studenckiej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, widzi zapal wśród robotników i kielkujące idee krytycznej myśli wśród znanego mu środowiska intelektualistów. Ale stalinowski konformizm, marazm i tępą służalczość kierownictwa partii S.E.D. wobec Rosji doprowadza go do wściekłości. Na początku listopada 1956 roku Wolfgang Harich postanawia działać.

Wraz z nieliczną grupką młodych filozofów, dziennikarzy, i lektorów oficjalnych wydawnictw komunistycznych redaguje program reformy rządzącej partii komunistycznej i istniejącego w N.R.D. systemu władzy państwowej. W programie tym powołuje się na nastroje panujące na uniwersytetach Niemiec Wschodnich, analizuje sytuację, która powstała wśród niemieckiej klasy robotniczej na skutek stalinowskiego dogmatyzmu, wytyka błędy popełnione przez Związek Sowiecki i żąda w konkluzji pójsia „niemiecką drogą do socjalizmu”. Jest to program nawskroś komunistyczny ale radykalnie antystalinowski. Główne postulaty opracowanego przez Haricha i jego towarzyszy programu odnowy zamykają się w żądaniu złamania monopolu aparatu partyjnego, rozwiązania wschodnioniemieckiej bezpieki tak zwanej S.S.D. i niekontrolowanego sądownictwa, przywrócenia swobody myśli naukowej, zniesienia wyzysku ludzi pracujących, wprowadzenia Rad Robotniczych, rozwiązania kolchozów i usunięcia stalinowców z partii. Domaga się on skorzystania z doświadczeń polskich, jugosłowiańskich i chińskich oraz uwzględnienia w teorii markistowsko-leninowskiej spuścizny naukowej Trockiego, Bucharina, Róży Luxemburg, a częściowo nawet Kautsky'ego i Sternberga.

Harich usiłuje przedstawić swój program oficjalnym ideologom partii, ale nie znajduje wśród nich poparcia. 7-go listopada 1956 roku zostaje po długich usiłowaniach przyjęty przez pierwszego sekretarza wschodnioniemieckiej partii komunistycznej Ulbrichta ale rozmowa pozostaje bez rezultatów. Dociera wreszcie w swych wędrówkach do ambasadora sowieckiego w N.R.D. — Puszkina i próbuje uzyskać jego pomoc w sprawie odnowy

ruchu komunistycznego i systemu rządów w N.R.D. Krok ten kończy się katastrofą. 29-go listopada 1956 wschodnio-niemiecka bezpieka arestuje Wolfganga Haricha i jego najbliższych współpracowników pod zarzutem przygotowywania zamachu antypaństwowego.

Z opublikowanych we wschodnio-berlińskiej prasie komunistycznej fragmentów aktu oskarżenia wynika, że kierownictwo S.E.D. postanowiło wykluczyć z procesu wszelkie przesłanki natury ideologicznej, które były głównym motywem akcji Haricha. Skonstruowano natomiast oskarżenie o wywrotową działalność, przygotowywanie kontrrewolucji, kontakty szpiegowskie z zachodem, a szczególnie z socjal-demokratami zachodnio-niemieckimi i powiązania ideologiczne i organizacyjne z „kontrrewolucyjnymi” środowiskami na Węgrzech i w Polsce.

Antypolski charakter marcowego procesu przeciwko Harichowi wystąpił w szeregu elementów aktu oskarżenia i sposobu prowadzenia rozprawy. Oficjalne komunikaty publikowane w ciągu dwudniowej rozprawy na łamach dziennika S.E.D. „Neues Deutschland” głoszą, że w toku procesu udowodniono Harichowi, iż latem 1956 roku prowadził rozmowy w Polsce, że w październiku ubiegłego roku pertraktował w Weimarze z „dwoma intelektualistami polskimi” którzy go informowali o „rewolucyjnej walce przeciwko stalinizmowi w Polsce”. Jako poważny moment oskarżenia figurował zarzut, że Harich był zafascynowany wynikami VIII Plenum P.Z.P.R. Głównym punktem aktu oskarżenia było wreszcie twierdzenie, że Harich postanowił utworzyć ośrodek swej kontrrewolucyjnej akcji w Polsce, by z Warszawy propagować koncepcję „kontrrewolucji”. W ten sposób sklecono wersję o organizacyjnych powiązaniach Haricha z kołami polskimi i skonstruowano tezę o polskich inspiracjach rzekomej próby zamachu stanu.

Lansując tego rodzaju wersję kierownictwo S.E.D. i bezpieka wschodnio-niemiecka osiągnęły szczytowy punkt nasilenia propagandy antypolskiej. Akcja ta, uzgodniona niewątpliwie w najdrobniejszych szczegółach z czynnikami sowieckimi stanowi nowy element wywierania nacisku na rozwój sytuacji w Polsce. Jest ona niejako wezwaniem pod adresem Gomułki aby ukrócić „kontrrewolucyjną” działalność środowisk intelektualnych. Zresztą uzupełnieniem niesłychanych oskarżeń, wysuniętych w toku procesu pod adresem Polski, jest kontynuowana nadal nagonka przeciwko prasie polskiej, szczególnie przeciw redakcji „Po prostu”, w której biorą udział czołowi działacze S.E.D. jak Ulbricht i Winzer. Proces Haricha, z wyraźnym zaakcentowaniem zarzutami pod adresem Warszawy, jest zarazem ostrzeżeniem dla tych środowisk intelektualnych, artystycznych i studenckich w N.R.D., które pragnęłyby kontynuować współpracę z bliskimi im ośrodkami i działaczami w Polsce.

BERLIŃCZYK

Kronika angielska

NA TRASIE WSCHÓD-ZACHÓD CZYLI NASI ZA GRANICĄ

Onegdaj rozmawiałem z Polką, która zatrzymała się w Londynie w podróży powrotnej z Toronto gdzie spędziła kilka tygodni u syna.

— Jak się pani podobał tak zwany wielki świat? — zagadnąłem.

— Panie, Toronto to zakazana prowincja! — wybuchnęła krewko starsza pani. — Cóż z tego, że mają lodówki, odkurzacze elektryczne, telewizje i tony żarcia na głowę. U nas, panie, w Warszawie szesnaście teatrów i zawsze pełne. Pełno na koncertach i na odczytach. W każdym najbiedniejszym domu sterty książek i czasopism. W Toronto nie ma co czytać, nie ma gdzie pójść, nie ma o czym mówić. Nuda, panie nuda!

To jest manifestacja raczej typowa. Kobiety reagują bardziej żywo i bardziej pozytywnie w zetknięciu z kontrastem — Polska: Zachód. Mężczyźni ulegają natychmiast magii bogactwa i już na lotnisku dławili ich klasyczny polski „kompleks zagraniczny”.

U państwa N. przy „drinkach” dyskutowaliśmy perspektywy pożyczki amerykańskiej. W miarę jak w karafce ubywało dżinu horyzonty pożyczkowe poszerzały się w zawrotnym tempie. Rozwiązaliśmy już problem mieszkaniowy i zabraliśmy się rącho do motoryzacji. Warszawa zaroila się od najnowszych modeli samochodów — autostrady lśniącem węzłem wybiegły z rogatki warszawskich ku Śląskowi, Pomorzu, Podhalu. Wystawy sklepów stołecznych pękały pod lawiną towarów. W każdym domu „frizyder”, telewizja, elektryczna pralka z elektryczną suszarnią, automaty do skrobania kartofli i mycia naczyń, łazienki z aparaturą do odchudzania — elektryfikacja, amerykańizacja, automatyzacja.

Pani Jadzia cedziła wolno i z oporem angielski dżin. Z polskiej wódki, którą przywiozła z Warszawy — nie było już ani śladu. Zlikwidowano ją z sentymentalną zachłannością zaraz pierwszego wieczoru — tak, że jej nawet nie powąchałem.

— Czy pan myśli, że wtedy i u nas wszystko by się skończyło? — zapytała zniechęta.

— Co by się skończyło?

— Przecież to jasne! — uśmiechnęła się niecierpliwie. — Czyta pan przecież polską prasę, periodyki, koresponduje pan z ludźmi. Czy myśli pan, że jak kiedyś obrośliśmy w piórka, w frizydy i automaty — skończyłaby się ta atmosfera, ta duchowa gorączka, te dyskusje, walki ideowe, teatry pełne ludzi, wielotysięczne nakłady książek, wiersze, które wszyscy znają, artykuły, które czytują — sama nie wiem jak to określić ale przecież pan wie o czym mówię...

— Rozumiem. Pragnie pani wiedzieć czy dobrobyt i wysoka stopa życiowa nie przyniosłyby w konsekwencji małomieszczańskiej ciasnoty, przyziemności, filisterstwa, nudy. Czy to pani myślała?

Pani Jadzia skinęła głową.

— Hum... nie łatwo jest odpowiedzieć na to pytanie choćby z tej przyczyny, że jak dotąd nie było na świecie państwa socjalistycznego, którego obywatele nurzaliby się w dobrobycie i luksusie. Mam oczywiście na myśli państwo socjalistyczne a nie socjal-demokratyczne. Socjal-demokracja wykazuje niepomniernie większe uzdolnienia w tym kierunku. Osobiście wątpię czy byłoby możliwe w ramach społecznego dosygu materialnego utrzymać stan równie wysokiego napięcia psychicznego jaki charakteryzuje klimat kulturalny Polski współczesnej.

Pani Jadzia potrząsnęła energicznie głową.

— Zapewniam pana, że nawet z lodówkami i automatami będziemy inni, żywi, inteligentni, nie tacy jak tu... — wykonała nieokreślony ruch ręką.

KONIEC „STANU WYJĄTKOWEGO”

Trzeba raz te sprawy odkłamać, wyjaśnić i wyprostować. Zaczniemy to wielkie pranie od nas samych to jest od „Kultury”. W artykule pt. „Dialog” sformułowaliśmy szczegółowe warunki współpracy pisarzy emigracyjnych z redakcjami pism i instytucjami wydawniczymi w Kraju.

Na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy sytuacja uległa dalszej zmianie choćby przykładowo wymienić projekty reprivatyzacji dawnych firm wydawniczych. Rozważywszy wszystkie „pro” i „contra” doszliśmy do następującego wniosku. W przyszłości „Kultura” nie zamierza kępować pisarzy emigracyjnych z nami współpracujących — ustanawianiem jakichkolwiek warunków dotyczących drukowania czy publikowania utworów literackich w Kraju. Obstawiamy tylko przy jednym postulacie. Pisarz emigracyjny pod żadnym warunkiem nie może wyrazić zgody na jakiekolwiek zmiany w oryginale, skreślenia, retusze, dodatki czy komentatorskie wstępy.

W sumie proponujemy dwie rzeczy. Zakończenie „stanu wyjątkowego” i oparcie autorsko-wydawniczych stosunków między Krajem a emigracją na zwyczajach i normach obowiązujących w cywilizowanym świecie.

Wszystko to brzmi gładko i prosto jak długo operujemy ogólnikami. Praktyka jest nieco mniej przejrzysta.

Weźmy dla przykładu wydawnictwa. Nie dziwię się, że „Twórczość” pragnęłaby przedrukować „Dziennik” Gombrowicza, drukowany w „Kulturze” a który w najbliższym czasie ukaże się w ramach „Biblioteki Kultury”. Jest on jedną z najwybitniejszych polskich pozycji literackich na przestrzeni ostatnich lat trzydziestu. „Twórczość” z stycznia br. stwierdza, że miała wielką ochotę przedrukować „Dziennik”, który uważa za „bardzo piękny i piekielnie inteligentny” ale wobec protestów autora i „Kultury” musiała zrezygnować z tego zamiaru.

Droży Panowie, „Kultura” nie protestuje przeciwko przedrukowywaniu, ale przeciwko *bezprawnemu* przedrukowywaniu.

Jest rzeczą zdumiewającą, że na tym tle mogą powstać jakieś nieporozumienia. Sprawa jest bowiem kryształowo jasna. Zgodnie ze zwyczajami obowiązującymi na Zachodzie — jeżeli pragnie się wydać książkę czy dokonać przedruku fragmentów, trzeba nabyć prawa autorskie od osoby tymi prawami dysponującej. Dysponentem praw autorskich może być autor, firma wydawnicza względnie agencja literacka. W prawie autorskim, zastrzeżonym międzynarodowymi konwencjami, nie istnieje pojęcie „wydania emi-

gracyjnego”. Jeżeli „Kultura” nabywa „copyright” dzieła napisanego na emigracji dotyczy ono praw publikacji w języku polskim. Zależnie od kontraktu, uprawnienia mogą obejmować jedno, dwa lub całość ewentualnych wydań w języku polskim.

W konsekwencji jeżeli ktoś pragnie przedrukować w języku polskim książkę wydaną (czy zakupioną) przez „Kulturę” musi wpięć zawrzeć odpowiednią umowę z „Kulturą”. W wypadku gdy dzieło jest „copyright” przez autora i „Kulturę” umowa musi być zawarta tak z autorem jak i z „Kulturą”. W każdym wypadku, nim przystąpi się do publikowania wyjątków z cudzej książki należy napisać do autora względnie jego wydawcy z prośbą o informacje. Tak jest na całym świecie i nie ma powodu by inaczej było w Warszawie.

Nie mamy nic przeciwko temu by firma wydawnicza krajowa zakupiła książkę takiego czy innego autora emigracyjnego i sprzedawała ją zarówno w Kraju jak i zagranicą. Jeżeli umowa zostanie zawarta należycie, jeżeli krajowe wydanie będzie co do joty zgodne z oryginałem — nikt do takiej transakcji nie będzie zgłaszał zastrzeżeń.

Sprawa komplikuje się gdy książka została uprzednio wydana na emigracji. Jest oczywiste, że wydawca emigracyjny jako dysponent praw autorskich wyrazi zgodę na wydanie krajowe tylko na pewnych warunkach. Załóżmy dla przykładu, że wydaliśmy książkę X. Rozsprzedaliśmy 1/3 nakładu. W chwili gdy „Kultura” wyrazi zgodę na wydanie książki X w Kraju — praktycznie biorąc tracimy szanse rozsprzedania pozostałych 2/3 nakładu. Jaka jest bowiem sytuacja? Książki wydawane w Kraju są sprzedawane bez żadnych ograniczeń za granicą podczas gdy książki emigracyjne de facto nie mają dostępu do Kraju. „Srebrne Orły” Parnickiego wydane przez Pax można nabyć w całej Polsce — te same „Srebrne Orły” w wydaniu emigracyjnym ugrzęzną na granicy.

Wydawca emigracyjny cenę książki kalkuluje według „staroświeckiej” zasady opłacalności — wydawnictwo państwowe wolne jest od takich kłopotów i może daną książkę zaoferować taniej.

Trzeba to jakoś przyzwoicie rozwiązać. Przy dobrej woli nie jest to takie trudne.

W praktyce nie robiliśmy nigdy trudności z udzielaniem pozwolenia na przedruk dłuższych nawet fragmentów czy całych artykułów. Oczywiście pod warunkiem powołania się na źródło. Będziemy natomiast zawsze demonstrować przeciwko „prawu dzungli”. „Twórczość” która w patetycznym i świętym oburzeniu na nas rozdziera szaty — przed kilku miesiącami zapowiadała (na okładce) druk „Dziennika” nie zwróciwszy się ani słowem do „Kultury”. Nie ulega wątpliwości, że „Twórczość” zrealizowałaby swą zapowiedź gdyby nie nasze protesty.

Katowickie „Przemiany” nie pytając o zezwolenie ani autora, ani „Kultury” przedrukowały (nie podając źródła) większy fragment „Smagłej Swobody” Pankowskiego. Przykładów z tej serii można by, niestety, przytoczyć bardzo dużo.

Całość tych stosunków to nie tylko przepisy, ustawy i konwencje międzynarodowe ale i dobre obyczaje.

„Wydawca emigracyjny”, „książka emigracyjna” to są jeszcze ciągle terminy polityczne... trefne w Polsce Ludowej. P.I.W. wydał ostatnio przedwojenną „Ferdynurkę” Gombrowicza. W posłowie, którym zaopatrzone

książkę — powiedziano wprawdzie, że autor napisał na emigracji „Transatlantyk” ale fakt, że tenże „Transatlantyk” ukazał się na łamach „Kultury” a następnie jako tom „Biblioteki Kultury” — przemilczano. W tym osobliwym posłowniu powiedziano, że Gombrowicz drukuje fragmenty „Dziennika”, ale gdzie drukuje również przytająno. Chociaż zapowiadamy od kilku miesięcy książkowe wydanie „Dziennika” autor noty do „Ferdynurka” ogranicza się do stwierdzenia, że „Dziennik” nie ukazał się w wydaniu książkowym. No, ale byłoby trzęsienie ziemi w Warszawie gdyby w książce wydanej przez P.I.W. wymieniono „Kulturę”. Pan Putrament gotów był zaklasyfikować to jako „niewczesne podrygi pod adresem emigracji” i co wtedy?

Jeżeli mówimy już o dobrych obyczajach to niestety i emigracyjni pisarze nie są bez skazy. Notujemy wypadki, że autorzy wzięwszy u nas honorarium za jedno wydanie — sprzedają swe dzieło wydawcy krajowemu i bez najmniejszych skrępowań przycinają tekst do wymogów cenzury.

I to jest też jedna z przyczyn, które skłoniły nas do zrezygnowania z narzucania autorom jakichkolwiek ograniczeń. Zeespół redakcyjny „Kultury” nie zmienił swych poglądów i dlatego ewentualny dochód czy to z „Kultury” czy z naszych wydawnictw czy honorariów za przedruki — przeznaczamy na bezsporne ogólnonarodowe cele, jak na przykład pomoc dla repatriantów z Wschodu. Doszliśmy jednak do wniosku, że w praktyce nie jest rzeczą możliwą tę naszą zasadę przemianowywać w ogólną normę, która miałaby obowiązywać ogół pisarzy emigracyjnych. Będziemy ją natomiast stosować bardzo rygorystycznie do siebie.

O RODZAJACH CENZURY

Istnieją słowa o tak potężnym ładunku emocjonalnym, że ów ładunek determinuje porządek skojarzeń. Gdy padnie słowo: cenzura — odruchowo pada odpowiedź: znieść!

Przed kilku tygodniami jeden z pisarzy krajowych powiedział mi tu w Londynie: „W obecnych warunkach w Polsce pewna cenzura jest koniecznością”.

W Finlandii, która nie jest geopolitycznie korzystniejsza od nas usytuowana — państwowej cenzury nie ma. Gdy w listopadzie ubiegłego roku „Prawda” zaatakowała prasę krajową i pisarzy krajowych — dziennik moskiewski zauważył przy okazji, że w prasie fińskiej takie wycieczki pod adresem Sowietów byłyby nie do pomyślenia. A przecież — podkreśliła „Prawda” — Finlandia jest krajem burżuazyjnym.

W Finlandii istotnie nie ma cenzury urzędowej ale jest cenzura dobrowolna oparta na podziwu godnej dyscyplinie społecznej.

Oczywiście w obecnej sytuacji nawet najbardziej demokratyczny rząd w Warszawie nie mógłby tolerować nieodpowiedzialnych prasowych wystąpień pod adresem Moskwy. Ale bezpieczeństwo na tym odcinku zapewniałby dostatecznie system konfiskat. W praktyce konfiskaty mało się różnią od cenzury przewencyjnej. Redaktor, który nie chce ryzykować konfiskaty całego nakładu pisma i związanej z tym straty finansowej — woli zazwyczaj przedłożyć wątpliwe artykuły do cenzury przewencyjnej. Był to system szeroko stosowany przed wojną w Polsce mimo, że w zasadzie nie mieliśmy wówczas cenzury (przewencyjnej).

Jak długo celem cenzury jest ochrona bezspornych interesów państwa — można nad nią ubolewać ale niemniej należy się z nią pogodzić. Natomiast w żadnym wypadku nie dotyczy to cenzury ideologiczno-politycznej.

Cenzura mająca na celu ochronę bezspornych interesów państwa w danej wyjątkowej sytuacji (na przykład w czasie wojny) — choć ogranicza wolność słowa nie godzi w demokrację. Jej rygorom podlegają wszyscy bez względu na legitymację partyjną czy poglądy. Ale co innego są interesy państwa a co innego propaganda takiego czy innego programu ideologicznego. Co innego jest skonfiskować artykuł, który ujawnia szczegóły najnowszego działu przeciwlotniczego a co innego jest skonfiskować artykuł, który poddaje w wątpliwość taką czy inną tezę marksizmu.

Polityczno-ideologiczna cenzura uległa w Polsce znacznemu rozluźnieniu. Mimo to dyskusja tocząca się w Kraju nie odbywa się w atmosferze całkowitej swobody ponieważ cenzura stanowi wyłączny monopol partii. Jednej partii.

Cenzuruje się nie tylko artykuły ale i ludzi. Wystarczy, że panu Y. — powiedzmy w redakcji „Po Prostu” — nie puszcza się niczego, nawet niewinnych „michałków” na ostatniej stronie tygodnika. Taka operacja cenzorska równa się cywilnej śmierci w zawodzie dziennikarskim.

Cenzura partyjno-ideologiczna oparta jest na tych samych przesłankach co tak zwana szkoła laicka. Pewnym „inżynierom dusz” wydaje się, że łańcuch przyczynowy można zwyczajnie odwrócić. Najpierw autorytatywnie ustawia się skutek a następnie dorabia się do niego przyczynę.

Dlaczego w Polsce muszą być szkoły katolickie? Odpowiedź jest prosta: społeczeństwo jest katolickie. Gdyby społeczeństwo było mahometańskie szkoły musiałyby być mahometańskie. Gdyby społeczeństwo było laickie i szkoły byłyby wówczas laickie.

Ci publicyści partyni, którzy w dyskusji na temat szkół powołują się gęsto na kraje Zachodu — zapominają, że laickie szkoły w tych krajach są konsekwencją laicyzacji społeczeństwa a nie odwrotnie. To nie społeczeństwo jest takie jakie są szkoły tylko odwrotnie szkoły bywają takie jakie jest społeczeństwo. W demokratycznych społeczeństwach tego procesu nie można odwrócić bo tylko reprezentanci laickiego społeczeństwa uchwalają w parlamentach laicyzację systemu szkolnego.

Monopol cenzury w rękach partii ma być „laicką” szkołą dla całego społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że na dłuższą metę efekt cenzury ideologicznej będzie identyczny jak szkoły laickiej — to jest dokładnie odwrotny od zamierzonego. Takie są bowiem żelazne prawa socjo-psychologii przymusu i nacisku.

ZMIANA WARTY

Ponurej pamięci biuletyn „Kraj” przestał wychodzić. Zbigniew Florczak w pożegnalnym artykule usiłował przekonać czytelników, że... „Kraj” powstał w klimacie tych fermentów w Polsce, tych nastrojów, które noszą od dawna miano „odwilży”. Zapomniał tylko dodać, że klasykami tego złotego okresu byli znani w Kraju i zagranicą koryfeusze demokracji i wolności słowa pp. Arski i Szeląg-Mitner.

Na „odwilż” w wydaniu „Kraju” nie reflektujemy. Jest rzeczą pocieszającą, że to w Warszawie w końcu zrozumiano. Jedno nieporozumienie między nami mniej — czysty zysk.

Likwidując biuletyn „Kraj” zapowiedziano nowy tygodnik pn. „7 Dni” oraz miesięcznik „Magazyn Polski”. „7 Dni” jeszcze nad Tamizę nie dotarło — otrzymałem natomiast pierwszy numer „Magazynu Polskiego”.

Nowy miesięcznik pomyślany jest jako „digest” i zawiera przedruki z polskiej prasy (bez komentarza redakcyjnego co należy zapisać na plus). Pierwszy numer przynosi 32 artykuły z dwudziestu-kilku pism i periodyków. Wśród autorów reprezentowani są Maria Dąbrowska, Słonimski, Stefan Kisielewski, Jasienica, Melchior Wańkowicz (jako autor krajowy), Oskar Lange, Edward Lipiński i inni.

Budzą zastrzeżenia przekłady z prasy zagranicznej — jak „The Economist” czy „Oesterreichische Volksstimme”. Trzeba się zdecydować: albo miesięcznik przedruków z prasy polskiej albo groch z kapustą.

Oczywiście z tej samej prasy krajowej z lutego br. można by dokonać innego wyboru. Na pewno bardziej interesującego. Powiedzmy dla przykładu — „Po Prostu” jest w „Magazynie” właściwie nie reprezentowane. Zamieszczono tylko jeden artykuł Jasienicy o Chinach. Artykuł chiński Jasienicy na łamach „Po Prostu” jest pozycją nie typową i absolutnie nie o tym tygodniku nie mówi.

Jednak o ile można sądzić po pierwszym numerze — impreza jest o tyle udana, że Polak zagranicą wzięwszy do ręki „Magazyn Polski” zorientuje się z grubsza w wachlarzu prasy krajowej z ubiegłego miesiąca.

LONDYN CZYK



SPROWADZANIE RODZIN — EMIGRACJA
BILETY LOTNICZE, MORSKIE I KOLEJOWE
Z POLSKI I DO POLSKI

BILETY LOTNICZE I MORSKIE
DO U.S.A. — KANADY I AUSTRALII
WAKACJE I WYJAZDY NA KONTYNET

Polskie Biuro Podróży **FREGATA**

122 WARDOUR STREET — LONDON — W. 1, ENGLAND

Sprawy i troski

Nowizna

Ukorzenie jest najistotniejszą choć najmniej uznaną potrzebą ludzkiej duszy.

Simone Weil

...Sto tysięcy młodych dusz!

Na emigracji? Niemożliwe! To cyfra wzięta z powietrza!

Pewno, że z powietrza. Ale cyfra może nawet za niska. W U.S.A. na milion ludności przypada 370 tysięcy poniżej 19 lat. Liczmy skromnie, że jest nas tylko pół miliona, że mamy nienormalnie wysoki procent samotnych mężczyzn: a więc dzieci i młodzieży, zamiast statystycznych 185 tysięcy, byłoby około 100 tysięcy. Ocena „na oko” też doprowadziłaby do podobnego wyniku: jedna młoda dusza na cztery dorosłe, czyli 100 tysięcy w półmilionowej emigracji wojennej.

My jesteśmy wykorzenionymi Polakami z Polski. Oni — zakorzenionymi emigracyjnymi... czy Polakami? Czy tylko Polakami? Warto przyjrzeć się tej okazałej grupie, tym ważniejszej, że przyszłość od niej zależy i do niej należy.

Od lat orzemy emigracyjną niwę, tymczasem niwa emigracyjności ciągle czeka nie tylko pluga, lecz nawet rozeznania. Z głosów o „Baśce i Barbarze” chyba pierwszej wnikliwej pracy na temat emigracyjności, wynika, że jest to ziemia niczyja, nie tylko nie uprawiona i nie obsiana, ale nawet nie figurująca na mapie naszych oficjalnie uznanych zainteresowań. Można usłyszeć lub wyczytać ubolewania nad „wynaradawianiem się” (jakby nie było jasne i naturalne, że zanurzona gąbka musi nasiąkać wodą!) albo budujące sprawozdania o zakończeniu roku

w szkółce sobotniej czy o deklamacjach dziatwy na obchodzie. Wzmianki te, choć pożyteczne, nie wiele światła rzucają na emigracyjność, czyli polskość w obcym kraju, życie w dwóch światach. A ich słabą stroną jest, że zbyt łatwo pacyfikują sumienie, jakością zaciemniając ilość: zapominamy, że szkołka sobotnia, gromada zuchowa i trzeciomajowe popisy, to ciągle te same dwa tuziny dzieci, podczas gdy setki ich pozostają poza zasięgiem zorganizowanej polskości. Gdyby istniały statystyki, może okazałoby się, że tylko Anglia zdaje egzamin?

W rozważaniu emigracyjności nie trzeba spodziewać się rewelacji, nie chodzi o dokonanie wiekopomnego odkrycia Kolumbowego, ale chociażby o podkreślenie faktu, że właśnie odkrywanie Ameryki jest dla imigranta długoletnim procesem, który, świadomie i odpowiedzialnie podjęty, przyczynia się znakomicie do rozwiązywania naszego problemu. Pojęcie wynarodowienia i walka o utrzymanie polskości wbrew ciśnieniu otoczenia, przesłania nam drugi, niemniej ważny obowiązek: właściwe kierowanie naturalnie rosnącym korzeniem amerykańskim, aby z polskiego żołędzia wyrósł dąb trzymający się amerykańskiej gleby. Nieodwołalna amerykanizacja nie przeciwstawia się utrzymaniu polskości. Ale to temat do całych studiów, w które nie sposób tutaj się zagłębiać.

W „Kulturze” styczniowej p. Zofia Cunningham (1) stwierdza: „Nie spotkałam ani jednego wypadku zobeczenia dzieci polskiej mowie... Matki wywiązują się świetnie z zadania i ich dzieci znają język polski równie dobrze jak ich rodzice”. Pani Romanowiczowa nie podziela tego szkockiego optymizmu w odniesieniu do Paryża. Ja zaś skłonna byłabym raczej stwierdzić smętnie, że rodziny nowej emigracji w U.S.A., w których dzieci mówią bezbłędnie, a przede wszystkim *swobodnie* polszczyzną, policzyć można na palcach. Więc jak jest „naprawdę”? Jaka wypadłaby przeciętna? Czy rodzice w Szkocji tak górują nad rodzicami w Ameryce, czy o tyle silniejszy jest tutaj wpływ otoczenia, tak inny tryb życia?

Z oglądanych fotografii i obrazków można często wyciągnąć sporo cennych wniosków. Oto kartki z mego pięcioletniego albumu amerykańskiego:

W pod-chicagowskim ogródku 7-letnia Wanda z lubością wacha narcyze, delikatnie głaszcze trąbkę żonkili i woła z entuzjazmem:

— Mamusi, ja kocham Amerykę!

Gdyby w głowinie Wandy Ameryka była całym światem, wykrzyknęłaby pewno, zdyszana wiosną: „I love it here”!

(1) Na marginesie uwaga: dzieci małżeństw mieszanych, stanowią zagadnienie specjalne. Trzy środowiska i trzy języki, albo wyraźna przewaga czynnika niepolskiego, stwarzają problemy inne niż „zwyczajna emigracyjność”, której poświęcone są moje rozważania.

A ona po polsku kocha Amerykę, a nie bezosobowe „tutaj”. Czy w obawie o wynarodowienie trzeba zmrozić ten słoneczny wykrzyknik uwagą, że tutaj kwiaty nie pachną, tylko tam?

Utrwalona na płycie gramofonowej emigracyjna tęsknota śpiewa z wątpliwym sensem, że „tylko tam są konwalie i śnieg”. Ale co wolno emigracyjnej tęsknocie, to nie nam w stosunku do dzieci, które przecież do niczego nie tęsknią. Cóż to jest dla nich owo „tam”?

Konkretnie: paczki. Więc lekarstwa, bo tam nie można dostać; więc ta suknia, co się już mamusi trochę znudziła, całkiem dobra jeszcze, w Polsce będzie jak nowa.

Mgliściej: kawałek na mapie, u kolan takiej niebieskiej pani co klęcząc wyciąga ręce i dłońmi dotyka L od Leningradu. Tatusi mówi, że to Bałtyk. Rzeczywiście w szkolnym atlasie napisane jest Baltic, tylko tatuś inaczej wymawia, tak po swojemu. Paczki idą do tego maleńkiego miejsca na globusie, a wieczorem mówi się „Daj Boziu zdrowie mamusi, tatusiowi, daj Boziu wolną Polskę”.

Paczki plus pacierz równa się Polska. Taka formułka „3P” trwa nieraz przez pięćdziesiąt tygodni w roku, aż przerywa ją — dla jakże znikomej garstki — letni obóz. Wandy i Hanie zamieniają się w Słowian i w Powstańców.

♦
„Z orlego gniazda Pióra Białe, rozwiane w świecie,
to polskie dzieci...”

Skończyły swój popis maleńkie „Białe Pióra”, a teraz śpiewają starsze. „Polanie” spod świętego dębu, „Pionierzy” co płynęli z polskich pól i lasów, do Ameryki, do puszczy dzikiej. Padają słowa o naszym wkładzie w tę ziemię od czasów James-town i księdza Moczygemby z Panny Marii, i o naszym prawie do tego kraju...

Rodzice biją brawo.

— O, o właśnie — któraś mama w zapale macha ręką przed nosem któregoś taty, bo my nie umiemy znaleźć złotego środka. Jedni ciągle z pogardą: „Bo w tej Ameryce, co za chamstwo” i wzdychają pobożnie „Bo u nas, w Polsce...”. A drugim tak zaimponowały te lodówki i telewizje, że już z własnym dzieckiem po angielsku język łamią. Nie daj Boże takiemu w samochodzie się rozbić, dzieciak nie będzie nawet wiedział kim jest, jak kundel jaki. Ja to bym chciała żeby Janek był Kongresmanem, żeby wśród Amerykanów polskich spraw broń...

Wywody bojowej mamy przerywa śpiew Powstańców:

„...idziem styczniowi, listopadowi, i my z warszawskiej barykady,
jednakie godło będzie nas wiodło.
Rozwiń skrzydła białe orle nasz...”

— Po co Powstańcy, wymyśl co innego — pisały do siebie organizatorki obozu. — Czyż jest sens wiecznie dzieciom wpaść szaleńcze „poszli nasi w bój bez broni?”

Ale jak choćby prześlizgnąć się po samej powierzchni historii Polski bez powstań? To przestałyby być Polska. Musieli więc być i Powstańcy, do towarzystwa Polanom-Słowianom i Pionierom-emigrantom. Ze świeżych gazet wycinały fotografie Poznania.

— Żeby o nas było głośno, musimy zawsze się bić. W szkole tylko raz o Polsce słyszałam, o Kościuszcze i Pułaskim, to wojskowi. A w gazecie nigdy o Polsce nie ma, dopiero teraz jak oni poumierali w tym Poznaniu — zastanawia się Małgosia.

Rozumna Małgosiu! Nie odważymy się ci powiedzieć, że ćwierćmilionowa hekatomba i śmierć stolicy nie zasłużyła sobie nawet na porządne tytuły w gazetach! Że dwanaście lat temu szukało się wzmianek *petitem* na którejś tam stronie... Dzieciom trzeba pozytywnie... Zresztą, nie ma czasu na detale, gdy dziecięć wieków przyjdzie się skondensować w dwa tygodnie. Co czwarta rodzina w Ameryce przeprowadza się każdego roku, czy do Małgosi kiedykolwiek znowu dotrze zorganizowana polskość? Nie wiemy! Więc od Kupały ze „Starej Baśni” przez Chrobrego, pędem przez Grunwald — pomnik Jagiełły jest w Central Park widziałas? — przez Złoty Wiek i rozbiory i 3-ci Maj, co to równocześnie z amerykańską konstytucją, i przez ten 1863, co to tutaj też była wojna, i przez zabory i emigrację — znowu jesteśmy na emigracji — puszczamy wiatr, cieniutkie, ale przecież tysiącletnie korzonki.

— Laboratorium — mówi kierowniczka obozu. — Polskość w próbówce. Jakie próbki wybrać na użytek 11-latek, których średnia wiadomości wyraża się Warszawą i Wisłą z geografii, Wandą i Kościuszką z historii, i którym trzeba wypelować nazwisko Mickiewicz?

— Kto wie co to jest? Na trawie leży klasyczna fotografia z Kopernikiem na tle Biblioteki Jagiellońskiej.

— To w Krakowie. Uniwersytet.

— Nowy czy stary?

— O, przed Kolumbem! Jeszcze wtedy Ameryki nie było na świecie!

— A ten monument...

— Pomnik, nie monument.

— ...to Kopernik. On tam się uczył w Krakowie. On był astronomem.

— Astronomem, po polsku!

— Po polsku zawsze inaczej...

Tak, inaczej. Ale od jutra wszystko będzie tak samo. Koniec dwutygodniowej egzotycznej Polski pod namiotami. Znowu jest zwyczajna Ameryka, tylko zabieganej mamie serce mięknie gdy zamiast Oklahomy Magda nuci o ułanach, Maćkach czy kujawskiej ziemi. Ze też ona tyle zapamiętała! Umiało się to wszystko, ale gdzie tu czas śpiewać z dzieckiem. A takie swoj-

skie te jawory, jabłuszka, rozmaryny i dziewczyny. Jeszcze w Niemczech w obozie, a potem w hostelu w Anglii był chór, w sobotę Antek grał na harmonii... A teraz ta Ameryka. W Domu Narodowym, gdy sobie podpisują, zaraz „Góralu, czy ci nie żal”. Ale to jakoś „nie to”. Ameryka...



Ameryka! Dla rodziców wygodny hotel, w którym wynajmują nie pokój lecz apartament — stać ich na to — i nie tygodniowo, lecz rocznie. Dla dzieci — jedyny znany im dom, a w każdym razie z dotychczasowych domów najlepszy. Dla rodziców oszołomionych nie samym bogactwem w sklepach, ale możliwością posiadania go, byle tylko matka też poszła do pracy, a ojciec chwytął wszystkie nadgodziny. Dla dzieci — normalny kraj lat dziecińczych, z samochodem i telewizją, bez której nie sposób wyobrazić sobie życia, choć dopiero obchodzi dziesięciolecie! Dla rodziców płytkość i brak treści, cyrkowe błazeństwa konwencji decydujących rzekomo o najważniejszym urzędzie w państwie. Dla dzieci, każdy szkolny dzień rozpoczynający się ręką na sercu i jakże głęboką treścią: *I pledge allegiance to the flag of the United States of America and to the Republic for which it stands. One nation, under God, indivisible, with liberty and justice for all* (2). Jakie uczucia budzi pieśń: *O beautiful for spacious skies... America, God shed His grace on thee*? (3). Na pewno piękna, wielka i potężna, na pewno — jak dotąd — przez Boga błogosławiona, jeśli nie w pełni szczęśliwa, to w każdym razie *successful America*.

...żeby o nas było w gazecie, to musi ktoś umierać!



— Przeprowadzić się? — Michał prawie płacze. Za nic, tu są najlepsi koledzy i na tym zbiegu ulic nad Hudsonem najlepiej bawić się w...

Właśnie: w co? Nie wiemy, bo nie mamy wspólnego języka. Dosłownie. Ile jest takich Hań, które rzeczowo stwierdzą przy kolacji:

— Joyce i Pat skaczą z nami w klasy. Już umieją obskiki i suwankę i obnoszonkę, a najwięcej lubią ślepotę. Co krok wołają „yes, yes”, a my z Elą: „jest, jest”, a one wcale nie rozumieją, że to znaczy „tak”. To nasz sekret!

Mama-strateg wie dobrze, że w danej chwili obskiki i suwanka ważniejsze od wszystkich wierszyków o mojej ojczyźnie.

(2) Przysięgam wierność sztandarowi Stanów Zjednoczonych i Republicę, którą reprezentuje. Jednolity naród, pod Opatrznością Boską, niepodzielny, z wolnością i sprawiedliwością dla wszystkich.

(3) Piękna przestrzennością niebios, bursztynowymi falami zbóż, Ameryko, Bóg zesłał ci swe łaski, ukoronował twe dobra braterstwem od morza do lśniącego morza.

Pierwszy raz przyłapanę *hopscotch* zastąpiła zaraz klasami. Z czeluści własnej i koleżanek pamięci (trzeba było napisać aż trzy listy!) wydobyła wszystkie szkolne wyrażenia i ze znowstwem zabrała głos w zasadniczych kwestiach żabki, trzech medali, nieba i piekła i ślepoty. Słuchając dziś Hani, mama triumfuje. Zwycięstwo!

— A u nas jak było mo-ro-wo — chwali się Janek, intonacją podkreślając to nowe „morowo”. Ciocia Mania oburzała się na ojca, że po co takich wyrazów uczyć gdy dzieciak ledwo po polsku gada. Ale ojciec dobrze rozumie, że jeśli zamiast *I had a swell time* Jankowi każe powiedzieć „bardzo dobrze się bawiłem”, chłopak nie powie nic. Przecież nawet nie znając języka ma się wyczucie!

— Widzieliśmy najnowsze *electronic computers*. *Gee, isn't automation wonderful*, to jest bardzo fajna rzecz — poprawia się, z dumą zerkając na ciocię Manię, którą ojciec bombarduje właśnie spojrzeniem „a widzisz”. Tymczasem Janek rozpędza się:

— *You feed the data for processing, the digital unit handles* na przykład wysokość poziomu rzeki, a jednocześnie *flow rates are computed in the analog section...*

Mama patrzy na ojca, tata-winowajca spuszcza oczy. Któż odważy się jęknąć „mów po polsku”? Kłeska...

Już próbowali lecieć rakieta na Marsa i nawet nieźle szło, dopóki nie zaczęły się fachowe pytania co do napędu. Okazało się, że po angielsku rakietę mknie gładko, a po polsku ani rusz. W Warszawie wybrnęłoby się za pomocą różnych dzyndz-michałków i wichajsterków, ale w New Yorku ojciec o nich zapomni, zresztą i tak Jankowi to by nie pomogło. Rakiety i elektrony są więc z polskiego świata wykreślone.

Polski jest od jedzenia, mycia, spania, listów do babci i od grzecznej zabawy pod okiem mamy. Może być najprawidłowszy, z czystym akcentem, ale jest językiem dorosłych i sztywnym, używa się go oszczędnie i z zachowaniem dystansu. Deklamuje się wierszyki — nie, już nawet nie o krwiach i bliznach, ale o muchomorze, o słomianych strzechach, których się nigdy nie widziało, o krasnoludkach czy bocianach, których nie ma na telewizji. Polski język jest obcy nawet dla tych szczęśliwców, którym wpadł w ucho z pierwszą matczyną kołysanką i którzy władają nim gładko. Obcy, jak ta ziemia nadwiślańska oglądana na fotografii. Swojski i naturalny jest język kłótni i przekomarzań, spontanicznych i właśnie niegrzecznych zabaw, język prywatnych nowotworów i wygłupków, język szkoły, ulicy, reklamy i telewizji.

— Po co wywoływanie fotografii i cała ta technika, o samolotach pan będzie ich uczył? Mają tego dosyć po angielsku — denerwuje się mama, podwołując Krzysia samochodem na zbiórkę.

W szlachetnym pędzie do pakowania w dziecko polskości, przy znikomym możliwościach, z natury rzeczy ograniczamy się do folkloru, historii, bohaterów z literatury, do samych odświeżeń, które dla młodszych mogą być doskonałą zabawą „na niby”, a przez starszych stawiane są na płaszczyźnie egzotyki, z dala od atomowych elektrowni, mody i układania włosów, albo międzyszkolnych dyskusji na temat wyznań religijnych, czy polityki U.S.A. w krajach arabskich. Jeśli nawet wspominamy o samolotach, mieszance orlonu z nylonem, najlepszej na bluzki, czy o pasjonującym zwycięstwie drużyny baseball'owej — to raczej na przynętę, żeby zwerbować tą drogą Krzysia i Jadzię nauczyć krakowiaka, którym popiszą się ku zadowoleniu rodziców.

Tymczasem sprawy codzienne w polskim wydaniu nie mają być jedynie przynętą na wędce, ale muszą spełniać zasadniczą rolę: *odebrać Ameryce monopol na rzeczywistość*. Dopóki Polska jest tylko wierszem, strojem, obchodem, obozem, piosenką — jednym słowem może i ciekawą, ale zbędną egzotyką i nadzwyczajnością, dopóty Ameryka pozostaje bezkonkurencyjna. Z chwilą gdy świat prawdziwy, ogólnoludzki, a nie tylko czysto polski, dotrze do dziecka od polskiej strony i w polskim języku, zaczynamy wygrywać. Egzotyka jest interesująca, jak wymyślne przekąski, ale żyje się chlebem, nie ostrygami. Chcielibyśmy, by Polska stała się, jeśli już nie chlebem powszednim, to choćby witaminami, do życia niezbędnymi, a nie delikatesem dla amatorów.

Ale cóż to za ciężka walka! Kto z nas mówi „odrzuć wódek” zamiast „jet”, kto potrafi „karmić faktami” mózg elektronowy, kto — w każdym razie do niedawna — czytywał krajowe gazety, by z dziećmi mówić również o polskich sportowcach czy fabrykach, a nie tylko o sianie pod obrusem i Lwowskich Orłętach?

„Ja nie wrócę po świętach do tej szkoły” — mówi chmurnie po angielsku 14-letni Polak, którego zamożni rodzice umieścili w internacie wśród Fordów i Rockefellerów. — „Oni się chwalą swoimi milionami i fabrykami swoich ojców i podróżami dookoła świata. A ja jestem niczym”.

Nie jesteś niczym! Możesz chwalić się dziesięcioma wiekami historii! A już co do przygód i podróży... Rodzice, „dla dobra dziecka”, nie wspominali mu nigdy o przeszłości, choć dzieje przodków były do pozazdroszczenia, zahaczające o Filomatów z Mickiewiczem, o Raperswil, nie mówiąc o przepisowych powstaniach i Sybirach. Teraz w kącie poszły wszelkie strachy o rozdwojeniu jaźni, a w swą prawowitą dziedzicę wtargnęły fotografie, książki i mapy. Chłopak do szkoły wrócił, nad łóżkiem powiesił orzełka i piękną karabelę, na 3-go maja wygłosił referat, na imieniny zażądał kompletu płyt Chopina, „żeby im dopiero pokazać”.

„Może pamiętasz Barbarę, jeździła na obozy letnie w Anglii. Śliczna wyrosła z niej dziewczyna i chłopaki w Toronto za nią szaleją”. Rzeczywiście jest na co popatrzeć. W koronie wspaniałego warkocza, stoi w szeregu takich jak ona 17-latek. Na drugiej fotografii uśmiecha się z gazety w wywiadzie „Integration no Problem”. Dziennikarz opisuje z werwą, jak ta nowa Kanadyjka z Polski znalazła doskonale rozwiązanie problemu narodowościowego: *dating*. Randki *Canadian-born* z *new Canadians* zniosą wszelkie bariery, cieszy się dziennikarz.

A my? Cieszymy się, czy martwimy, czy w ogóle nie dostrzegamy, czy dostrzegając — jakoś działamy, czy i jakie wypracowaliśmy kryteria polskości i służby Polsce wśród obcych? Czy tej uśmiechniętej, pięknej dziewczynie obrzydzieć polskość, którą „zdradza”, czy też tak ją mieć wychowaną, by za naturalną uważała swą polskość w Kanadzie i szczyciła się nią wobec tubylczego adoratora? A jeśli tak — to jak to osiągnąć?

Cokolwiek się mówi i pisze o „wymarodowieniu” dotyczy zwykle dzieci. Na temat dorastającej młodzieży panuje niepokojąca cisza, w której zginęła nawet taka wspaniałość jak „We-sele” odegrane swego czasu w Londynie przez młody zespół amatorski. Na czterech kontynentach, mądrzejsze od kury jajko wyprzedziło nas i tracimy kontakt. W skomplikowanym, zakłamanym i zapędzonym świecie trudno uchwycić właściwe wątki, a nawet zdać sobie sprawę, że się ich nie chwyta. Jedno jest pewne: młodzieży nie da się złowić na żadne słowa. „Na czym konkretnie polega walka o niepodległość?” — pisze Hania, mocną krechą podkreślając owo „konkretnie”. „To jest pojęcie bardzo górnotłone i zbyt ogólne, trzeba określić bardziej realistycznych. Przecież nie chwycimy za broń i nie rzucimy się na wroga. Więc? Każde inne sformułowanie, bardziej odpowiadające dzisiejszej rzeczywistości, byłoby na miejscu. Bardziej skromne wytyczenie celu, nawet przyziemne, ale żebyśmy wiedzieli czego się trzymać, bez popadania w ideologiczno-patriotyczne frazesy”. I te frazesy znowu podkreślone grubo.

Około 1950 roku zaskoczyła nas ilość emigracyjnych siedmiolatków. Czy teraz znowu nas zaskoczą problemy dorastającej młodzieży?

Po fotografiach, otwieram w moim albumie listy. Komentarze zbędne! Polskie i amerykańskie korzenie tych dorastających już drzewek spletają się nierozzerwalnie.

Emigracyjność dzieci można tylko obserwować. Podlotki w *college*’ach stwierdzają ją same. Ostatnia kartka mego albumu, to dosłowne wyjątki z ich listów:

„Przyjemnie było czytać te konkretne idee i świetne spostrzeżenia o Ameryce, bo naprawdę mam już dosyć tej polskiej monotonnej krytyki tego kraju wydawanej przez ludzi, którzy mało na ogół wiedzą o Ameryce”.

„Tak pięknie przedstawiona była nasza narodowość i poczucie polskości, pomogło mi to w zrozumieniu siebie lepiej w tym podwójnym świecie. A szczególnie dodało mi otuchy do prowadzenia życia w dwóch odrębnych kulturalnych światach”.

„Dobrze jest wiedzieć o Polakach wybijających się w kulturalnym życiu Ameryki”.

„Czy jest jakieś pismo, które zawiera wiele wiadomości o Polsce? Moi rodzice prenumerują kilka pism tutejszych, ale tam jest bardzo mało wiadomości, a chciałabym wiedzieć jak się rozbudowują miasta, jaki jest przemysł, coś o sztuce w Polsce”.

„List do Amerykanek wzruszył mnie do łez. Znalazłem odpowiedź na wiele pytań, których nie mogłam sobie sama wytłumaczyć, jak można zachować nie powierzchowną tylko polskość w tym kraju”.

„Z niepokojem miarkuję, że coraz trudniej mi skupić myśli i pisać po polsku tu na uniwersytecie. Wyrwam się na samotne spacerki, żeby *to hear myself think* (4). Przesyłki są dla mnie jak manna na pustyni — polskie, świeże i ciekawe. W artykule Zofii Kossak w „Wiadomościach” o „Tworzywiew” Wańkowicza uderzyło mnie, że my Polacy za wiele wagi przykuwamy do ziemi *per se*, a za mało myślimy co ona powinna symbolizować. Bardzo ładnie jest nosić na sercu woreczek polskiej ziemi, ale przecież sama ziemia składa się z tych samych pierwiastków chemicznych czy tu czy tam. Prawdziwym przywiązaniem do tej ziemi powinna być miłość dla narodu i kultury, z którymi jest złączona”.

„Temat kultury, polskości, wynaradawiania się jest bardzo trudny do rozstrząsania. Wszystko jedno czy człowiek bogaci duszę na obcej kulturze czy na własnej. Poznawanie cudzej kultury nie może przecież być powodem wynaradowienia się. Polskość to coś bliskiego i drogiego. Im więcej ze siebie damy, wszystko jedno komu i w jakiej dziedzinie, tym lepszymi osobami i Polakami jesteśmy...”

„San Francisco to moja słaba strona. Jest to śliczne miasto posiadające wiele charakteru, w przeciwieństwie do większości amerykańskich miast, i milej, trochę awanturniczkiej atmosfery. Jest to naprawdę „miasto” w europejskim pojęciu, a nie wieś, jak dajmy na to Los Angeles. Dla kulturalnego człowieka to raj, jest opera, teatr, muzea, zabytki (jak na Amerykę, oczywiście, ale śliczne hiszpańskie kościoły itd.). Jest mnóstwo szkół wyższych, śliczne parki, cudowne widoki na zatokę i ocean, przepiękna okolica. Polonii jest około 3.000 w Bay Area, i naprawdę, że jest to towarzystwo osób inteligentnych i kulturalnych. Są polskie audycje z San José, polskie msze raz na miesiąc, zebrań, zabawy, organizacje. No, ale dość, bo ja o San Francisco mogę mówić godzinami!”

„Marysia to zuch dziewczyna. Doskonale mówi po polsku, z zapalem uczy się historii i literatury. Rodzicom dobrze się

(4) Słyszeć własne myśli.

powodzi, przyjmują obywatelstwo kanadyjskie i zamierzają tu zostać. Marysia chce być nauczycielką i wrócić do Polski. W pełni zdaje sobie sprawę, że będzie znacznie mniej zarabiać, że tam cięższe życie i w ogóle że Kanada to nie Polska, ale jak dotąd trwa przy swoim. Paru mych znajomych AKowców myśli tak samo...

„W związku z młodzieżą na emigracji uważam, że za mały jest nacisk na książki polskie. Opuściłam Polskę mając lat osiem i życie moje było tak przez los złożone, że z dala od środowisk polskich. To że jeszcze jako tako czytam, piszę i mówię i myślę po polsku zawdzięczam rodzicom i książkom. Polska dawno by mi się stała nierealna gdyby nie to, że czytając książkę muszę się wstawić na miejsce jej postaci i przeżywać to co one przeżywają. Wtedy widzę realność i wartość polskiego kraju i polskiej kultury. Mówi mi o tym Skrzetuski, Rocho, Jankiel, mówią Rosomak, Żuraw i Pantera, wołają Borowicz, Zygier, Radek. Żadna książka nie była dla mnie tak cudowna jak „Syzyfowe Prace”. Dzisiejsza młodzież na emigracji ma dużo lepszą pracę niż tamci mieli — nie musi się ukrywać ze swą kulturą, najwyżej zwalczać nieprzychylnie opinie. Gdyby można było w dzieciach na emigracji wzbudzić miłość do książek, problem wynarodowienia się znacznie by zmalał. Taki nieskładny mój list, ale spieszę się bo fizyka czeka...”

„Tu w Ameryce można dużo zmienić i wprowadzić nowego, ale wymaga to cierpliwości i dostosowania odpowiednich metod do danego środowiska, a więc trzeba je najpierw poznać i zrozumieć”.



Zamykam album. Chyba jeszcze nie za późno aby poznać i zrozumieć emigracyjność młodego pokolenia? Jak mu pomóc w znalezieniu właściwego miejsca w polsko-amerykańskim świecie? Nie wystarczy dowiedzieć się o samotnej duszy gdzieś w Oregon, która tęsknotę do Polski i Europy przelewa na San Francisco, ani o rodzicach, którzy posyłają na pod-chicagowski obóz letni dziecko, nie umiejące nawet Ojcie Nasz po polsku, licząc, że w dwa tygodnie cudownie odrobi się 50-tygodniowe zaniedbanie domu i bilans roczny będzie wyrównany. Nie wystarczy znajomość indywidualnych faktów. Potrzebna jest masowa akcja.

Indoktrynacja komunistyczna 600 milionów Chińczyków odbywa się w pierwszym rzędzie w kilku osobowych grupkach dyskusyjnych. Oszczędność wody i opału w wojennej Anglii osiągało się apelami o napełnianie tylko 4 cali wody do wanny. Jeśli są rezultaty indywidualnego chińskiego kucia doktryny, czy indywidualnego angielskiego oszczędzania wody, to dlatego, że: wszyscy o tym wiedzą i wszyscy to robią.

Emigracja mało robi dla młodego pokolenia i nawet mało

wie o nim. Piękne osiągnięcia szkółek czy organizacji dotyczą nikłego procentu dzieci i są zasługą nielicznych jednostek.

Na pewno przydałaby się centralna Komisja, która przeparuje i opracuje wytyczne do programu, w myśl wskazań psychologii i pedagogiki i socjologii, przy pełnym uwzględnieniu postawy niepodległościowej i w oparciu o ideologię antymarksistowską. Na pewno przyda się więcej i atrakcyjnych książek, piśmiennictwa, płyt gramofonowych, audycji radiowych, i to zarówno po polsku, jak i o polskiej treści po angielsku. (Bo czyż dzieci nie mówiące po polsku mielibyśmy z góry całkowicie odpisać na straty?).

Potrzeba, oczywiście, gęściejszej sieci szkółek i przedszkoli, więcej i dłuższych obozów letnich. Ale to są wszystkie sprawy nie łatwe i przewlekłe na które szary człowiek w codziennym zagonionym życiu nie potrafi na ogół wpłynąć, a uciekający nieubłagane czas przynagla do szybkich rozwiązań. Po drugie olbrzymi rozrzut na tysiącach mil zmusza nas do szukania polskości w bliskim promieniu, do sprowadzania jej do domu. Można to zrobić, jeśli frontem do młodego pokolenia staną nie tylko rodzice, lecz wszyscy w ogóle dorośli, którzy uważają się za Polaków. Trzeba bowiem zająć się każdą trójką czy czwórką dzieci oddzielnie, od lat pięciu do dojrzałości i umożliwić im spotkania co tydzień przez cały rok. Tyle jest samochodów, tyle się jeździ, czy zmontowanie takiej grupki jest ponad siły? Po prostu wróćmy do normalnego przed epoką telewizyjną, a dziś zatraconego pojęcia wieczoru czy niedzielnego popołudnia, wróćmy do atmosfery własnego dzieciństwa. Niech dzieci z mamą, wujkiem, albo „naszym lokatorem”, nie tylko malują pisanki i kleją zabawki na choinkę, ale również majstrują samoloty, podróżują na księżyc, dyskutują o strojach, o sportach, o polityce; może pojadą razem na plażę, do muzeum, do ogrodu zoologicznego.

Taką indywidualną akcję trzeba by przeprowadzić na masową skalę. Tylko wtedy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie „dla sprawy”. Pojedyncze wysiłki, zawsze niezmiernie cenne dla Wandy czy Krzysia, na całość zagadnienia nie wpłyną. A nam przecież chodzi o to, by wzrastało pokolenie świadome swej polskości i ugruntowane w realnym życiu.

Masową skalę można uzyskać tylko przy współpracy wszystkich. To przedstawienie mentalności jest najtrudniejsze. „Nie mam dzieci i nie zamierzam bawić się w berka” nie zamyka dyskusji. Oprócz tych, którzy zorganizują dla młodszych zabawę, a dla starszych — dyskusję lub koncert z płyt, potrzebni są znacznie liczniejsi, którzy pomogą pośrednio. Jeśli w wyborach na Miss Polonia londyński Dziennik potrafi zmobilizować 36 tysięcy głosów rodaków, którzy przewyciężą paraliżujący od dawna emigrację piórowstręt i pocztowstręt, wytną kupon, zaadresują kopertę, to może by znalazło się chociaż 36 — nie tysięcy ale po prostu trzy tuziny — osób w każdym mieście, które by młodym poświęciły jedną godzinę, parę telefonów, podwiezie-

nie autem, napisanie listu o książkę czy pismo? Potrzebni są wszyscy. Bardzo dużo szoferów i sekretarzy. Babcia, która z wnuczkami i ich koleżankami będzie piec mazurki i opowiadaniem podróżować w przeszłość. Wujek-inżynier, który wysili się na polskie słownictwo elektronowo-rakietowe i posybyje z siostrzeńcami w przyszłość. Bezdietne małżeństwo posiadające dom z ogrodem. Właściciel patefonu i płyt, który w swym pokoju pozwoli dzieciom tańczyć, albo słuchać Chopina. Sprawa interesuje starych którzy już dzieci odchowali; młodych, którzy je chowają; kawalerów borykających się w poszukiwaniu jakiejś konkretnej roboty; miłośników natury, sportowców, których wszelkie zebrania od dawna nie obchodzą, ale którzy chętnie swe rozrywki dopasują czasem do dzieci. Wszyscy znajdą w tym młodym zagadnieniu kopalnię różnych możliwości, mogą mieć ręce pełne roboty, a głowę — kto takowej lubi używać — zaprzątniętą drobnymi projektami i wielkimi koncepcjami.

Oprócz praktycznego zajęcia się każdym dzieckiem, by dać mu poczucie środowiska, trzeba również przedyskutować gruntownie całą koncepcję emigracyjności, czyli Polaka w obcym kraju. To nie jest temat tylko dla fachowych biuletynów pedagogicznych, ani dla lokalnych pisemeczek, które nie są w stanie mu podolać. Musi znaleźć się w „Kulturze” czy „Wiadomościach”, mających szanse dotarcia do polskiej inteligencji na całym świecie. Biadamy, że dzieci inteligentnie wynaradawiają się najszybciej. Ale chyba nikt mimo to nie postawi tezy, że byłoby najlepiej dla sprawy polskiej, by emigracja nie miała ani jednego inteligenta? Niechże inteligencja i jej pisma szukają młodym właściwego miejsca w świecie i w życiu. Sęk w tym, że wyrobił się w nas refleks warunkowy, jak tym śliniącym się na dźwięk dzwonka psom Pawłowa. Termin „emigracyjne dzieci”, w połączeniu z terminem „prasa” nieodwołalnie zlewa się w naszej wyobraźni w fotografię miłych buź w krakowskich strojach, na tle orla i Matki Boskiej Częstochowskiej, z podpisem, że z okazji ... dzieci w ... (identycznie, Szwecja czy Nowa Zelandia) przywitały, zadeklamowały, zatańczyły. Bardzo to pięknie — ale znacznie za mało. Patriotyzm oparty wyłącznie na uczuciu też jest chwalebny — ale też nie każdemu wystarczy. Czy nie jest jednak niekonsekwencją odrzucić zagadnienie dlatego tylko, że nieskończenie przerasta wszelkie krakowiackie i obchody? Rewelacją patriotyczną mogą być książki Simone Weil, „Theology and Sanity” F. Sheed’a, „Seeds of Contemplation” Mertona, wszystko co pomaga znaleźć swoje miejsce w świecie. Filozofia patriotyzmu, narodowości, jest chyba esencją emigracyjności. Kto i gdzie pisze o tym na użytek Polaków zagranicą w roku 1957? Biblioteki socjologiczne pełne są dzieł na temat narodowości i asymilacji. W odniesieniu do Polonii Amerykańskiej napisano niejedno. Ale obecna emigracja polska ma specyficzną genę, cechy i zadania. Istniejące opracowania nie wyczerpują zagadnienia, które domaga się uzupełnień i nowych aktualnych oświeśleń.

Rodzice, którzy szczerze wahają się co dla dziecka najlepsze, niech znajdują, jeśli nie gotowe odpowiedzi na palące pytania, to materiał do przemyślenia i wyciągnięcia własnych wniosków. Czy wychowywać to znaczy kształtować pełnego człowieka? Na czym polega pełnia człowieczeństwa i bogactwo życia? Jak szukać swego miejsca we wszechświecie, swojej roli w życiu, gdy skomplikowała to wszystko geografia? O co się zaczepiać? Religia, kultura, język, tradycja? Dlaczego dziecku w Ameryce potrzebna polskość? Czy tylko w ten sposób uzyska szanse pełniejszego, najbogatszego człowieczeństwa? Czy dwujęzyczność jest wskazana? (To nie nowego! grecki w Rzymie, łacina a potem francuski w „dobrych domach” polskich). Czy wskazywanie pozytywnych i pięknych stron Ameryki nie odciągnie jeszcze bardziej od polskości? Tematów dla socjologów, psychologów, polityków, historyków, jest setka!

Gdybyśmy tak naprawdę rzucili się wszyscy na roczny *research* z tej dziedziny, na 1958 można by mieć materiałów, a pomysłów, a metod, a przykładów, od Londynu po Buenos Aires, Chicago, Toronto, Melbourne. Trzeba by ogłosić nie tylko generalne prawo, ale zachętę do przedruku (przyzwolicie, z podaniem źródła). Niech się redaktorzy nie kłopotzą ani o to, że autorowi zapłacili a inne pismo też skorzysta (zresztą autorom na ogół i tak się nie płaci), ani o to, że czytelnik już to zna z gazety X, więc po co drukować w piśmie Y. Procent osób czytających wiele pism i gazet jest znikomy, a jeśli tych luminarzy zatakuje się dziesięć razy, to tym lepiej. Czy na sprawę emigracyjności nie znajdzie się miejsce w emigracyjnej prasie rozpałającej przeszłość, analizującej teraźniejszość? Cóż znaczy wczoraj i dziś wobec możliwości, jakie niesie jutro?

Ogarnął nas marazm i apatia. Na zebrania organizacji przychodzi ledwo połowa członków. Nie sposób znaleźć kandydatów do zarządu. Kto to jest Emigracja? Z jakiej ulepiona gliny? Z tej samej, co niedawni bohaterowie koncentraków, łagrów, Podziemia i Monte Cassino. Czynniki niewymierny a decydujący, zwany nieraz klimatem psychicznym, sprawia, że dla tej samej sprawy łatwiej było wtedy narazić życie i stracić mienie, niż dziś narazić dywan na zaśmieszenie, albo stracić ulubiony program telewizyjny, by cudze dziecko podwieźć swym samochodem na polskie popołudnie sąsiedzkie, czy paru chłopakom objaśnić po polsku silnik spalinowy. Jesteśmy zmęczeni, prędzej na odczepnego damy dolara niż godzinę czasu, którego cena i wartość osiągnęła nienotowaną dotąd wysokość. Dajcie mi święty spokój!

Ale trudno o spokój od siebie samych i od własnych dzieci. Intensywna kampania jest potrzebna, by dotrzeć do każdego zakątka, obudzić wszystkich śpiących, tłumaczyć im co to jest emigracyjność i przekonać, że nie można od życia uciec, lecz trzeba je rozwiązywać w swym własnym, najbliższym kółku. Prózne nadzieje, że najlepsi nawet społecznicy sprostają zadaniom, albo, że „jak dorośnie niech sobie wybiera narodowość

i religię". Skarbiec kultury polskiej jest pełen — ale trzeba umieć z niego czerpać, a dzieciom dać do niego klucz. Ziemia amerykańska jest żyzna — ale trzeba umieć wybierać jej wartości, by hodować szlachetne, wystawowe okazy, a nie bylejakie wybujałe chwasty.

Dnie i lata mijają szybciej niż krystalizują się nasze myśli i plany. Panna, urodzona już na emigracji, właśnie wychodzi za mąż. Czas więc nastawić się na drugie emigracyjne pokolenie. Czy ta młodziutka matka będzie mu śpiewała „kotki dwa”, czy już się te kotki zmarnowały?

Bez względu na to jak potoczą się wypadki światowe, jaki będzie los Gomułki i odwilży, czy najbliższą przyszłość w Kraju widzimy w barwach czarnych czy różowych — wiadomo, że jeszcze nie koniec naszego pobytu zagranicą, i że spory procent emigracji w ogóle nie wróci do Polski. A więc problem nie straci na aktualności.

Mamy do wyboru albo płytkość i pustkę, której nic nie zapełni, albo świadome przyjęcie obowiązków wynikających z emigracyjności, od której jak od koloru swych oczu, nikt się wymigać nie odczepić nie zdoła. Trzeba jej stawić czoło. Własnemu wykorzenieniu i bezradnemu tonięciu dzieci w obcości, trzeba przeciwstawić świadome ukorzenienie młodych i w tysiącleciu polskości i w miejscowej glebie. Tego domaga się nasze wczoraj — dla jutra.

Norwid napisał, że terazniejszość jest tylko „ruchomym połączeniem przeszłości i przyszłości na niewstrzymanych falach czasu”.

Ewa GIERATOWA

PREUVES

revue mensuelle

publie, sous la direction de F. Bondy
dans son numéro d'AVRIL

Un choix de textes d'écrivains polonais :
récits, articles et poèmes

Les souvenirs de Margaret Buber Neumann sur Dimitrov;
La réforme des institutions, par Robert LECOURT; Il y a
trop de métiers inutiles, par François FONTAINE; Les surprises
du dégel, par Boris SOUVARINE.

Et : Roger Caillois, Thierry Maulnier, Claude Mauriac
Pierre Courthion, Léo Valiani, Georges Pillement, etc.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière - Paris (8°)

Le n° de 112 pages illustrées : 200 frs - C.C.P. : 178-00 Paris

Kraj

Kluby Młodej Inteligencji w Polsce

Najstarszym Klubem Młodej Inteligencji „jest stołeczne „Krzywe Koło”, którego sława w kraju dotarła również zagranicę. Jak mówią wtajemniczeni, pomysł założenia klubu narodził się na początku 1955 roku przy czarnej kawie i rozmowie na tematy kulturalne w jednym z mieszkań na Krzywym Kole, niedaleko Rynku Starego Miasta. Z uzyskaniem siedziby w staromiejskim Domu Kultury, uprzednio kwaterze dzielnicowych chuliganów, inicjatywa towarzyska przekształciła się w klub społeczno-polityczny organizujący na wpół prywatne, na wpół otwarte dyskusje. Tam wykuwały się sady opinii publicznej o „Poe-macie dla Dorosłych” i „Obrońce Grenady”, rozpoczynał się obrachunek z przeszłością i stalinowskim socjalizmem, odradzało się upodobanie i umiejętność swobodnej i racjonalnej dyskusji. Wieści o sprawach dyskutowanych w „Krzywym Kole” rozcho-dziły się szeroko, a szerzej jeszcze docierały artykuły publiko-wane w tygodnikach literackich i społeczno-politycznych, którym debaty w klubie często dawały początek. Szerzył się bakcyl wiary w skuteczność zbiorowego oddziaływania na rzeczywistość poza ramami partyjnych i państwowych instytucji. „Krzywe Koło” nabrało rozgłosu jakobińskiego klubu, propagowało „nowinki”, nie tylko we własnym zamkniętym gronie, lecz również wynosiło je na zewnątrz — na miasto i do fabryk. Kto nie dostrze-ga powiązań między dyskusjami w kołach intelektualnych a nara-stającą falą rewolucyjną w ośrodkach robotniczych — związki między Żeraniem a młodymi intelektualistami w stolicy były szczególnie bliskie i zażyłe — ten nie wiele rozumie z dyna-miki procesów, jakie doprowadziły do „października” i po- październikowych przemian.

Kluby Młodej Inteligencji pokrywają dzisiaj gęstą siatką cały obszar kraju. Podobnie jak w wypadku innych inicjatyw, ojcem pierwszych klubów prowincjonalnych była grupa „Po Prostu”. Redaktorzy „Po Prostu” pisali, jeździli, przekonywali,

podtrzymywali na duchu i prowadzili walkę z prowincjonalnymi partyjnymi kacykami. Nie jeden z tych kacyków mówił głośno i stanowczo: „Dopóki ja tu będę, ja się na to nie zgodzę” i działał stosownie do zapowiedzi. Organizatorzy mieli przeciw sobie prócz przedstawicieli władzy zniechęcenie, marazm, obojętność i sfilistrzenie miejscowych inteligentkich notabli. Wbrew tym oporom, bez urzędowych samochodów, lokali, etatów z budżetu państwowego, wszystkich parafernali „organizacji masowych”, liczba Klubów Młodej Inteligencji, jak twierdzi „Tygodnik Demokratyczny”, przekracza ponoć obecnie liczbę 250. W Warszawie powstał Krajowy Ośrodek Współpracy Klubów Inteligencji i z inicjatywy tego Ośrodka odbyło się w stolicy w połowie ubiegłego roku ogólnopolskie spotkanie przedstawicieli klubów pod figowym protektorem Frontu Narodowego. Ośrodek wydaje biuletyn „Nowy Nurt”, którego zadaniem jest wymiana informacji i myśli między klubami. Każdy z nich bowiem jest samorządnym i niezależnym zespołem. Kluby łączy wspólnota celów, a nie więź organizacyjna. W grudniu ubiegłego roku powołano do życia Krajowe Zrzeszenie Klubów Inteligencji, które ma reprezentować Kluby wobec władz i instytucji.

II

Kluby Młodej Inteligencji zasługują z wielu względów na uwagę. W okresie gdy trwało nadal rozbięcie i zatimizowanie społeczeństwa dokonane i utrzymywane przez rządy stalinowskie, Kluby Młodej Inteligencji były pierwszymi organizacjami opartymi na zasadzie dobrowolności, powołanymi do życia oddolnie, spontanicznie i z indywidualnej inicjatywy. Na to, co nazywamy społeczeństwem, składa się niewidzialna siatka więzi grupowych — grup lokalnych, obyczajowych, religijnych, zawodowych, społecznych politycznych, kulturalnych. Różnorodność powiązań grupowych łączących członków społeczeństwa stanowi o jego zwartości i sile, dobrowolny udział w działalności grupowej jest podstawą świadomości obywatelskiej, poczucia odpowiedzialności i uczestnictwa w sprawach społecznych i publicznych. Ustanowienie totalnej władzy nad społeczeństwem zależy od dwóch rzeczy: uchwycenia instytucjonalnych ośrodków władzy oraz zniszczenia wszelkich więzi grupowych, zatimizowania społeczeństwa i osamotnienia jednostki. Dopóki bowiem istnieje grupowa organizacja społeczna, totalna władza nad społeczeństwem jest ograniczona i wymyka się z rąk dyktatora. Gdy organizacja społeczna jest rozbita i jednostka jest zdana na własne siły, powstają warunki poddania jej totalnej kontroli poprzez odgórnie kierowane „organizacje masowe”. Pisali o tym uczenie Franz Neumann, Hannah Arendt i Barrington Moore, lecz nie trzeba znać ich dzieł, by zyskać wgląd w technikę społecznej inżynierii autokratów. Odwrót od totalizmu w Polsce przejawia się, między innymi, w regeneracji „żywej tkanki społecznej”,

odrądzaniu się naturalnych powiązań grupowych i społecznej organizacji. Kluby Młodej Inteligencji były jednym z pierwszych widomych znaków tych regeneracyjnych procesów.

Kluby Młodej Inteligencji są również zmiennym zjawiskiem, gdy rozpatrujemy je z punktu widzenia zmian i różnicowania się struktury społecznej kraju. Na te tematy pisze się w Polsce nie wiele, co jest jednym z najszkodliwszych następstw likwidacji socjologii oraz banicji badań i myślenia socjologicznego w ubiegłym okresie.

Masowe przechodzenie od pracy na roli do pracy poza rolnictwem, powstawanie skupisk miejskich, liczbowy wzrost klasy robotniczej, narastanie nowej postawy do życia, wartości indywidualnych i zbiorowych, wyciskających piętno na życiu społeczeństwa, stanowi zespół najdonioślejszych przemian towarzyszących procesom industrializacji. Na nich zazwyczaj skupia się uwaga socjologa, historyka i polityka. Chociaż problemy łączące się z migracją ludności, zmianą środowiska, zawodu i sposobu życia, przerastają swym znaczeniem wszystkie inne zjawiska zachodzące w uprzemysławiającym się kraju, nie są to jedyne procesy i zagadnienia godne bacznej uwagi.

Procesom industrializacji towarzyszy bowiem również kształtowanie się warstw i klas społecznych, uprzednio nie istniejących lub istniejących tylko w stanie załączkowym. Do nich należą w pierwszym rzędzie „nowe klasy średnie”, określane w Polsce najczęściej nazwą pracowników umysłowych, bez kwalifikacji i z kwalifikacjami, obdarzonych sprawnością umysłową w różnych dziedzinach i o różnorodnym stopniu specjalizacji. „Nowe klasy średnie” mają w tak zwanych państwach kapitalistycznych i tak zwanych państwach socjalistycznych tę samą społeczną genezę, lecz formując się pod działaniem sił odmiennych spełniają również odmienne funkcje społeczne.

W tak zwanych państwach socjalistycznych „stare klasy średnie” prawie całkowicie zniknęły tracąc materialne podstawy swej egzystencji, a „nowe klasy średnie” występują pod odmienną nazwą. W Rosji Sowieckiej określa się je mianem „inteligencji pracującej”. Historia narastania inteligencji pracującej w Rosji, pełna fascynujących wydarzeń, warta jest napisania. Stalin odrzucił poprawki do konstytucji, które proponowały określenie Związku Radzieckiego jako „państwa chłopów, robotników i inteligencji pracującej” na tej zasadzie, iż inteligencja pracująca nie stanowi, jak chłop i robotnicy, odrębnej klasy. Lecz w praktyce jej istnienie jako warstwy pośredniej, stykającej się w jej wyższych eszelonach z klasą panującą, burżuazyjną elitą, arystokracją partyjno-administracyjną, jest faktem, z którym każdy się liczy i stanowiącym jedno z najdonioślejszych zjawisk w nowej strukturze klasowej państwa sowieckiego. O wadze społecznej tej klasy świadczy chociażby ta okoliczność, iż w dwadzieścia lat po Rewolucji Październikowej inteligencja pracująca wraz z rodzinami stanowiła, jak oceniano, 14 procent ogółu ludności Rosji.

Termin „inteligencja pracująca” jest w powszechnym użyciu we wszystkich tak zwanych państwach socjalistycznych. W jej ramach można wyróżnić z grubsza cztery wielkie grupy — aparat biurokratyczny, to znaczy pracowników administracji państwowej i gospodarczej, aparat partyjny, inteligencję techniczną i tak zwaną inteligencję twórczą (w Polsce przez „inteligencję twórczą” rozumie się „pracowników nauki, oświaty, literatury i sztuki”). Ta kolejność odzwierciadla w Polsce malejący stan liczbowy poszczególnych grup inteligencji pracującej.

Termin „pracownicy umysłowi” bardziej odpowiada składowi tej licznej i różnorodnej warstwy aniżeli termin „inteligencja pracująca”. Nie ma ona bowiem wiele wspólnego z inteligencją w obiegowym lub jakimkolwiek innym znaczeniu tego słowa. O przynależności do inteligencji pracującej nie decydują bowiem ani szczególnie umiejętności, ani kwalifikacje umysłowe. W wypadku pierwszej i drugiej grupy, czasem jednak również w wypadku dwóch pozostałych, decydowały kryteria polityczne i ideologiczne. Pisał o tym ostatnio dowcipnie i wnikliwie prof. Chałasiński w „Przeglądzie Kulturalnym” (5/57). Szczególnie rażących przykładów dostarcza pod tym względem grupa administracji gospodarczej składająca się w olbrzymiej większości z osób posiadających wykształcenie na stopniu szkoły powszechnej. Zjawiska inflacji kwalifikacji i umiejętności wystąpiły w obrębie inteligencji technicznej w związku z „umasowieniem organizacji technicznych”. Kryteria doboru zostały obniżone poniżej dopuszczalnych granic bodaj nawet w Z.L.P., a także w innych grupach twórczych, na przykład pracowników nauki. Inflacja kryteriów doboru była w rzeczywistości zjawiskiem „deklasacji”.

Te wszystkie okoliczności nie były pozbawione znaczenia w akcji tworzenia Klubów Młodej Inteligencji. Stały one bowiem wobec oporów ze strony osób, które formalnie rzecz biorąc należały do ich potencjalnych członków, faktycznie natomiast należały do innych warstw społecznych, konstytucjonalnie i umysłowo wrogo nastawionych do inteligencji. W wyniku tych oporów nastąpił proces rozbicia „inteligencji pracującej” na jej zasadnicze składniki oraz wyodrębnianie się inteligencji przez sformułowanie kryterium doboru członków Klubów Młodej Inteligencji oraz wyznaczenie pola ich właściwej działalności.

III

Na największe opory natrafiły Koła Młodej Inteligencji ze strony sekretarzy partyjnych, przewodniczących i kierowników wydziałów Rad Narodowych, a opór był tym gwałtowniejszy, im szczebel organizacji partyjnej i państwowej był niższy. Ci dostojnicy nie życzyli sobie, by na ich terenie istniały „kawiarnie”, kabarety artystyczne lub kluby inteligencji, gdyż to było nieprawomyślne i pachniało burżuazyjną ekskluzywnością. Nie ma sensu dyskutować, bo o czym, cóż z tego będzie, cóż z tego

wyniknąć może. Co innego, gdyby chodziło o pracę w spółdzielni produkcyjnej lub w zakładzie przemysłowym. Wystawy obrazów są rzeczą droższą, gdyż pokazuje się akty kobiece. Dziennikarze są podejrzani, gdyż piszą i noszą wąskie spodnie, a plastycy z powodu niemoralnego życia i zbyt długich włosów. Koncerty zajmują sale, które lepiej spełniają swe zadanie, gdy służą na zabawy i zaprawy bokserskie. „Inteligencja pracująca” z aparatu partyjnego i państwowego dawała znak życia o sobie obnosząc drobnomieszczańską miernotę aspiracji i antyinteligentkie uprzedzenia, opatrzone autorytetem władzy nie tolerującej dla dobra „socjalizmu” inicjatyw przekraczających ich własne upodobania i kręgi myślowe.

Koła Młodej Inteligencji natrafiły na przeszkody również w kręgach inteligencji zawodowej — lekarzy, inżynierów, adwokatów — skupiających się wokół swych zajęć i zawodowych zainteresowań. Wyrastały na tym tle antagonizmy, o które rozbijały się próby solidarnej akcji miejscowej inteligencji przeciw oporom władz i arbitrom smaku w powiecie.

Inne trudności powstały w łonie samych organizatorów. Nie chcieli więc oni rozplątać się w masie urzędniczej, twierdząc, nie bez słuszności, iż istnieje jakaś linia graniczna i różne grupy w łonie warstwy pracowników umysłowych. Była to jednocześnie obrona przed zalewem drobnomieszczańskiego sposobu myślenia i upodobań, którym Kluby Młodej Inteligencji miały wydać walkę, gromadząc, jak mówi młodopolskim stylem, jeden ze statutów „namiętnych bojowników postępu”, uczulonych na „przejawy życia niczym precyzyjny sejsmograf”. Z tej samej przyczyny zarysowały się różnice pokoleniowe, gdyż ze starszymi przedstawicielami inteligencji, ludźmi przekraczającymi czterdzieści lat życia, trudno było znaleźć wspólny język w sprawach „naszej epoki”. Grupa „Po Prostu” podnosi odmiennność pokoleń do rzędu „podstawowych prawidłowości rozwoju społecznego”. Nie na to tutaj miejsce, by oddzielać w tym bojowym okrzyku ziarno prawdy od braku rozeznania w sprawach ludzkiej natury.

Inicjatywa tworzenia Kół Młodej Inteligencji podzielała jak pryzmat, który ze społecznie złożonej grupy pracującej inteligencji wydobył jej części składowe — mieszczańskie, drobnomieszczańskie (partyjne i nie-partyjne połączone silniejszym ponad ideologię klasowym przymierzem) i inteligentkie we właściwym tego słowa znaczeniu. Nie dawno J. Lovell ogłosił w „Życiu Literackim” rozpaczliwy reportaż o „trzeciej sile”, mieszkających małych miast i miasteczek, twierdząc mentalności budzącej dreszcz przerażenia. Wśród rysów tej mentalności znalazła się również karykatura wykształcenia i inteligencji, kompleks wszechwiedzy i nieomyślności, strach przed siłą z nieodłączną wiarą w pięść i przemoc, gdy ma się przewagę po swej stronie. Lovell doszukiwał się chorążych tej mentalności wśród posiadaczy karykatury własności — „ruder i śmietników” — do czego ruina gospodarcza doprowadziła miasteczka i ich obywateli. Gdy-

by sięgnął do dziejów Kół Młodej Inteligencji przekonałby się o tym, iż zwarte szeregi tych chorążych odnalazłby również w różnych grupach „pracującej inteligencji”, nie wyłączając osób stojących na najwyższych szczeblach oficjalnej hierarchii. Tak na przykład grupa natolińska jest nosicielem klasycznego drobnomieszczańskiego ethosu.

IV

Prowincjonalne Kola Młodej Inteligencji zaczęły powstawać po rzuceniu idei i wskazaniu przykładu w stolicy, lecz inicjatywę dawali na miejscu ludzie dobrej woli działający z własnej inicjatywy. Pomysłów, jakim zadaniom kluby mają służyć, było zapewne tyle ile inicjatyw, lecz z grubsza rzecz biorąc przejawiały się wśród nich trzy zasadnicze tendencje.

Niektóre z klubów szukały celów działania, których urzeczywistnianie nie wymaga istnienia klubu. Miała to być więc praca w miejscowym Domu Kultury, współpraca z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, z miejscową gazetą lub radiowęzłem, lub jak się to zwyczajowo, ogólnikowo, więc i bezsensowo w kraju mówiło, włączenie się do budowy socjalizmu. Takie rzeczy robi się lepiej w pojedynkę, stosownie do chęci, wiedzy i umiejętności, lub w ramach innych do tego powołanych organizacji, natomiast podstawy do trwałego istnienia klubu działalność tego typu nie daje. Kluby, które poszły tą drogą, miały, jak przypuszczać należy, żywot meteorów.

Drugą główną tendencją było dążenie do tworzenia klubów mających ambicje polityczne, klubów jakobińskich w historycznym tego słowa znaczeniu, które w czasie francuskiej rewolucji były jakimś załącznikiem partii politycznych, ośrodkiem działania, a nie wymiany myśli i debaty (kluby jakobińskie w legendzie i rzeczywistości to dwie różne rzeczy, co wykazali historycy — Crane Brinton i J.L. Talmon — sięgając do zachowanych archiwów tych klubów i wykazując, iż pod niejednym względem stworzyły one po zgnieceniu Girondystów pierwowzór partii stalinowskiej z jej techniką myślowego terroru, ekshibicjonistycznej samokrytyki, fantastycznych oskarżeń opłacanych przez ofiary głową). Kluby Młodej Inteligencji o jakobińskich ambicjach powstawały z myślą o tym, by mieć wpływ na to, co dzieje się na terenie miasta, chciały „nieustępliwie postulować”, „zamieszać” tam, gdzie się nic nie działo i brać udział w „naprawie Rzeczypospolitej”. Być może, iż niektórym klubom o takich ambicjach udało się i udaje to przedsięwzięcie, lecz porażki były częstsze niż powodzenia. Partyjni sekretarz i cenzor dysponowali środkami, które skutecznie gasiły zapal i zmuszały do milczenia potencjalnych jakobinów. Kluby Młodej Inteligencji nie są ani najwłaściwszą formą działalności politycznej, ani działalność polityczna nie jest jedyną możliwą i najużyteczniejszą formą aktywności Klubów Młodej Inteligencji.

Trzecia narada przedstawicieli Klubów Inteligencji, która

odbyła się w grudniu ubiegłego roku, miała ujawnić, iż pod tym względem nastąpiły znaczne zmiany wyrównujące różnice między klubami stołecznymi i prowincjonalnymi. „Ruch klubowy wkroczył na tory ofensywnego działania społecznego”, pisało „Życie Warszawy” (7. 12. 1956), „w miastach i w miasteczkach prowincjonalnych stał się on awangardą polskiego pałdziennika. Narada wykazała jedność działania inteligencji z klasą robotniczą w rewolucyjnych przemianach życia prowincji”.

Aby móc działać na zewnątrz, klub musi najpierw istnieć, nabyć żywotności, kolektywnego oblicza i własnej osobowości. Do tego trzeba jednak zbliżenia i zżycia się z sobą, stworzenia więc jakichś form towarzyskiego obcowania, rozmowy, dyskusji i wspólnego mianownika zainteresowania. Stworzenie takiej wspólnej platformy nie jest w Polsce niejednokrotnie rzeczą łatwą. Kluby, które te trudności pokonały i stworzyły fundament własnej żywotności, znalazły się, jak się zdaje, na najwłaściwszej drodze.

Na tej bowiem platformie wyrosły trwałe zespoły uprzednio zagubionych i zgorzkniałych inteligentów w prowincjonalnych ośrodkach, nawiązujących i utrzymujących kontakt ze zjawiskami kulturalnymi i politycznymi w kraju. Na tym tle z kolei dojszć mogło do wspólnej działalności opartej na wspólnocie zainteresowań, innego ważnego fundamentu trwałego istnienia klubu. Do najlepiej prosperujących Klubów Młodej Inteligencji należą bodaj zespoły hołdujące specyficznym zainteresowaniom, a więc grupy literackie, muzyczne, plastyczne, aktorskie, filmowe, naukowe itp.

Niezależnie jakim szczególnym zainteresowaniem kluby hołdują, łączy je wówczas jeden wspólny cel nadrzędny i w obecnej fazie ważniejszy od wszystkich pozostałych. Kluby stają się szkołą myślenia i mówienia publicznie, „mówienia głośno tego, co mówi się szeptem”, uwolnienia się od lęku, który zakorzenił się w przeszłości z przyczyn dobrze znanych, a dzisiaj, mimo zmian i zniknięcia dawnych przyczyn strachu, rzuca nadal cień i ogranicza swobodę wypowiedzi. Chodzi jednak o coś więcej niż o przełamanie oporów, chodzi także o edukację w umiejętności dyskusji, z którą nikt prawie się nie rodzi i którą nabywa się tylko przez długie umysłowe ćwiczenia. Ze wszystkich znanych mi głosów na zjeździe Klubów Młodej Inteligencji najżywiej utkwiło mi w pamięci przemówienie przedstawiciela jednego z klubów stołecznych. Mówił on o tym, iż w latach ubiegłych wydawano dyplomy wyższego wykształcenia, lecz nie zaopatrywano ani w dostateczny zasób wiedzy, ani w sprawność myślenia. W usunięciu tych zaniedbań, w uwolnieniu się od kompleksu lęku przed szczerością i lęku przed prawdą widział on najistotniejsze zadanie klubów, „klubów w których możemy, początkowo ostrożnie, mówić o tym, o czym myślimy... prostawć plecy mimo wychowania niewolniczego. W tym tkwi zasadniczy sens klubów — wypowiadanie myśli”. Jeżeli nie mylił się Sokrates zalecając dyskusję jako drogę nabywania wiedzy i spraw-

ności myślenia, cytowana wypowiedź przedstawiciela stołecznego klubu dotyka najtrafniej istotnej funkcji Klubów Młodej Inteligencji.

Ma ona jeszcze tę dodatkową wartość, iż podnosząc sprawność myślenia do rzędu cechy odróżniającej inteligencję od innych grup społecznych pozwala odrzucić zwodnicze czysto formalne kryterium mierzenia przynależności do inteligencji dyplomem wyższego wykształcenia. Chroni to także kluby od ewentualnego niebezpieczeństwa uduszenia się we własnym dyplomowym sosie. Wyższe wykształcenie jest najlepszą okazją nabycia sprawności myślenia, lecz nie wszyscy tę okazję wykorzystują, a wysoką sprawność nabywają nieraz ludzie których los trzymał z dala od wyższych uczelni (1). Ta ostatnia okoliczność nie powinna, a jak się zdaje także nie jest przeszkodą w przynależności do klubu. Statut „Krzywego Koła” wymaga od kandydata na członka tylko kwalifikacji odpowiadających metodom pracy klubu. Stawianie tego wymagania jest warunkiem sprawnego działania, a nie znakiem ekskluzywności, arogancji, i elitaryzmu. Umiejętność myślenia, dobra myślowa robota, jest wartością społeczną, której nigdy w żadnym społeczeństwie nie jest za dużo. Jej kultywowanie jest zarówno rzeczą przyjemną, jak i chwalebna, przynoszącą pożytek jednostce i zbiorowości. W Polsce moźni tego świata w mieście i w powiecie myśleli o tym kiedyś inaczej. Wiele od tego czasu zmieniło się, lecz nie wiem, czy zmieniło się pod tym względem. Ruch Klubów Inteligencji jednak nie zamarł, lecz rozszerzył się w okresie, jaki upłynął od spotkania ich przedstawicieli w Warszawie w czerwcu 1956 roku. Jest to dobrym znakiem i wszystkim, którzy się do tego przyczynili należy złożyć gratulacje i życzenia dalszego powodzenia w pracy.

Ostatnio prasa krajowa wielokrotnie podawała, iż Kluby Młodej Inteligencji przystąpiły do organizowania uniwersytetów robotniczych. Ma to podobno miejsce zarówno w stolicy, jak i na prowincji. Niestety nie dysponuję materiałami, które pozwoliłyby ocenić rozmiary i powodzenie tej inicjatywy. Wszystko zależy będzie od wykonania, a wykonanie od siły i wartości organizacyjnej klubów. Podjęcie tej inicjatywy jest świadectwem, iż ruch młodej inteligencji krystalizuje formy swej działalności i skierowuje je na tory realnej i długofalowej pracy społecznej, jakiej może się podjąć z pożytkiem i powodzeniem.

Zbigniew JORDAN

(1) Jakie nieoczekiwane konsekwencje mieć może ograniczenie się do kryteriów formalnych świadczą umiejętności myślenia i wiedza kandydatów na dyplomowanych inteligentów. Wśród diamentów mądrości, jakie produkują każdego roku, dwie ostatnio podane przez „Myśl Filozoficzną” zyskają sławę Kohinorów. „Dzięki nauce marksistowskiej małpa zeszła z drzewa i stała się człowiekiem”, stwierdzał jeden z kandydatów, a drugi obwieszczał, iż „obecnie nauka posługuje się do przodu to też świat zwierzęcy ulega ciągłym zmianom”.

Najnowsza historia Polski

O rehabilitację Leona Kozłowskiego

Tragiczne fatum zaciążyło nad większością premierów rządów pomajowych. Walery Śławek zginął — na krótko przed wybuchem wojny światowej — śmiercią samobójczą; prof. Kazimierz Bartel został wraz z grupą lwowskich uczonych rozstrzelany przez Niemców; Aleksander Prystor zginął w więzieniu sowieckim, a Leona Kozłowskiego zabiła bomba aliancka w Berlinie i jest on ponadto obarczony infamią, jedyny spośród szefów rządów Piłsudskiego — i co jest zapewne najbardziej zdumiewające — wyroku tego nie ferowały sądy komunistyczne, lecz wojskowy sąd polskich sił zbrojnych. Podczas gdy w Polsce toczą się obecnie rozprawy rehabilitacyjne, dla sprawy prof. Kozłowskiego brak nawet kompetentnego organu. Oczywiście go może jedynie opinia publiczna, do której dotychczas nie apelowano.

Leon Kozłowski, wbrew swojemu własnemu przekonaniu, nie miał żadnych kwalifikacji na męża stanu. Polityka jednak fascynowała go bardziej aniżeli praca naukowa. A wielka szkoda! Był bowiem poważnym badaczem naukowym, którego dorobek pozostanie cennym. Odznaczał się rozległą wiedzą, umiał kierować pracami swoich uczniów, którzy wyrażali się o nim z uznaniem a nawet głębokim podziwem. Dlaczego prehistoryk Kozłowski ciążył ku polityce, ku zagadnieniom bieżącego dnia? Zapewne działały prawa kontrastu, w nie mniejszym jednak stopniu zaważył przypadek. To brat Leona, Tomasz — ziemianin z Kieleckiego, miał obiektywne walory polityka obozu pomajowego. Legionista, związany węzłami przyjaźni z najwybitniejszymi piłsudczykami, dobry mówca, czarujący towarzysz, zgrabny negocjator mógł znaleźć odpowiednie miejsce w życiu politycz-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

nym. Tomasz jednak nie chciał się angażować a młodszy brat Leon palił się do polityki, wkroczył więc do niej po szlakach ubitych przez Tomasza.

Ani tu miejsce ani też czas na ocenę działalności politycznej Leona Kozłowskiego, który był ministrem reform rolnych, wice-ministrem skarbu, a wreszcie premierem. Nie zamierzamy również kreślić pełnej sylwetki tej interesującej, a jeszcze bardziej kontrowersyjnej, postaci ale jedynie rzucić snop światła, który umożliwiłby wyjaśnienie zarzutu zdrady.



Sąd wojenny polskich suwerennych sił zbrojnych w Z.S.S.R. skazał zaocznie na karę śmierci porucznika rezerwy prof. dr. Leona Kozłowskiego za dezercję z szeregów wojskowych. Skąd się wzięła ta sprawa? Leon Kozłowski został aresztowany przez bolszewików we Lwowie a następnie wywieziony do Z.S.S.R. Zwolniony na mocy „amnestii” po układzie Majski-Sikorski z sierpnia 1941 roku, zgłosił się do tworzących się sił zbrojnych. Z różnych relacji wynika, że prof. Kozłowski znajdował się w stanie pełnego wyczerpania fizycznego. Jego uczenica mgr. Irena Siwek-Wróbel mówi, iż był to łachman ludzki, imponujący wewnętrznym ogniem. Profesor wrócił szybko do formy i wraz z tym musiało nieuchronnie nastąpić zderzenie. Doświadczenia z pobytu w więzieniu sowieckim zaważyły na jego rozumowaniu, ocenie sytuacji. Człowiek, który nigdy nie potrafił pannaować nad swym językiem nie mógł się inaczej zachować w Bużulu. Głosił więc, że nonsensem jest dowierzać bolszewikom i że on sam nie zamierza być sojusznikiem Stalina i dlatego postara się przejść linie frontu i powrócić do Polski. Prawił również prof. Kozłowski o możliwościach podjęcia rozmów z Niemcami, nie były to jednak jakieś konkretne projekty, ale raczej typowe dlań przeciwstawianie się powszechnej opinii.

Rotmistrz Jerzy Klimkowski, jeden z byłych adiutantów gen. Wł. Andersa, aresztowany przez polskie władze wojskowe w Palestynie w 1943 roku, ogłosił niedawno w Polsce różne „rewelacje” o generale Andersie oraz 2-gim Korpusie. Nie omieszczał dorzucić grudy błota na pamięć prof. Kozłowskiego. Bredzi na temat rzekomego spisku, w którym Kozłowski miał odegrać czołową rolę. Gen. Anders miał, według tych opowieści, szukać porozumienia z Niemcami i Kozłowski jako jego emisariusz został przerzucony za linię frontu. Opuszczał więc sztab w porozumieniu z gen. Andersem wyposażony w różne pisma, ale wobec tego iż sprawa wydała się, gen. Anders polecił sądowi wojskowemu zaoczne skazanie por. Kozłowskiego za dezercję. Jeśli „rewelacje” Klimkowskiego cokolwiek ujawniają, to chyba to, że istniała jakaś prowokacja NKWD, która nie była mu obca. Nic ponadto, jako że dalszy rozwój wypadków stanowi bardziej wymowne świadectwo aniżeli wysoce spóźnione „tajemnice” Klimkowskiego.

Prof. Kozłowski wyciągnął konsekwencje ze swego — aż nazbyt uzasadnionego — wrogiego nastawienia do Z.S.S.R. i wykorzystał sposobność przejścia na stronę niemiecką.

W sprawie Leona Kozłowskiego pojawiło się kilka relacji.

RELACJA UKRAIŃSKA

W „Almanachu” na rok 1957, wydanym przez tygodnik „Homyn Ukrainy” (Toronto, Ont., Kanada) znajduje się „urywek z pamiętnika ukraińskiego polityka”, ukrywającego się pod inicjałami P. Sz., pt. „Moje spotkanie z płk. Leonem Kozłowskim”. Zawiera on wprawdzie szereg nieścisłości dotyczących osoby Kozłowskiego poczynając od pułkowniowskiego stopnia wojskowego, którego nigdy nie posiadał, niemniej jednak jest bardzo interesujący i dlatego podajemy go z drobnymi opuszczeniami. Autor spotkał się z profesorem Kozłowskim w celi więziennej we Lwowie.

„Zastałem dwunastu więźniów, byli to przede wszystkim Polacy, wszyscy starsi wiekiem, powyżej lat 45. Nie znalazłem wśród nich nikogo i nikt też mnie nie znał. W tej liczbie dwunastu, trzech było cywilami, dziewięciu wojskowymi, w tym dwaj pułkownicy, a mianowicie płk. dr. Sawicki, komendant głównego szpitala wojskowego przy ul. Łyczakowskiej oraz drugi pułkownik z Komarna, koło Lwowa. Przedstawiliśmy się wzajemnie i przy tej okazji dowiedziałem się kim są osoby cywilne. Byli tam: emerytowany pułkownik Leon Kozłowski, były premier Polski, a w czasie wojny polsko-niemieckiej profesor archeologii na Uniwersytecie Lwowskim. Bolszewicy aresztowali go pod koniec września 1939 roku. Następną osobą cywilną był „radca” województwa lwowskiego, Łaniewski, brat prokuratora Sądu Okręgowego we Lwowie, a trzecią — naczelnik Sądu Powiatowego w Rawie Ruskiej”.

„... W toku rozmów na temat mego „przestępstwa” płk. L. Kozłowski opowiedział mi jak go przesłuchiowano, jego, niedawnego premiera Rzeczypospolitej. — Pewnej nocy — mówił Kozłowski — o 12-ej zabrali mnie na przesłuchanie do pokoju na drugim piętrze gdzie za czasów polskich urzędował prokurator wojskowy. Przesłuchiwał mnie pułkownik N.K.W.D., którego więźniowie nazywali Kremin. Rozpoczęło się od gróźb. Płk. Kremin oświadczył, że za moją działalność poczynając od 1918 roku grozi mi rozstrzelanie albo 25-letnia katorga. „Przestępstwa” moje obejmowały służbę w „bandach” Piłsudskiego w latach 1920-1921, antysowiecką działalność w Sejmie, organizację Berezy Kartuskiej, niszczenie cerkwi prawosławnych w Chełmszczyźnie i na Wołyniu itp. Odpowiedziałem mu, że całe swoje życie pracowałem publicznie dla dobra państwa polskiego, jego bezpieczeństwa i nikt nie może mnie z tego tytułu pociągać do odpowiedzialności. Z niszczeniem cerkwi na Wołyniu nie mia-

łem nie wspólnego, gdyż w latach 1936-1937 nie wchodziłem już w skład rządu.

Moja obrona nie przekonała jednak płk. Kremina mimo iż nasza dyskusja toczyła się ponad godzinę. W toku rozmowy nie było poza nami nikogo w pokoju. Strażnicy, którzy mnie przyprowadzili, czekali na korytarzu. W pewnej chwili płk. Kremin wskazał krzesła zapraszając bym usiadł, podsuwając mi jednocześnie pudełko papierosów. Podziękowałem, ale papierosów nie przyjąłem.

— Jest tylko dla pana jeden ratunek — powiedział Kremin. — Proszę mnie słuchać uważnie! Zwolnimy pana z więzienia i przerzucimy zagranicę, do Turcji. Otrzyma pan dostateczną ilość pieniędzy oraz oryginalne dokumenty, które są w naszym posiadaniu. Obowiązkiem pańskim będzie udać się z Turcji do Francji, do Paryża, i tam nawiązać kontakt z polskimi i francuskimi kołami politycznymi, co nie będzie to dla pana, znanego polskiego męża stanu, przedstawiało żadnych trudności. Dalsze obowiązki wyznaczy panu nasza ambasada w Paryżu. Ona też przekaze panu dalsze potrzebne pieniądze. Zadaniem pańskim będzie ustalenie czy Francuzi są gotowi i mają ochotę walczyć z Niemcami czy też skłonni są porozumieć się z nimi i skapitulować.

W tym momencie — mówił dalej Kozłowski — już nie wytrzymałem. Zerwałem się z krzesła wołając: co, ja minister i premier Rzeczypospolitej mam być bolszewickim szpiegiem? Nie, nigdy i splunąłem na ziemię w kierunku Kremina. Ten podniósł się z krzesła i nacisnął dzwonek znajdujący się na stole. Po chwili z sąsiedniego pokoju wpadło 6-7 enkawudzystów, którzy, rzuciwszy się na mnie, powalili na podłogę. Jedni trzymali mnie za ręce, drudzy za nogi a jeszcze inni obkładali mnie pałką gumową. Pamiętam tylko iż odruchowo zasłoniłem głowę przed uderzeniem, gdy jeden z katów skoczył na mnie kopiąc nogami. Straciłem przytomność. Nie potrafię powiedzieć, jak dostałem się z powrotem do celi, natomiast jak wyglądałem po tym „przesłuchaniu” mogą poświadczyć towarzysze z celi więziennej. Do tej pory bolą mnie plecy, mięśnie rąk i nóg i cierpię stale na zawroty głowy. Ubranie moje jest przesiąknięte krwią, utraciłem połowę zdrowia”.

Któryś z przysłuchujących się więźniów zapytał: — Jak to się stało pułkowniku, że pan wysoki, zdrowy i silny mężczyzna dał się powalić na ziemię bez jakiegokolwiek oporu?

— „Śmieszne pytanie — odrzekł Leon Kozłowski. — Wszystko to rozegrało się błyskawicznie i nieoczekiwanie. Dwaj uchwycili mnie za ręce trzeci z tyłu za głowę, dwaj za nogi i natychmiast zwalili mnie na podłogę. Jasne, iż nec Hercules contra plures! Ponadto osłabiony, jak większość więźniów dzięki „opiece” jaką nad nami roztaczają, nie mogłem reagować jak należało. Z początku broniłem się i krzyczałem, ale w miarę otrzymywanych w głowę ciosów straciłem przytomność”.

Pan P. Sz. snując swoje wspomnienia zaznacza, że wspólna dola, przeżycia, troski, nadzieje, wymiana poglądów itp. doprowadziły do zżycia się więźniów w celi, powstała „zgrana grupa” a prof. Kozłowski był głównym „pocieszycielem” oraz kreślącym obrazy przyszłości.

„Jako wojskowy i znany polityk uważał się za specjalistę w zagadnieniach wojennych i politycznych. Codziennie pocieszał nas, że z początkiem kwietnia 1940 roku Anglia i Francja rozpoczną ofensywę przeciwko Niemcom, przełamia linie frontu i już w maju sojusznicy zjawią się we Lwowie. Wówczas i my odzyskamy wolność. Odnosiliśmy się wszyscy krytycznie do tych prośb pułkownika, lecz nie przeciwstawialiśmy się jego wywodom, przede wszystkim ze względu na bardzo zły stan jego zdrowia. W rzeczywistości jednak nikt z nas nie wierzył w te prośby.”

Często w naszych rozmowach poruszaliśmy zagadnienia polsko-ukraińskie. L. Kozłowski zapewniał, że nie jest przeciwnikiem odrodzenia niezależnego państwa ukraińskiego, jednakże Polska musi pozostać przy granicach z 1939 roku. Ukraińcy na Wołyniu i w Galicji będą musieli otrzymać większe prawa. Pewnego razu dr Sawicki zapytał L. Kozłowskiego dlaczego nie dał większych praw Ukraincom, gdy znajdował się u steru rządu. Odpowiedział, iż odpowiedzialność za to ponoszą endecy i większość polskiego społeczeństwa, która była wychowana w nietolerancji i szowinizmie. Gdy rozpoczęła się akcja niszczenia prawosławnych cerkwi zjawił się u ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, ambasador sowiecki protestując przeciwko polskiej akcji. Ambasador powoływał się na postanowienia Traktatu Ryskiego z 1921 roku, w którym Polska zobowiązała się do poszanowania narodowych i religijnych praw Ukraińców w Polsce.

Minister spraw wewnętrznych wydał, na skutek interwencji min. J. Becka, jakieś zarządzenia. Hulankę „patriotów” powstrzymano, jednakże ponad dwieście zniszczonych cerkwi nie odbudowano. Zdaniem Kozłowskiego ta akcja w Chełmszczyźnie i Wołyniu była dla Polski wysoce szkodliwa. Została ona propagandowo wykorzystana przez bolszewików w 1939 roku, którzy głosili wobec świata, że ruszyli wyzwolić Ukraińców spod jarzma polskiego.

W nowej Polsce — wywodził L. Kozłowski — nie powtórzą się podobne rzeczy. Polska potrzebuje dyktatora na wzór Franco w Hiszpanii, który zaprowadzi należyty porządek. Ukraińcy otrzymają uniwersytet, wprowadzona będzie w życie wojewódzka autonomia, zabezpieczająca Ukraińcom wszelkie należne prawa. Zdaniem jego za wojnę polsko-niemiecką ponoszą odpowiedzialność endecy i „OZON” będący pod wpływami endeków.

Słuchaliśmy „cierpliwie” pułkownika i... milczeliśmy. W obliczu dzisiejszej, ponurej rzeczywistości te pułkownikowskie wywody nosiły wszelkie znamiona tragicznej farsy. Niemców nie-

nawidził L. Kozłowski na równi z bolszewikami (podkreślenie moje. B.H.). Istniała tylko jedna różnica, a mianowicie bolszewików określał jako „obrzydliwą ohydę”, natomiast Niemców nie lubił za ich jednolitość, solidarność, dyscyplinę i zawziętość”.

Autor wspomnień zalicza pobyt w celi, w której znajdował się prof. Kozłowski „do najjaśniejszych chwil w tragicznej rzeczywistości bolszewickiej”. Więźniowie zobowiązali się do utrzymania w miarę możliwości kontaktów, do wzajemnego informowania rodzin o swoich losach.

„W 1943 roku — pisze dalej pan P. Sz. — otrzymałem za pośrednictwem Ukraińskiego Komitetu Pomocy we Lwowie, adresowany do mnie z Berlina, list od płk. L. Kozłowskiego. Donosił, że w czasie zbliżania się niemieckiego frontu udało mu się uciec z więzienia bolszewickiego pod Moskwą i przedostać do Niemców. Obecnie przebywa w Berlinie. Odpisałem dziękując za pamięć i na tym skończyła się nasza wymiana listów.

W 1944 roku, a być może pod koniec 1943 roku, znalazłem w pismach wiadomość, że L. Kozłowski został zabity podczas bombardowania Berlina przez Amerykanów. Niedawno przeczytałem we wspomnieniach W. Andersa, że polski sąd wojenny na emigracji skazał w czasie wojny płk. Leona Kozłowskiego, byłego premiera Rzeczypospolitej, zaocznie na karę śmierci za współpracę z Niemcami.

Jak tego rodzaju wyrok mógł zapaść zaocznie, bez obecności oskarżonego, bez dania mu możliwości obrony a nawet bez powiadomienia L. Kozłowskiego o stawianych mu zarzutach i wytoczeniu sprawy — nie jestem w stanie pojąć. Nie jestem prawnikiem”.

Tym lakonicznym stwierdzeniem kończy swoje wspomnienia p. P. Sz., ukraiński polityk. Jak wspomnieliśmy wyżej zawierają one szereg nieścisłości, jednakże nie tak poważnych, by pozbawiały je obiektywnej wartości. Ten ukraiński polityk nie miał żadnych powodów, by darzyć szczególną sympatią prof. Kozłowskiego. Nie ukrywa, iż nie traktował poważnie jego wywodów, odnosił się do niego z dużą dozą litości a łączyła ich jedynie wspólna dola, stworzona warunkami więziennymi. Należy sobie dalej uświadomić, że prof. Kozłowski za stworzenie obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej, i już chociażby z tego powodu, nie mógł cieszyć się sympatią i przyjaźnią Ukraińców. Uwzględniwszy to wszystko nie sposób nie podkreślić prawdziwej szlachetności autora.

KONFERENCJA PRASOWA PROF. KOZŁOWSKIEGO W BERLINIE

Podstawę infamii prof. Leona Kozłowskiego stanowią wieści o jego współpracy z Niemcami w okresie kiedy Polska znajdowała się w wojnie, kiedy kraj znajdował się pod okupacją,

gdy Niemcy prowadziły swoją brutalną, niszczycielską akcję wobec całego narodu. Na czym opiera się to oskarżenie? Na konkretnych faktach? Nie, po prostu brak ich.

W poszukiwaniu autentycznych dowodów natrafiiliśmy na dr. Franciszka Anczewicza, uczestnika słynnej konferencji prasowej dla prasy zagranicznej w Berlinie z dnia 11. 1. 1942 roku, której głównym bohaterem był prof. Kozłowski.

Dr. Anczewicz reprezentował w tym czasie szwedzki dziennik „Aftonbladet” oraz duński „Berlingske Tidningen”. W biurze berlińskich tych pism zatrudniony był jako znawca zagadnień sowieckich oraz wschodnio-europejskich. Anczewicz opuścił Litwę w okresie dyktatury Waldemarasa i zamieszkał w Polsce, w Wilnie. Tutaj kończył studia prawnicze, doktoryzował się w prawie państwowym pracą o stalinowskim systemie państwowym. Pracował w Polsce naukowo oraz w dziennikarstwie. Na krótko przed wojną wojewoda wileński, płk. Bociański, nakazał mu opuszczenie Wilna pod zarzutem przynależności do... partii komunistycznej, co wywołało wówczas niemało śmiechu gdyż było państwowym pracą o stalinowskim systemie państwowym. Pralistą. Jednakże dr. Anczewicz uratował się dzięki tej „głębokiej” znajomości stosunków politycznych woj. Bociańskiego. Przybył do Warszawy, gdzie wszedł w skład zespołu redakcyjnego „Kurier Warszawski”. Dziwnym zbiegiem okoliczności przypadło mu wydać ostatni numer tego wielkiego, poważnego dziennika. Jako obywatel litewski opuścił bez trudności Warszawę i po krótkim pobycie w Kownie wyładował w Berlinie. Dr. Anczewicz przebywa od 1949 roku w Kanadzie, gdzie bierze czynny udział w miejscowej partii socjalistycznej C.C.F. Jest przewodniczącym rady etnicznej tej partii w Ontario, członkiem zarządu i w nadchodzących wyborach do parlamentu federalnego kandydować będzie z okręgu Toronto-Trinity. Tyle o informatorze.

— Naprawdę chce się pan dowiedzieć szczegółów o prof. Kozłowskim? Jestem zdumiony gdyż usiłowałem tą sprawą zainteresować jego dobrych znajomych, przyjaciół, ale bezskutecznie. Odpowiadali mi, że nie czas, że lepiej o tym zapomnieć. Nie mogę się z tym pogodzić, mimo iż aż do spotkania na konferencji w Berlinie, nigdy go nie widziałem nawet i oczywiście nigdy nic mnie z nim nie łączyło. Służę panu wszystkim. Podczas tej konferencji miałem uczucie, że uczestniczę na historycznym zebraniu, że jestem świadkiem wielkiego dramatu ludzkiego. Dlatego też nie omieszkalem spisać swoich wszystkich wrażeń.

Dr. Anczewicz wydobywa plik papierów, drobnych notesików, chowanych jak skarby. Powoli odczytuje je, uzupełniając z pamięci różne szczegóły. Trwa to kilka bitych godzin.

— Wiadomość o pobycie prof. Kozłowskiego w Berlinie mieliśmy w Klubie Prasy Zagranicznej bezpośrednio po jego

przybyciu, pod koniec grudnia. Uznaliśmy ją za sensacyjną. Przypuszczaliśmy bowiem, iż oznacza ona zapowiedź zmiany polityki niemieckiej wobec narodów podbitych. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że w tym czasie Berlin tonął w powodzi najrozmaitszych plotek w związku z ugrzęźnięciem ofensywy niemieckiej. Z jednej strony generał-gubernator dr Frank twierdził, że los Polski został przesądzony, że okrojony kraj pozostanie jako część Rzeszy, zarządzaniem władz niemieckich zlikwidowano quislingowskie rządy Ambroziaviciusa-Skirpy na Litwie i Bandery we Lwowie, z drugiej natomiast w kołach wojskowych i dyplomatycznych mówiono o potrzebie jakiejś konstruktywnej współpracy z narodami Europy wschodniej. Złośliwie anegdota krążąca wśród Niemców jak na przykład, że „Fuehrer” pisze dwa nowe dzieła pt. „Wojna błyskawiczna w pięciu latach” i „Od pendzla na wyspę”, oraz że ambasador Schullenburg po powrocie z Moskwy miał opowiadać, że nowe dzieło Stalina nosić będzie tytuł „Dein Kampf — mein Sieg” świadczyły o minowych nastrojach Niemców.

W tych warunkach dla dziennikarzy zagranicznych wiadomość o konferencji prasowej z prof. Kozłowskim podziałała jak bomba. Uderzył nas fakt, że zwołało ją ministerstwo spraw zagranicznych a nie propagandy. Konferencja odbyła się dnia 11 stycznia 1942 roku w Klubie Prasy Zagranicznej przy Uhland Strasse Nr 83. Obowiązki gospodarza pełnił pan Starke, radca M.S.Z., wieloletni członek ambasady niemieckiej w Moskwie. Stół konferencyjny był zastawiony butelkami francuskiego koniaku, przystawkami i papierosami.

W pewnej chwili na salę wszedł wysoki człowiek w ciemnych okularach w towarzystwie rosnącego mężczyzny. Starke podszedł do nich po czym kolejno przedstawiał każdego z obecnych nowoprzybyłym: prof. Kozłowskiemu oraz jego „opiekunowi” z ramienia M.S.Z. p. Kegłowi (1). Kiedy przyszła kolej na mnie — opowiada Anczewicz — odezwałem się po polsku: „Panie profesorze myślę, że widziałem pana podczas pamiętnego posiedzenia Sejmu w maju 1939 roku, gdy minister Beck składał swoją deklarację”. Kozłowski z nieukrywaną radością odpowiedział coś, ale Starke przerwał rozmowę uwagą: „Ależ moi panowie czy nie uważacie, iż Berlin nie jest miejscem dla rozmów w języku polskim?”

„Dlaczegoż nie! — odrzekł prof. Kozłowski. — Przecież nie tak dawno jeszcze, jak dla mnie archeologa, bo w 1848 roku w uśmierzaniu buntu gwardii dworskiej musiano posługiwać się językiem polskim”.

Z wyraźną ironią przywitał się Kozłowski z przedstawici-

(1) Gerhard Kegel, przybył do Warszawy jako korespondent dziennika „Breslauer Nachrichten”, potem został urzędnikiem wydziału gospodarczego ambasady niemieckiej i na stanowisku pozostał w Warszawie do wybuchu wojny. Mówił świetnie po polsku, dobrze orientował się we wszystkich naszych zagadnieniach politycznych. Do wojny trudno byłoby go określać mianem hitlerowca.

cielem prasy węgierskiej. — O tak, Polak Węgier dwa bratanki. Przypominam sobie doskonale Goemboesa w Warszawie, gdy przysięgał nam wieczną przyjaźń. No i cóż?...

Kozłowski usiadł mając po obu stronach wspomnianych Niemców. Przyglądałem mu się uważnie. Spod ciemnych rogowych okularów spostrzegłem, iż lewe oko ma uszkodzone. Brakło mu większości zębów. Wyglądał okropnie i dlatego tym bardziej zdumiała mnie jego lotność umysłu, błyskotliwość, wiesielczy humor i ironia. Kpiarski nastrój w stosunku do Niemców wprowadził beztrząsą uwagą: „Co widzę? Doskonały koniak francuski! Rzadka to okazja, trzeba więc z niej, moi panowie, korzystać”.

Kozłowski mówił świetnie po niemiecku, nie uciekając się ani razu do pomocy tłumacza.

Nim rozpoczął swoją opowieść jeden z dziennikarzy szwedzkich zapytał go czy zna marszałka Goeringa. Kozłowski krótko odparł: Owszem znam, spotykałem go w Warszawie.

— Proszę panów — zaczął prof. Kozłowski — wybuch wojny niemiecko-polskiej zastał mnie we Lwowie, gdzie byłem profesorem uniwersytetu. Ani przez chwilę nie zamierzałem opuszczać miasta, gdyż nie przypuszczałem, że wpadnie w ręce bolszewików. I to było moim największym błędem. Wkrótce po zajęciu miasta przez bolszewików zostałem aresztowany i osadzony w lwowskim więzieniu. Co tam przeszedłem przechodzi wszelkie ludzkie wyobrażenia.

Głos Kozłowskiego staje się dramatyczny. Widać, że wspomnienia tych przeżyć podniecają go.

— Proszę panów — mówi dalej — bito mnie i terroryzowano. Katowiano w sposób barbarzyński. Nigdy nie przypuszczałem w najczarniejszych snach, by rząd sowiecki stosować mógł podobne metody. Żądano ode mnie bym się przyznał do przynależności do jakiejś podziemnej antysowieckiej organizacji, do spisku mającego na celu obalenie władzy sowieckiej. W czerwcu 1940 roku zostałem przewieziony do Moskwy, do więzienia Łubianka. Tam ze znajomych spotkałem senatora Rzeczypospolitej prof. Uniwersytetu Warszawskiego dr. M. Schorra, jednocześnie rabina w Warszawie, oraz pewnego wybitnego socjalistę polskiego ze Lwowa. (Nazwiska tego dr Anczewicz nie zanotował i nie mógł sobie przypomnieć. Być może, że chodzi o posła inż. Hausnera). W Łubiance panował ostry rygor, ale ogólne warunki więzienne były lepsze aniżeli we Lwowie. Cele były czyste, jedzenia mało, ale znośne. Stamtąd przewieziono mnie do Lefortowa, gdzie było bardzo źle. Od towarzyszy więziennych wiem, że bito ich niemiłosiernie. Tym razem nie doświadczyłem tego na własnej skórze. Tam rozpoczęło się śledztwo. Jakież tam śledztwo? Tortury! Oświadczone mi, że największym moim przestępstwem jest fakt, iż byłem premierem rządu polskiego. Miałem być zdecydowanym wrogiem Z.S.S.R., miałem należeć do organizacji antysowieckich, miałem przesładować ruch rewolucyjny i popierać wszystkich i wszystko co

uderzało w Z.S.S.R. Starąłem się moim prześladowcom wytłumaczyć, że przypadek mi w udziale zaszczyt podpisania paktu o nieagresji z Z.S.S.R., co dobitnie świadczy, że byłem zwolennikiem porozumienia, pokojowego ułożenia stosunków z Z.S.S.R. ale sędziowie śledczy uznali, że to był jedynie trick. Zresztą Polska — zdaniem ich — przestała istnieć i już nie odrodzi się.

Dnia 26 czerwca 1941 roku znalazłem się w więzieniu w Butyrkach, gdzie miała się odbyć rozprawa karna. Po czterech miesiącach więzienia wygotowano wreszcie akt oskarżenia. W więzieniu tym znajdowałem się do 7 lipca i spotkałem tam szereg osobistości sowieckich, również więźniów, w tym sławnego botanika, członka sowieckiej akademii nauk prof. Wawilowa, wielu generałów, których nazwisk, niestety, nie pamiętam. Zetknąłem się również z litewskim ministrem spraw wewnętrznych gen. Skuczasa, który również czekał na rozprawę.

Przewodniczącym trybunału był osławiony Ulrych, który wspólnie z Wyszyńskim, figurował w znanych procesach pokazowych. Rozprawa sądowa była jeszcze jedną formą bezwstydnego znęcania się nad bezbronnym. Po odczytaniu aktu oskarżenia Ulrych zapytał czy przyznaję się do winy. Odpowiedziałem wówczas: Jestem obywatelem polskim i wobec tego podlegam tylko polskiemu ustawodawstwu. Nie dotyczą mnie żadne przepisy sowieckiego kodeksu karnego. Zarzuty postawione mi są absurdalne. Stałem na czele rządu, który podpisał pakt o nieagresji ze Z.S.S.R.

Ulrych nie pozwolił mi na dokończenie moich wywodów, nakazując wyprowadzenie z sali sądowej. Znalazłem się znowu w celi więziennej i tam po dwu godzinach dowiedziałem się, że skazano mnie na śmierć.

— W tym miejscu — opowiada dr Ancewicz — załamał się głos prof. Kozłowskiego. Na policzkach ukazały się łzy.

— A więc teraz wyrok śmierci. Po cóż więc były te wszystkie męczarnie i katusze? Jakżeż źle przyjąłbym śmierć bezpośrednio po aresztowaniu we Lwowie!

— Posypały się — wspomina dr Ancewicz — liczne pytania dziennikarzy. Kozłowski opanował się. Chwilę milczał po czym kolejno, spokojnie odpowiadał.

Mówił, że z relacji współwięźniów wynikało, iż w owym dniu 7 lipca 1941 roku Ulrych zdołał wydać 700 wyroków śmierci. Przypuszcza, że także wyrok otrzymał gen. Skuczasa. Zastrzegł się natomiast, iż nie potrafi powiedzieć ile wyroków zostało wykonanych. Według ustalonego zwyczaju sowieckiego do każdego skazanego na śmierć przychodzi urzędnik sowiecki z ządaniem złożenia podania o łaskę. Od tego proceduru nie można się uchylić, gdyż nawet w wypadku gdy skazany odmawia podpisu czyni to zań urzędnik. Zasadnicza decyzja winna nastąpić w ciągu trzech dni.

— Minęło jednak cztery dni — opowiadał prof. Kozłowski śmiejąc się głośno — i nie zostałem ani rozstrzelany ani też ułaskawiony. Miałem dziwne uczucie człowieka zawieszonego

w przestworzach. Ni to żywy ni to zmarły. Naprzód czułem się nieswojo, potem raczej bawiło mnie to. Nie wiedziałem czy jest to jeszcze jedna forma znęcania się czy też po prostu normalna procedura sowiecka. Ten stan trwał do dnia 27 lipca, kiedy wprowadzono mnie do wielkiej sali, gdzie znajdowało się więcej osób — więźniów, jak i ja. Odczytano mi dokument, z którego wynikało, że Kalinin zamienił mi wyrok śmierci na dziesięć lat więzienia. Wśród obecnych na sali znajdował się mój serdeczny przyjaciel i druh, również były premier Polski, płk. Aleksander Prystor. Jemu również Kalinin zamienił wyrok śmierci na dziesięć lat więzienia. Z płk. Prystorem dzieliłem następnie przez dziesięć dni celę. Był ciężko chory na dysenterię. Zabrano go do szpitala więziennego, gdzie wkrótce zmarł.

Wróciłem na Łubiankę, ale zastałem tam inne warunki. Naczelnik więzienia zaprosił mnie do siebie na wytworny obiad. Na talerzu znajdował się kotlet wieprzowy. Autentyczny. Spożyłem to danie po raz pierwszy od wybuchu wojny, nie muszę więc dodawać, że była to chwila uroczysta i pamiętna. Starąłem się dociec co się kryje za tą gościnnością. Nie wiedziałem czy to wstęp do nowych, jeszcze bardziej wymyślnych tortur czy też gwałtowna zmiana orientacji. Mój gospodarz nie dał mi wiele czasu dla rozwiązywania tej zagadki. Wszczął serdeczną, towarzyską pogawędkę. Uprzejmie wyjaśnił mi, że znowu zapanowała era przyjaźni polsko-sowieckiej. Nadeszła więc pora by zapomnieć przykre i bolesne przeżycia, nieporozumienia. Byłby rad, gdybym zechciał szczerze mu powiedzieć, co myślę o nowym pakcie polsko-sowieckim. Nie zastanawiając się wiele odrzekłem: — Nie dotrzymacie go, podobnie jak poprzedniego. Przecież ja podpisałem poprzedni pakt i co za to mnie spotkało z waszych rąk?

Naczelnik więzienia spokojnie odparł: — Panie profesorze, to co się stało było wielkim błędem, który się nigdy więcej nie powtórzy. Nowa umowa jest faktem dokonany i będzie obowiązywać. Dzięki niej właśnie odzyska pan wkrótce wolność.

Przyznaję, że odpowiedź ta oszołomiła mnie. Wróciłem do swej celi z uczuciem niepokojącej radości, z poczuciem wewnętrznego triumfu.

Już następnego dnia odprowadzono mnie do kancelarii więziennej gdzie czekał na mnie oficer N.K.W.D., który przedstawił się jako płk. Fedeczi (2). Zawiózł mnie do jednego z komfortowych hoteli, do Savoy'u i wręczywszy mi 750 rubli oświadczył: Hotel ma pan opłacony. W pokoju leży dla pana nowy

(2) Prof. Kozłowski zapewne pomylił nazwisko. Chodzi niewątpliwie o pułkownika wojsk bezpieczeństwa Fediczenko, oficera łącznikowego do spraw polskich w Moskwie. Jakże było jego rzeczywiste nazwisko nie sposób ustalić. Był to jeden z najinteligentniejszych i najbardziej wykształconych oficerów sowieckich z jakimi zetknęliśmy się w Rosji. Spełniał wielorakie funkcje, w tym i bardzo delikatne, wyróżniając się dobrą wolą a nawet uczynnością, w granicach swoich możliwości w ówczesnych bardzo ciężkich czasach.

garnitur i bielizna. W pozostałych sprawach proszę się skomunikować z ambasadą polską. Życzę panu wszystkiego najlepszego”.

Zostałem sam. Na wolności. Mimo oszołomienia nie zasypywałem gruszek w popiele. A więc nawiązałem łączność z ambasadą polską oraz brytyjskim i francuskim przedstawicielstwem dyplomatycznym.

Pan Starke wtrącił się w tym miejscu zauważając: — Nie sądzę, by kogokolwiek z obecnych interesowały pańskie rozmowy z Anglikami lub Francuzami. Kozłowski zamilkł.

Po chwili padło pytanie jednego z dziennikarzy: — Czy wiedział pan o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej?

Kozłowski: — Tak. Mimo ścisłej izolacji od świata zewnętrznego przenikały za mury więzienne różne informacje. Najczęściej wskutek przyływu nowych więźniów. Czasami, któryś z sowieckich urzędników mimochodem donosił o ważniejszych wydarzeniach. O wybuchu wojny dowiedziałem się dokładnie 23 czerwca. Dla mnie nie była ona niespodzianką. Nie miałem bowiem wątpliwości, że plany sowieckie zmierzają do wyciągnięcia jak największych korzyści z wojny między państwami kapitalistycznymi. Należałem do tych, którzy byli przekonani, że Stalin nigdy nie zrezygnował ze swego planu powszechnej rewolucji, opanowania całego świata. Nie wyrzekł się go również zawierając sojusz z Niemcami.

— A kto zdaniem pańskim wygra obecną wojnę: Niemcy czy Rosja?

Zamiast odpowiedzi prof. Kozłowski — ku zdumieniu wszystkich — zaczął recytować znany wiersz Henryka Heinego: „Zwei Grenadiere”:

*„Nach Frankreich zogen zwei Grenadiere
Die waren in Russland gefangen
Und als sie kamen ins deutsche Quartier
Sie liessen die Koepfe hangen
Da hoerten Sie beide die traurige Maehr
Dass Frankreich verloren gegangen
Besiegt und zerschlagen dass grosse Heer
Und der Kaiser, der Kaiser, gefangen”.*

Zapanowała wręcz niesamowita cisza, mówi dr Anciewicz. Brzmiało to tak niewiarygodnie iż przez dłuższą chwilę nikt nie mógł otrząsnąć się. Patrzeliśmy na Niemców, na twarzach których malowała się wściekłość. Wreszcie jeden z dziennikarzy szwedzkich zapytał:

— Panie profesorze, czy mamy rozumieć, iż przepowiada pan Niemcom los Francuzów?

Kozłowski: — Bynajmniej, proszę panów. Heine jest moim ulubionym poetą i jakoś nagle przypomniałem sobie jeden z jego wierszy właśnie w związku z pytaniem jednego z panów. Mogę panom powiedzieć, że system sowiecki jest, moim zdaniem, nie-

znany w dziejach systemem tyranii i niewolnictwa. Nie wiem czy potrafi przetrzymać próbę wojny. System ten utrzymuje się wyłącznie siłą N.K.W.D. Tam, gdzie działa N.K.W.D. tam panuje porządek, gdy znika, panoszy się anarchia. Reżym sowiecki jest czymś najzupełniej nieznanym w Europie i nikt kto się z nim z bliska nie zaznajomił nie potrafi sobie wyobrazić, iż taki system w rzeczywistości istnieje.

— Jak pan wobec tego wytłumaczy, że Z.S.S.R. wytrzymuje tak silne uderzenia niemieckiej maszyny wojennej?

Kozłowski: — Nie tylko ja, ale wszyscy obserwatorzy zagraniczni, znajdujący się w Z.S.S.R., nie potrafili na to pytanie odpowiedzieć. Od wszystkich, z którymi rozmawiałem po wyjściu z więzienia, słyszałem opinie, że Rosja załamała się. Mogę panów poinformować, że ewakuacja Moskwy rozpoczęła się jeszcze w sierpniu 1941 roku. Bolszewicy mają nadzieję, że uda im się powstrzymać pochód niemiecki na linii Wołgi. Zdaje się, że jednym z powodów opóźnienia pochodu niemieckiego są fatalne drogi sowieckie. Obok tej obrony bolszewicy zyskali świetnego dowódcę, generała ZIME. Tego samego, który stawiał czoło Napoleonowi. I dlatego właśnie zacytowałem panom wiersz Heinego.

Moim zdaniem Rosja od lat przygotowywała się do wojny. Gospodarcza maszyna wojenna Z.S.S.R. otrzymała wprawdzie potężne ciosy, lecz bynajmniej nie załamała się. Maszyna ta jest planowo i systematycznie wzmacniana, rozbudowywana. Wydaje się, że rachuby na załamanie się systemu sowieckiego od wewnątrz są błędne. Nie ma bowiem żadnej siły w Z.S.S.R., która zdolna byłaby do akcji w tym kierunku. Najmniejszy przejaw oporu jest z miejsca bezwzględnie likwidowany. Rozstrzelanie tysiąca osób w ciągu dnia nie stanowi dla Moskwy żadnego problemu. Oczywiście i ten system kiedyś się załamie. Jako archeolog mogę panów zapewnić, że nie znam systemu wiecznego. I jak wyraził się mój drugi ulubiony poeta Goethe:

*„Und Alles was entsteht
Ist wert dass es zu Grunde geht...”*

— Do uszu moich — opowiada dr Anciewicz — doleciała uwaga jednego z zagranicznych dziennikarzy: „Czy odnosi się to również do tysiącletniej Trzeciej Rzeszy?”

Nikt jednak nie odpowiedział. Znowu zapanowała dłuższa chwila ciszy.

— Dlaczego opuścił pan Z.S.S.R.? — zapytał ktoś.

— Jestem zasadniczym przeciwnikiem wszelkiej emigracji politycznej. Jestem głęboko przekonany, że obowiązkiem każdego jest trwać w domu, być na miejscu z całym narodem.

— Jak ocenia pan politykę gen. Sikorskiego?

— Sądzę, że wcale wyraźnie wytłuszczyłem iż nie mam zaufania do Z.S.S.R. Mimo to uważam, że układ Sikorskiego ze Stalinem posiada dla nas, Polaków, również i dodatnie znacze-

nie i tutaj wskażę, że dzięki tej umowie około 1.500.000 Polaków odzyskało wolność. Wszystko inne w tym układzie to zwykłe oszustwo, łajdactwo. Taką politykę pozostawiam innym, sam nie zamierzam do niej przykładąć ręki. Chciałbym wyraźnie podkreślić, że żaden Polak nie ufa bolszewikom i że wszyscy pragniemy zagłady sowieckiej.

— Czy kierownictwo emigracji polskiej w Z.S.S.R. zaofiarowało panu jakieś odpowiedzialne stanowisko?

— O tak, w intendencji wojskowej! Rozmawiałem nawet raz z gen. Andersem w Buzułuku. Odmówiłem jednak, podobnie nie przyjąłem propozycji wyjazdu do Turkiestanu, gdzie znajduje się duże skupisko Polaków. Odmówiłem, gdyż w dniu opuszczenia więzienia w Moskwie powziąłem decyzję powrotu do kraju.

Dnia 27 września opuściłem Buzułuk kierując się na Zachód. Miałem przy sobie paszport polski, którym legitymowałem się wobec władz sowieckich. Im bardziej zbliżałem się do granicy frontu tym większy zastawałem chaos, rozprzężenie. Odnosiło się wrażenie, że Sowiety zostały rozbite.

Pewnego dnia zostałem przez władze wojskowe aresztowany. Wzięto mnie za Żyda, szpiega niemieckiego. To krótkie doświadczenie pozwoliło mi stwierdzić, jak głęboki jest antysemityzm w armii sowieckiej. Uratował mnie i tym razem paszport polski. Do linii niemieckich dotarłem dnia 10 listopada 1941 roku. Znalazłem się w niewoli niemieckiej. Po przesłuchaniu na placówce wojskowej zostałem odtransportowany do Berlina i jak panowie widzicie, jestem ciągle jeszcze w tym mieście.

— Czy zamierza pan wrócić do czynnej polityki?

— Nie! *Proszę panów by raczyli mieć na uwadze, że jestem jeńcem. Nie jestem więc ani w stanie, ani w możliwości sam decydować o swoim postępowaniu.*

— Co zamierza pan dalej robić?

— *Myszę, że ściślejszą odpowiedź na to pytanie mogliby panom udzielić ci panowie, którzy mnie tutaj sprowadzili. Nie jestem panem siebie samego. Nie ode mnie zależy moja przyszłość.*

Właściwie na tym skończyła się ta pamiętna konferencja — wspomina dr Anczewicz. Padło jeszcze kilka pojedynczych pytań. I tak ktoś chciał opinii prof. Kozłowskiego o losie małych państw w rodzaju Litwy, Estonii. Odpowiedział, że zdaniem jego era małych państw minęła, nie będzie dla nich miejsca w przyszłości.

Prof. Kozłowski opuścił salę w towarzystwie p. Kęgla. Zostaliśmy sami z radcą Starke. Zwrócił się do nas z prośbą, byśmy w swoich sprawozdaniach z tej konferencji ograniczyli się wyłącznie do jego przeżyć w więzieniach sowieckich. Zareagowaliśmy na to ostro podnosząc, że byłoby to sprawozdanie niepełne, mało obiektywne. Wówczas Starke, przybrawszy ton bezpośredniej szczerości, powiedział:

— Nie będę niczego obwijał w bawełnę. Chodzi mi o los prof. Kozłowskiego. Mogliście stwierdzić, że jest to człowiek fizycznie zniszczony. Ujawnienie wszystkich szczegółów dzisiejszej konferencji, jego licznych historycznych aluzji, mogłoby spowodować dlań przykre konsekwencje. Chciałbym by mógł ich uniknąć.

— Pragnie pan — zawołał jeden z dziennikarzy szwedzkich — byśmy przedstawili prof. Kozłowskiego jako ofiarę systemu bolszewickiego i na jego przykładzie wskazali jak niebezpieczny dla ludzkości jest ten system.

— Proszę mi niczego nie sugerować — odpowiedział śmiejąc się p. Starke. — Osobiście proszę panów jedynie o litość dla tego nieszczęśliwego człowieka. Reszta należy do panów. Dziękuję za przybycie na konferencję i dłużej nie będę panów zatrzymywał.

Koledzy z prasy państw neutralnych byli zaskoczeni. Dr Helge Knudsen, omawiając ze mną przebieg konferencji, zauważył: — A więc nie będzie polskiego Quislinga. Po co ciągnęli nas na to przedstawienie?

Dr Anczewicz odkłada swoje zapiski.

— Wie pan — mówi przeciągle, śpiewnie — słuchając Kozłowskiego nie mogłem pozbyć się wrażenia, że z tego zakładnika propaganda niemiecka chciała wyciągnąć wielkie korzyści, ale że ten złamany fizycznie człowiek potrafił stawić opór. I nie omyliłem się! W lutym na jednej z konferencji prasowych w ministerstwie spraw zagranicznych, szef tego wydziału, dr Schmidt, gwałtownie zaatakował rząd polski w Londynie oraz zachodnich sojuszników w związku z informacją o skazaniu prof. Kozłowskiego na śmierć, jako zdrajcę narodu polskiego. Z wywodów ówczesnych dr. Schmidta wynikało oczywiście, że skazano Kozłowskiego jedynie za ujawnienie prawdy o bolszewizmie. Wszystko co Schmidt mówił z rzekomym powołaniem się na prof. Kozłowskiego było jego własną koncepcją. Nikt z nas nie słyszał ani podobnych słów ani określeń z ust Kozłowskiego. Twierdzę z całą stanowczością, że prof. Kozłowski był w czasie swojego pobytu w Berlinie — do chwili kiedy i ja nie zostałem zmuszony do opuszczenia stolicy Niemiec w czerwcu 1942 roku — *więźniem*. Starłem się wielokrotnie o rozmowę prywatną z Kozłowskim, lecz władze niemieckie odmówiły zgody. Wiem natomiast, że kilku wybranych i zaufanych dziennikarzy satelitów niemieckich dopuszczono do niego. W kwietniu 1942 roku, podczas bytności w Bratysławie, jeden z dziennikarzy słowackich pokazywał mi swoją opowieść o okropnościach bolszewickich, spisana na podstawie rozmów z prof. Kozłowskim.

Widziałem się z prof. Kozłowskim — kończy dr Anczewicz — jeszcze raz i to bardzo krótko. W lutym 1942 roku przybyła do Berlina córka gen. Skuczasa i uzyskała pozwolenie na widzenie się z prof. Kozłowskim. Towarzyszyłem jej do gmachu Polizei Praesidium gdzie był Kozłowski.

Przedstawiwszy mu córkę Skuczasa zapytałem go czy wiadomo mu o wyroku wydanym nań przez władze polskie.

Odpowiedział mi wówczas: „W Ewangeliu św. powiedział: nie sądźcie byście nie byli sądzeni”. Ten wyrok to nonsens. Nikogo nie zdradziłem, a cóż dopiero naród polski.



W archiwach sądu wojkowego P.S.Z. w Z.S.S.R., późniejszego 2 Korpusu, istnieć muszą dokumenty i materiały dotyczące sprawy prof. Leona Kozłowskiego i nie ma powodu dla którego nie miałyby być ogłoszone, względnie udostępnione celem rehabilitacji. Jakkolwiek nie, ale to absolutnie nie, nie wskazuje by Leon Kozłowski dopuścił się zdrady, a opuszczenie przezeń szeregów tworzącego się wojska bardzo trudno podciągnąć pod dezercję i przejście na stronę wroga, to, być może, sąd posiada dowody przestępstwa, dowody nieznane nikomu innemu, a wówczas ogłoszenie ich przyczyni się również do wyjaśnienia tej sprawy.

Leon Kozłowski mógł być złym, lichym politykiem, mógł drażnić swoim postępowaniem i zachowaniem się, ale nawet pospolicity zbrodniarz ma prawo do obrony, prawo do sprawiedliwości. A to znaczy, iż sąd uwzględnia wszystkie okoliczności zbrodni. Tego zaniechano wobec prof. Kozłowskiego.

Benedykt HEYDENKORN

**LEKARSTWA
MATERIAŁY
ŻYWNOŚĆ**
NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ
wyślesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England
Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Kronika kulturalna

Pożegnanie z Gieseckim

Wybitny niemiecki pianista Walter Gieseck zmarł 26-go października 1956 roku, jeszcze w pełni swoich artystycznych sił. Strata jest wielka. Można bez wahania orzec, że w interpretacji dzieł Debussy'ego i Ravela, Gieseck nie miał sobie równych. Jego śmiałe i niezwykle odkrycia w dziedzinie dźwiękowej kolorystyki zastosoane przez niego w muzyce impresjonistycznej zapewniły Gieseckowi odrębne miejsce wśród największych pianistów dwudziestego wieku.

Chociaż charakter muzyki klasycznej (Bach, Mozart, Beethoven) był niewątpliwie bliski naturze Giesecka, wykazał on najwięcej imaginacji w interpretacjach francuskich modernistów. Okoliczność ta pozwala nam raz jeszcze stwierdzić, że narodowość artysty nie zawsze wyciska dominujące piętno na jego sztuce. Oczywiście gra Giesecka częściowo odzwierciedlała jego teutońską dyscyplinę, niemniej 16-letni pobyt pianisty we Francji odegrał w jego muzycznym rozwoju równie doniosłą rolę.

Gieseck urodził się w roku 1895, w Lyon, gdzie jego rodzice osiedlili się po wyjeździe z Niemiec. Nie rozpoczął swojej kariery jako „cudowne dziecko”. Pierwsze muzyczne wskazówki otrzymał jako część ogólnego wykształcenia. Kilkoletnia nauka gry na skrzypcach tylko zbliżyła Giesecka do... fortepianu, z którym odtąd się nie rozstawał. Ukończywszy lat 16, Gieseck postanowił oddać się całkowicie studiom muzycznym i przeniósł się w tym celu do Hannoveru gdzie wstąpił do miejscowego konserwatorium. Nad jego pianistyką rozłożył opiekę doskonały pedagog Karl Leimer, pod którego czujnym okiem Gieseck mógł szeroko rozwijać swój olbrzymi talent. W roku 1920 dojrzały już muzycznie Gieseck rozpoczął wspaniałą karierę od debiutu w Berlinie. Zaszczyciwszy większe miasta Europy, udał się w roku 1926 na tournée do Ameryki, gdzie

nikt o nim poprzednio nie słyszał. Pomimo groźnej konkurencji artystycznej, już pierwsze występy Giesekinga zjednały mu publiczność i prasę. Gieseking był „zrobiony”.

Artystyczne prądy jakie powstały w Europie po pierwszej wojnie światowej znacznie ożywiły zainteresowanie współczesną muzyką. Gieseking, którego najbardziej pociągała nowoczesna muzyka francuska, namiętnie studiował dzieła Debussy'ego i Ravela. Ponieważ siła tej muzyki ma swoje źródło w bogactwie dynamiczno-akustycznych efektów, Gieseking poświęcał wiele czasu intensywnej pracy nad pedalem. Pianisci często używają pedału w celu tuszowania technicznych niedociągnięć — pedał Giesekinga miał charakter wyłącznie kolorotwórczy. Jego wielostronna technika, niepospolity słuch oraz pianistyczna imaginacja, dały mu pełną władzę nad instrumentem, umożliwiając Giesekingowi produkowanie barw dźwiękowych w skali dotychczas niespotykanej. Kto nie słyszał jego wersji *Ondine* czy *Scarbo* Ravela, nie zapoznał się jeszcze z tą wprost czarodziejską grą niuansów, jaką potrafił wydobyć z instrumentu Gieseking.

Zainteresowanie Giesekinga barwą dźwiękową dziwnie się zbiegało z niektórymi poza-muzycznymi zainteresowaniami artysty. Związek ten ujawniał się przede wszystkim w uderzającej wrażliwości Giesekinga na kolor w Przyrodzie — wrażliwości przedstawiającej w nowym świetle dwa charakterystyczne atrybuty jego pianistyki: dźwiękowy koloryt oraz uczuciową ozięłość.

Odziedziczywszy po ojcu-lekarzu jedną z cenniejszych kolekcji motyli w Europie, Gieseking pielęgnował z troskliwością swój zbiór kolorowych skrzydełek, uzupełniając go od czasu do czasu własnoręcznie schwytanymi okazami. Uwagę jego przyciągały z tą samą siłą tęcze barwy motyli co dźwiękowe barwy w alegorycznych Preludiach Debussy'ego. Jednakże giesekingowska pasja motyli wyrażała się również pewną oziębłością jako towarzyszący temu osobliwemu zamiłowaniu: pianista kochał motyle — w gablotkach. Ta ciekawa kombinacja wrażliwości na kolor i *sang froid* znalazła swój rezonans w imponujących interpretacjach Giesekinga: dzieła Debussy'ego i Ravela artysta oddawał w promiennych barwach dźwiękowych, podczas gdy jego Mozart i Chopin byli wykonywani z obojętnym chłodem.

Jeżeli istnieją dzieła muzyczne stworzone dla *jednego* wykonawcy, nie wątpliwie utwory Debussy'ego zostały napisane dla Giesekinga. Sugestywną muzykę impresjonistyczną Gieseking oddaje w barwnych pejzażach dźwiękowych, „odmalowywanych” to w pół-pedałowych *pianissimach* to w gromnej dynamicznej skali od PPP do FFF, przerywanej potężnymi wybuchami mieniącej się akordowej i pasażowej harmonii o nieźrównanie pięknym brzmieniu. Przy pomocy swoich niewyczerpanych środków dynamicznych Gieseking zdołał nam przekazać urok i grozę rozpetanych żywiołów, jak i szereg innych symbolicznych elementów charakterystycznych dla tej muzyki. Nastrój *Ce qu'a vu le vent de l'ouest* odtworzony jest przez artystę niemal z hipno-

tyczną siłą, która na długo pozostawia nam w pamięci dziwne fantasmagorie Debussy'ego.

Nie we wszystkich impresjonistycznych kompozycjach Gieseking używa „koloru” z tą samą intensywnością. Ton jego bywa często matowy. W jego mistrzowskiej wersji *Broillards* (Debussy) dźwiękowy horyzont ukazuje się jakby przez woalkę. Gieseking unika krzyczących kolorów, jakimi posługują się inni wykonawcy Debussy'ego, Cortot czy Robert Schmitz. Nawet giesekingowskie *fortissima* są bardziej donośne niż ostre. Dźwiękowa materia Giesekinga stanowi jedno połączone tło harmoniczne bez odosobnionych detali. Dlatego niektóre jego interpretacje Debussy'ego, badane fraza po frazie, mogą się wydać mniej jaskrawe (lekko poruszona fotografia) od „zdjęć” Casadesusa i Lipatti'ego. Podobne zjawisko możemy zaobserwować studiując obraz impresjonisty (np. Bonnarda) najpierw z bliska, potem z dystansu. Oglądany z odległości metra (lub fragmentami) obraz wydaje się niezbyt wyraźny, ale gdy mu się przyjrzymy z przeciwnego końca pokoju, nabiera pełnej treści. Tak samo słuchane w *całości*, giesekingowskie interpretacje wydają się bardziej treściwe od interpretacji znakomitego Casadesusa lub Lipatti'ego. Możemy to sprawdzić porównując Giesekinga z Casadesusa w *Jeux d'eau* Ravela, oraz z Lipatti w *Alborada del gracioso* (też Ravela) nagranych na płyty. Dodajmy, że impresjonizmu swego Gieseking nigdy nie używał jako pretekstu w celu produkowania nieokreślonego chaosu dźwiękowego jak to czynią rozmaici znani pianisci. W jego muzycznych koncepcjach nic nie jest dziełem przypadku, nic nie bywa zamazane, i jego dźwiękowe obrazy są wykonane mimo ich okolicznościowej matowości.

Byłoby niepodobieństwem wyliczyć tu wszystkie cenne nagrania Giesekinga. Wymienimy tylko jego fenomenalne kreacje *Voiles* i *Feux d'artifice* Debussy'ego oraz *Une barque sur l'océan* Ravela, które mogą już dać szerokie pojęcie o sztuce tego wielkiego innowatora dźwiękowego koloru.

Artystyczne oblicze Giesekinga przybiera jednak zupełnie inne kształty w jego interpretacjach Mozarta, Beethovena, Schumanna i Chopina. Tutaj, zbyt daleko posunięta uległość wobec muzycznych tekstów utrudnia Giesekingowi przedstawienie kompozycji w jej indywidualnej postaci. Stylistyczny pietyzm, z jakim Gieseking oddaje cześć kompozytorowi tylko wprowadzając akcent pedanterii obcy charakterowi danego dzieła. Pozostawiając zawsze wąski margines dla wykonawcy, kompozytor pozostawia mu także prawo wyboru. Gieseking nie raczył z tego przywileju skorzystać i dlatego jego wspaniała sztuka nie jest wolna na tym terenie od pewnych akademickich tendencji. Doskonałe, ale zbyt arytmetyczne poczucie rytmu często przydaje jego muzycznej frazie metronomicznej jednostajności. *Nokturn* Op. 9 Nr 3 Chopina, jest przez Giesekinga wykonywany prawie bez *rubato*, jak fuga Bacha (stara płyta Homocord). Także w *Kinderscenen* Schumanna rytmiczne tętno Giesekinga narzuca

nam wizję orkiestry, nie symfonicznej, lecz wojskowej orkiestry maszerującej triumfalnie poprzez schumannowskie *Wichtige Begebenheit*.

W przeciwieństwie do słowiańskich artystów, Landowskiej, Hofmanna i Rachmaninowa, skoordynowany rytm Gieseckinga nie odznaczał się rytmiczną elastycznością i nie był kompensowany swobodnym, naturalnym wdziękiem, którego brak odbiera urok nie tylko chopinowskim mazurkom ale także sonatom Mozarta i Scarlatti'ego. W rezultacie, taneczne elementy w tych utworach nabierają szablonowego charakteru. Wrażenie to jeszcze pogłębia zredukowana do minimum pedalizacja, którą Giesecking zastępuje swoim charakterystycznym bez-pedałowym *legatissimem*. Odrobina muzycznego poczucia humoru poprawiłaby sytuację, ale poważny Giesecking wszystko bierze na serio.

Mniej jednostajnym interpretatorem okazuje się Giesecking w Beethovenie. Mimo to jego poprawna, nawet bardzo poprawna wersja „Emperora” nie wywiera na nas zbyt dużego wrażenia. Przyczyną jest brak dostatecznie wysokich dramatycznych napięć. Na ogół w grze Gieseckinga element świadomości dominuje nad elementem impulsywności i dopiero muzyka Debussy'ego i Ravela była w stanie wydobyć z niego silniejsze akcenty spontaniczności. Nawet w utworach Bacha, które Giesecking wykonuje bez zarzutu, odczuwamy zbyt nieosobisty stosunek artysty do dzieła. Melodyjne recitativy oddawane są „na chłód” i trudno w nich rozpoznać Gieseckinga, mistrza koloru. Bynajmniej nie chcemy dać przez to do zrozumienia, że Bacha należało interpretować jak Debussy'ego. Chodzi nam jedynie o podkreślenie nieco przesadnej uczuciowości abstynencji pianisty w odniesieniu do wymienionych kompozytorów.

Jednakże jest w sztuce Gieseckinga jeden walor, który prawie zawsze występuje z jednakowym autorytetem: jego technika. Nie będzie to technika w zwykłym i jakże często ujemnym tego słowa znaczeniu. Wszyscy znają bajkę o Królu Midasie, który otrzymał w darze od Dionizosa moc zamieniania wszystkiego czego się dotknął w złoto. Potem Midas musiał błagać Dionizosa aby odebrał mu te cudowną władzę albowiem za jego dotknięciem również jedzenie Midasa zamieniało się w szlachetny metal. Podobnie bywa z tak zwanymi „wirtuozami”, którzy zdobywszy raz władzę nad swoimi palcami za najlżejszym dotknięciem zamieniają muzykę w technikę. Giesecking stanowił pod tym względem wyjątek. Będąc klasycznym przeciwieństwem „muzycznego Midasa” zamieniał on swoją technikę — w muzykę.

W naszych czasach rzadko się zdarza aby pianista z większą techniką używał jej z dyskrecją. Umiejętność przystosowania techniki do muzycznej koncepcji dzieli mistrza od wirtuoza. Ten ostatni wystawia na pokaz wszystkie „wdzięki” swojej techniki, gdy ten poprzedni woli się ograniczyć do zaprezentowania samej kompozycji. Giesecking nie opisuje się techniką nawet w wirtuozowskich utworach jak *Toccata* Ravela lub *Koncert* Liszta. Nie

podkreślając technicznej strony, Giesecking jednakże nie zaniedbywał jej, jak to czynił jego współrodak, Artur Schnabel. Arcytrudne *Scarbo* Ravela nagrane przez Gieseckinga na płytę najlepiej ilustruje doniosłą rolę jaką odgrywa prawidłowo zorganizowana technika w dziedzinie muzycznej ekspresji.

Przytoczmy szereg ciekawych uwag jakie Giesecking wypowiedział w związku z zagadnieniami fortepianowej techniki, „które głównym faktorem jest mózg; głównym warunkiem — koncentracja; głównym obiektem — symetria. Ćwiczenia przy całkowitej koncentracji nie powinny przekraczać trzech godzin dziennie. Praca wykraczająca poza ten czas przeważnie nie jest produktywna” (Hofmann wyraził podobne poglądy wcześniej). Interesującą jest także uwaga Gieseckinga dotycząca ujemnych skutków mechanicznego ćwiczenia: „kto poświęca zbyt wiele czasu technicznym ćwiczeniom zaudatuje się na muskułową pamięć i potem pamięta utwory palcami zamiast mózgiem”.

Swoją punkt widzenia Giesecking najlepiej udowodnił na własnym przykładzie. Jego zdolność koncentracji podczas pracy oddała mu cenne usługi nie tylko w rozwiązywaniu technicznych problemów ale i w przygotowywaniu świeżych programów w zdumiewająco krótkim terminie. Intensywna koncentracja i bajeczna pamięć umożliwiły mu zapamiętywanie nowych kompozycji w pociągu, w hotelowym hall'u lub gdziekolwiek się znajdował. Pamięć ta obejmowała 24 koncerty z orkiestrą, około stu sonat i ponad tysiąc mniejszych utworów, czyli całą literaturę fortepianową od Bacha do Schönberga.

W ostatnich latach Giesecking nagrał na płyty wszystkie dzieła Debussy'ego, Ravela i Mozarta (Angel Records). To imponujące przedsięwzięcie przybrało jeszcze szersze formy gdy Giesecking utrwalił na płycie szereg utworów Brahmsa, Mendelssohna i Griega. Zamierzał także dokończyć nagrywanie 32 Sonat Beethovena, z których większość ukaże się wkrótce w sprzedaży. Sądząc z jego płyt nagranych między latami 1923 a 1956, technika Gieseckinga wytrzymała próbę czasu. Na swoich ostatnich płytach artysta wykazał tę samą pianistyczną równowagę jaką cechuje jego pierwsze nagrania. Tak trwała techniczna fundacja Gieseckinga zawdzięcza przyrodzonym zdolnościom, oraz gruntownym studiom odbytym we właściwym czasie, które charakteryzuje ta sama systematyczność z jaką pielęgnował swój zbiór motyli.

Śluchając jego płyt Debussy'ego dochodzimy do przekonania, że właśnie wszechstronnie rozwinięta technika w połączeniu z czułym słuchem były tymi przymiotami, które umożliwiły Gieseckingowi przeistoczenie instrumentu w najbardziej intrygujący dźwiękowy kalejdoskop jaki kiedykolwiek wyprodukowały palce pianisty.

Żegnamy Gieseckinga... lecz powitajmy jego piękną sztukę na płytach, które nadal pozwolą nam podziwiać tę fantastyczną grę kolorów.

Jan HOLCMAN

O. Z. Turkiewicz

Jak donosiliśmy w ostatnim numerze Zygmunt Turkiewicz otrzymał doroczną nagrodę „Kultury”. Nie znam malarza na emigracji, który by na taką nagrodę bardziej zasługiwał. Artysta uparty, dociekliwy, nieustannie eksperymentujący, w pełni rozkwitu swego talentu i, pomimo paru otrzymanych nagród, samotny i zapoznany. Jego krystalizacja artystyczna odbywała się w warunkach — chciałem powiedzieć osobliwych, ale zdaje mi się, że trzeba by powiedzieć — prawie banalnych dla każdego artysty jego pokolenia. Któż rozwijał się normalnie!

Zaraz po dyplomie Akademii Warszawskiej (malarstwo sztalugowe u prof. Kowarskiego, malarstwo ściennie, tkactwo artystyczne, liternictwo), Turkiewicz bierze udział w kampanii wrześniowej, potem obozy na Łotwie, próba ucieczki do Szwecji, obozy rosyjskie i Łubianka w Moskwie. Wspólna cela z Anglikiem, który uciekł z obozu niemieckiego i wspomagany przez niezliczoną ilość Polaków, z którymi nawet dogadać się nie mógł, dotarł do granicy sowieckiej, a przekroczywszy ją, został aresztowany i przewieziony na Łubiankę. W tejże celi siedzi razem z Turkiewiczem i Anglikiem, ex-urzędnik ambasady sowieckiej w Londynie (za trockizm), katowany w Lefortowie, potem „gojony” na Łubiance, skąd znowu go wożono na nowe katowanie do Lefortowa. Czytali razem Szekspira, cenny, angielski egzemplarz miał dyplomata sowiecki w celi, i kłeli razem, że sążone im było urodzić się w tak okrutnych czasach.

Te miesiące Łubianki z Szekspirem i śledztwami musiały odegrać rolę w formacji psychicznej, więc i artystycznej, Turkiewicza nie mniejszą niż Akademia Warszawska. Spotkaliśmy się w obozie w Głazowcu, gadaliśmy wówczas godzinami o sztuce i o wspomnieniach. Opowiadał oszczędnie w słowach, ale jakże plastycznie, swoje przeżycia, zaczynając od własnej ucieczki, dwunastoletniego chłopca, z domu po nacytaniu się Karola Maya... do Afryki. Nie on jeden z domu uciekał, ale już charakterującym Turkiewicza faktem było to że niedotarłszy nie tylko do Afryki, ale do żadnej z granic Polski i wylądowawszy w jakiejś zapadłej wsi lubelskiej, nie dał się odstawić ciupasem, ale po najdziwniejszych przygodach trafił do Liceum Krzemienieckiego i dopiero po zdaniu tam matury odwiedził dom rodzinny.

Jeżeli może niezupełnie ściśle powtarzam strzępy tego, co mi Turkiewicz tyle lat temu opowiadał, to że łączy mi się to z samym charakterem jego malarstwa i całym stylem tego artysty, które bardziej niż u wielu innych tworzą jedność.

W Drugim Korpusie, od Turkiestanu do Ancony, Turkiewicz prowadzi dział plastyczny Oddziału Propagandy i Kultury. Pod jego bezpośrednim kierownictwem wykonywane są przez

braci Haar pomysłowe afisze, organizowane przez J. Jareme wystawy malarzy-żołnierzy polskich w Bagdadzie, Jerozolimie, Tel-Awivie, Kairze, Aleksandrii, Beyrucie, montowane konkursy malarzkie, nawet urlopy sześciotygodniowe dla malarzy w wojsku, by mieli czas „zaczepnąć powietrza” i jako malarze popracować. Ten malarz umiał jak niewielu artystów *organizować* pracę swego działu i konsekwentnie, spokojnie realizować różne, dość dla rutyny wojskowej osobliwe i nowe, pomysły.

Dopiero pod Monte Cassino Turkiewicz zostaje zwolniony na parę tygodni z kierownictwa działu plastyki i na ten czas otrzymuje jedno tylko zadanie: brać udział w akcji *jako rysownik*. Żadnych instrukcji, wskazówek natury artystycznej, zupełna wolność — niech patrzy i notuje jak kiedyś Constantin Guys, podczas kampanii krymskiej.

Turkiewicz jest na szlakach, które dowożą wszelki sprzęt aż od morza, jest w godzinie zero z 11-go na 12-ty maja na pierwszej linii frontu, jest przy natarciu w nocy z 16 na 17 maja, rysuje żołnierzy w natarciu, żołnierzy na czołgach, żołnierzy ładujących działa, rysuje Albanettę i „Widmo” i San Angelo, rozbitą statwę św. Benedykta i ruiny klasztoru Monte Cassino wśród zamartych drzew-kikutów.

Przeglądając ten album uderza mnie dziś, po latach, zwarłość tych form, traktowanie ciał ludzkich-brył zawsze wkomponowanych w całość. Te rysunki dają już przedsmak jego dzisiejszego malarstwa. Album tych rysunków piórkiem, ołówkiem, pędzlem od tuszu, opatrzone oszczędnym w słowach i żarliwym wstępem uczestnika walk, Bielatowicza, zdaje mi się rzetelnym sukcesem wydawniczym. Album powstał *wbrew* gustom tych „modernistów”, którzy odrzucali wówczas wszelką w sztuce „literaturę” i *wbrew* utartej wizji plastycznej wojny, która u każdego prawie Polaka szła nie od Samosierry Michałowskiego, ale od „Ułana i dziewczyny” Wojciecha Kossaka. Co za przepaść między światem tych form kossakowych i Turkiewiczem, przepaść większa jeszcze, bo o całą klasę plastyki, jak między stylem samej wojny 1920 i 1944 roku.

Malarstwo Turkiewicza z lat bardzo ciężkich, powojennej pracy w Anglii, to owoc pracy człowieka wolnego, który nigdy nie szukał jakby sztuką swoją spodobać się komuś i wołał zarabiać falcując gazety niż najmniejszemu w malarstwie ulec kompromisowi. Najsilniejsze wstrząsy plastyczne przeżył on nie w pracowni, ale w wędrówkach 2-go Korpusu. Przede wszystkim rewelacja Egiptu, po grobowcach faraonów freski Michała Anioła zdawały mu się nieuporządkowane i barbarzyńskie. Podczas kampanii włoskiej Turkiewicz odkrywa wczesne malarstwo włoskie. To drugi wstrząs. Nie tylko Masaccio i Giotto, ale może bardziej jeszcze ołtarze, krzyże malowane przez Cimabue, tam odkrywa głębię i gatunek zestawień barwnych.

Te wszystkie przeżycia przekreślają w nim widzenie postimpresjonistyczne, któremu i on w pewnym okresie ulegał. Przez pewien czas maluje formy płaskie, abstrakcyjne, potem znowu

transponuje naturę, patrzy na nią, ale już okiem świeżym z jakby oczyszczoną bardziej całościową wrażliwością. Zarzuciłbym mu może jeszcze nie zawsze jasny stosunek do trzy czy dwuwymiarowości płótna, który mąci jedność niektórych jego obrazów.

Te wszystkie próby, eksperymenty, poszukiwania prowadzi malarz bardzo samotny, coraz to z niesprawiedliwą bezwzględnością niszczący własny dorobek by zacząć od nowa. Działanie malarstwa Turkiewicza to mocna zwięzła kompozycja, rzadka wrażliwość barwna, przy dużej oszczędności środków. Turkiewicz jest żywym świadectwem, że istnieją jak istnieli zawsze malarze naprawdę niezależni, którzy umieją za tę wolność tajemną artysty płacić *całą cenę*.

J. Cz.

Ścieżki malarskie

ZAWADOWSKI, MAKOWSKI, KISLING

Kiedy Kapiści w 1924 roku lądowali w Paryżu, trochę starsi od nas, Makowski, Kisling, Zawadowski (dwaj ostatni, tak jak my, uczniowie Pankiewicza) byli już tutaj zadomowieni. Wszyscy trzej mieli takie czy inne powiązania ze Zborowskim, który wylansował Sutinę i Modiglianę. Był on obok Vollarda *marchand'em* chyba najwybitniejszym, o genialnym instynkcie odkrywczym.

Dziś na tej samej ulicy gdzie „urzędował” Zborowski, na zmianę w Gallerie Benezit „urzęduje” przyjaciółka Zborowskich i Modiglianę, pani Lunia. Przyjmuje wszystkich gościnnie jakby to był jej dworek. Każdy wyznawca Modiglianę pozna jej delikatne rysy według wiele razy reprodukowanych portretów, gdzie Modigliani uchwycił charakter jej twarzy, choć ją mocno przestylizował.

Zawadowski miał tu w listopadzie wystawę swych płócien: dorobek ostatniego roku. Znałem jego obrazy od 1924. Już wówczas „pismo” Zawadowskiego z daleka można było rozpoznać, zdawało mi się ono dość monotonne i pośpieszne. Po wojnie dopiero — a tej zimy w szczególności — jego obrazy dały mi szok, to uczucie jedyności, które cechuje przeżycie artystyczne. Właśnie charakter położenia farby zaledwie od tamtych czasów zmieniony, to „pismo” właśnie, które mi się kiedyś wydawało monotonne — *żyje*. Jest i było zawsze pozbawione maniery, dopasowania się do takiej czy innej mody, lub podkreślania świadomego co samemu artyście zdaje się być jego orygi-

nalnością, w rzeczywistości nieistniejącą czy przez uparte podkreślenie zafalszowaną. Iluż malarzy zagubiło się przez pragnienie tego co Francuzi nazywają „zaczepienie oka” widza, przez głód szybkiego sukcesu, nacisk mody czy przez deformującą instynkt malarski artysty — interesowność.

Pamiętam pewnego malarza z lat trzydziestych jak przybiegł zadyszany do kawiarni Dôme na Montparnasse z nowiną: „trzeba malować śnieg — tej zimy będą kupować śnieg, wiem to od *marchand'a*!” Jeszcze widzę wyraz pogardy Waliszewskiego po wysłuchaniu tej merkantylnej instrukcji. Waliszewski wiedział, że „wolność tajemna” gra również w wyborze tematu, a ten malarz z Dôme'u gorzko zapłacił za swoją zbyt pilną uległość wobec *marchand'ów*. Inny malarz, już dziś znany w Paryżu, powiedział mi parę lat temu: „cały rynek zawalony jest Picassem i Matissem, trzeba wymyśleć jakiś *nowy trick*”. Przestałem go od tego czasu widywać.

Otóż Zawadowski żadnego *tricku* nie wymyślił, malował, jak tyłu innych, pejzaże południowe i słoneczne. Dziś, po latach, jego arabeska jest czujniejsza, ta sama co dawniej wybuchowość widzenia, ale sam dźwięk farby zdaje się pewniejszy i subtelniejszy w bogactwie walorowych odcieni.

Wszystkie porównania są niebezpieczne i po jakimś naciągnięciu, ale patrząc na te płótna myślę o Sutinie, chociaż źródło wybuchowości Zawadowskiego jest przeciwne tragicznemu Sutinowi, bo zdaje się esencją radości życia. Przedmioty, postacie toną w świetlnych plamach napływających na siebie. Powietrze wdiera się we wszystkie zakątki tych bardzo syntetycznych płócien. Jego martwe, pejzaże nigdy nie są *przedtem* abstrakcyjnie pomyślaną kompozycją, jako płaszczyzna wyłącznie, pokryta liniami i plamami. Są one jeszcze i zawsze skrawkiem bujnej natury, która żyje życiem własnym: gliniane naczynie do wody, czarne winogrona na różowym murze, a zaraz obok ciemne wnętrza kuchni. Te obrazy są wrośnięte w życie codzienne jak martwe Chardinowskie były w życie Chardina wrośnięte. Ta kuchnia wcale nie istnieje dla sztuki, ale żeby w niej smażyć i gotować, a winogrona są na pewno do jedzenia. Mówię tu słowa, które okryją mnie wzgardą wyznawców czystej czy prawie czystej abstrakcji, ale ta wierność ziemi, związek bezpośredni form tego życia z malarstwem w które je artysta przemienia, ta czułość natury i wobec niej pokora, to wyraz niezzerwanej tradycji (*jednej* z tradycji), nie tylko od Dürera, Chardina czy Theodora Rousseau, Courbeta, Maneta czy Bonnard, ale od zawsze, od hiszpańskich bodegonów, aż po greckie i rzymskie xeniony. Naprawdę że wobec takich płócien, homeryckie boje o sztukę realistyczną czy abstrakcyjną zdają się walkami wokół problemu fałszywie postawionego, jeszcze i zawsze skutkiem tego co stary Pankiewicz z pasją nazywał „rozkawałkowaniem sztuki”, wskazując na Davida jako na głównego winowajcę tego rozkawałkowania.

Wystawa Zawadowskiego na rue de la Seine, w sercu ma-

larskiego Paryża, to nitka niezerwana nie byle jakiej polskiej tradycji.

Makowski, Kisling, Zawadowski — „sława i chwala” — ten tytuł powieści Iwaszkiewicza pasuje mi do moich wspomnień o tych trzech artystach. Do jakiego stopnia sława nie znaczy *nic*. Ani w sensie pozytywnym, ani zresztą ujemnym. Ile razy sława zależy od czynników drugo- i trzeciorzędnych, mody zręcznej reklamy, wypadku — geniusz, autentyczność wizji stają jej sto razy w poprzek drogi, bo mają inną zupełnie hierarchię wartości, inną logikę rozwoju, bo rzadko płyną z prądem, a nowe prądy tworzą. Jeżeli nędza i chłód otoczenia zabijały niejednego talent (usypiającym odpowiedzialność, uwalniającym nas od czynnej uwagi jest frazes, że prawdziwy talent zawsze się wybija) to ilu również zabita sława ciężko zdobyta. Gorzkie powiedzonko francuskie: „doszedłem” (*je suis arrivé*), ale „w jakim stanie” tyczy niejednego malarza.

Z tej trójki jeden Kisling doszedł za życia do sławy. Jest na giełdzie malarskiej do dziś notowany i dziś jeszcze widzimy w luksusowych pismach ogłaszające się eleganckie galerie obrazów z portretem kobiety o oczach jak śliwki, naturalnie Kislinga. Należał do paru najwięcej znanych przez *szeroką* publiczność przedstawicieli Ecole de Paris. W latach trzydziestych jego obrazy były gwoździem salonów. To portret sławnej aktorki, to akt wylizany i do tego modernistyczny, to koronki tualety wymalowane z fałszywą naiwnością pod Douanier-Rousseau i zawsze te kolory o błysku anilinowym bez głębi sutinowskiego akordu. Kisling był człowiekiem dużego talentu i temperamentu, był jednocześnie człowiekiem miłym, prostym, koleżeńskim, ale sława jego była nieporozumieniem, czujnie starannie montowanym sukcesem — nic więcej.

Jedno z nim spotkanie w Paryżu, w 1935, utkwilo mi w pamięci. Już u szczytu powodzenia wyglądał zgaszony i wyczerpany: „Już nie mogę, nie mam już siły, tak cały dzień malować, a wieczorem pić z Amerykankami”. „Więc po co pan pije?” — spytałem. „Bo inaczej nie kupują. Muszę przecież obrazy sprzedawać”. Po chwili milczenia z pasją: „Malarstwo musi się *podobac*, reszta to wszystko zawracanie głowy. Bujda ta malarska niezależność!” — mówił z goryczą. Ten człowiek sukcesu, najweselszy kompan i kolega, wydał mi się nagle własną swoją sławą zaszczuty.

Jakże inny był Makowski — smutny samotnik. Miał za życia paru przyjaciół-entuzjastów, paru kolekcjonerów (bardzo piękną martwą Makowskiego odkryłem w kolekcji Girardina, parę jego obrazów złożył w darze Muzeum w Pradze pewien kolekcjoner francuski, który się w czasie wojny ukrywał w Czechach), ale na szerokie wody sławy, na paryską *giełdę* malarską nie wypłynął. W Polsce, dzięki wytrwałej walce o niego między innymi jego przyjaciela prof. Sienkiewicza, był już przed wojną ceniony, ale uczczony został naprawdę dopiero w roku ubiegłym, gdy zbiegła się z wystawą francuską w Warszawie jego zbiorowa wystawa w Muzeum Narodowym. Była dla wielu odkryciem i zdobyła mu entuzjastów wśród krytyki i młodzieży malarskiej. Jeszcze dziś widzę jego wysoką postać, w długiej półciemnej pracowni na avenue du Maine, uprzejmość wytworną, trochę nonszalancką, z dystansem i ten wyraz jakby nieobecny. Pewno nie umiał bić się o swoje miejsce, nawet trudno mu było chyba z ludźmi obcować. Był pochłonięty swoim widzeniem świata, swoją poezją kameralną, tą „*petite sensation*” (słowa Cézanne’a), której i dla której do śmierci szukał wyrazu.

Zawadowski w tamtych czasach był znów inny jeszcze: wcale nie samotnik, bezpośredni jak Kisling, koleżeński, wybuchowo wesoly i żywotny (miał też i ma swoich kolekcjonerów i przyjaciół, do nich należał dyrektor Biblioteki Polskiej Francjuszek Puławski). Zawadowski, tak jak i Makowski nie osiągnął na bruku paryskim sławy kislingowskiej, a w Polsce zdaje mi się wciąż dalej niedoceniony. Inną drogą poszedł Kisling i do innego świata przeżyć dotarł. Patrząc dziś na obrazy pełne świeżości tego gospodarza z Aix, widzimy jak ten artysta daje nam dziś, po latach pracy, dzieła młode, wciąż się rozświetlające i pogłębiające.

Chanel — wieloletnia dyktatorka mody Paryża — miała powiedzieć (cytuje za Cocteau): „Moda tworzy rzeczy piękne, które stają się z czasem brzydkie, sztuka rzeczy brzydkie, które stają się z czasem piękne”. Na wielkiej wystawie zeszłorocznej Matisse’a spotykam młodą kobietę, elegancką i do tego o żywym zainteresowaniu malarstwem. Chodzi po wystawie oczarowana „Co za gust, co za dobry smak”. Zaśmiałem się trochę kwaśno. Jestem już dość stary aby pamiętać, jak eleganckie panie, równie wrażliwe na malarstwo, reagowały na Matisse’a gdy dopiero zaczynał być sławą. Chwytały się zgorszone za głowę: „Cóż za brak smaku!”.

Kisling chciał być koniecznie zaraz wielkim, atrakcyjnym, modnym. Było mu śpieszno, może dlatego tyle jego obrazów zdaje się nam taką „blachą”, tak bez wewnętrznego istnienia. Zawadowskiego płótna ukazują się nam dziś tak świeże bo na pewno niczym i dla niczego nie gwałcił swego dojrzewania artystycznego, swej malarskiej konieczności.

I to jest *chwala* Zawadowskiego.

BUFFET

„Sukces — i owszem — rozpaja”. Czy groźba ta nie wisi nad Buffetem z jego zawrotną karierą? Dwadzieścia osiem lat, wszystkie obrazy sprzedane „na pniu”. Wystawa tegoroczna cała zakupiona „przez telefon z fotografii”, jak piszą gazety (700.000 do 1.200.000 za sztukę). „Express” donosi że wymalował w dziesięć lat 5.000 obrazów, więcej niż Delacroix przez całe życie. „Arts” występuje w jego obronie twierdząc, że tylko 2.500!

Wielki talent, więcej — wizja świata ponura, gwałtowna, desperacka, ale autentyczna. Niesłychana wydajność pracy — mówią o trzech obrazach dziennie. Pono dziś, gdyby malował dziesięć razy więcej, byłoby jeszcze za mało, taki jest na jego obrazy popyt. Pałac w Seine et Oise, pałac w Prowancji, Rolls Royce szaro-czarnej „maści” jego płócien. Jakże daleko jesteśmy od malarzy wyklętych XIX wieku — to prędzej rubensowska tradycja. Rubens na pewno by dziś także miał Rolls'a.

Obecnie otwarta wystawa artysty, to 21 płócien, wielkich pejzaży paryskich w szaro srebrnym tonie. Cóż za monotonia, dzika, obsesyjna. Jest siła w tej monotonii, w tym chłódzie lodowatym, w tym zgłajchszaltowaniu wszystkiego. Od wieży Eiffla, kolumny z Placu Bastylli, Place des Vosges, aż po puste ulice Montmartru, wszystko jest wyciągnięte i suche, jak podpis Buffeta. „Pad strunku” mówią Rosjanie. Rysunek jakby wykonany elektryczną spawarką i on dominuje w całym malarstwie Buffeta. To odwrócenie od cézannowskiego budowania, formy kolorem, brutalnie przy tym podkreślony nawrót do perspektywy klasycznej, to jest bodaj nowość Buffeta. Zgranie nawet subtelne paru zaledwie tonów czy prędkiej odcieni, ale wszystkie obrazy wydają się obrazem wciąż jeszcze jednym, powtarzającym się, lub serią kartek pocztowych parometrowych rozmiarów. Patrząc na nie zrobiło mi się nagle straszliwie nudno.

Czy to wielka sztuka? Czy coś z niej zostanie po latach, czy to może tylko akcje, które w pewnej chwili runą na łeb na szyję, bez żadnej chwały? Mówię to z żalem. Jego wielkie trzy płótna „Okropności wojny” i szereg do nich rysunków zakoloryowanych, szkiców (pisał o nich Colin w „Kulturze” w 1954 roku), jego niektóre martwe czy portrety a może przede wszystkim te koszmarnie postacie nagich istot o wydętych brzuchach na zielonych kanapach, ponurych mieszczańskich salonów, wszystkie te obrazy dały mi w swoim czasie więcej niż nadzieję, pewność, że Buffet jest wielkim malarzem. Ciekawe byłoby wiedzieć czy w tej ubogiej monotonii jest tylko замуrowanie psychiczne samego artysty, czy jest też wpływ *marchand*ów, dbających o to, by Buffet był tak zawsze do siebie podobny i wskutek tego coraz łatwiej sprzedażny. Nie wierzę jednak by tego rodzaju styl malarski mógł być z zewnątrz narzucony, ale wpływ może działać na zawrotne tempo produkcji — to zaś na coraz bardziej *mechaniczne* powtarzanie siebie. Czy Buffet nie jest Kislingiem naszych czasów, czy i on w pewnej chwili nie jęknie: „Już nie mam sił”, czy i on nie padnie *saszczuty sławą*.

JAN CYBIS

Na wystawie, w Musée de l'Art Moderne, obrazów nagrodzonych przez Guggenheima, wystawiało dwoje Polaków: Jan Cybis i Maria Jarema. Ten pokaz przypominał mi Biennale w Sao Paulo w 1954 roku. W specjalnie wystawionych na ten

cel dwóch pięknych gmachach Niemayera, chyba największego architekta Brazylii, w gmachach o kształtach najprostszych, połączonych łukiem galerii, w kilkunastu jasnych salach, na dwóch piętrach powiązanych nie schodami, ale z lekka wznoszącą się podłogą, wisiało i stało chyba parę tysięcy eksponatów z całego świata. Leger zdobył tam wielką nagrodę. W moim wspomnieniu abstrakcjonizm panował tam prawie niepodzielnie. W dziale holenderskim zabląkał się mały autoportret Van Gogha, stała przy nim warta „Ten obraz jest pono wart więcej, niż cała wystawa”, powiedział nam poufnie wartownik. Patrząc wówczas na niektóre obrazy, gdzie jeszcze można było natrafić na ślady przedmiotów czy postaci, miało się wrażenie, że artysta coraz to maskuje wstydliwie tę haniebną wsteczność.

Tu, w Paryżu, dominacja abstrakcjonizmu od konstruktywistów do taszystów jest również widoczna, choć nierównie słabsza niż w Anglii, Belgii, czy Brazylii. Mówię o krajach w których to mogłem zaobserwować. Nie tylko młodzież, może bardziej jeszcze dyrektorzy galerii na Zachodzie stwarzają tę atmosferę, bo sami w czambuł ulegli magii tych kierunków. „Nasi poprzednicy nie poznali się na Cézannie, bronili akademizmu”, zdają się myśleć „teraz już nie damy się wyprowadzić nikomu”. Wierzą, że abstrakcjonizm właśnie, i on jedynie, nosi w sobie ziarno przyszłej sztuki. Nie jestem wcale pewny, czy i teraz nie bronią w bardzo wielu wypadkach (jak kiedyś Nieuwerkerke za Napoleona III) akademizmu ale nowego na już blisko pięćdziesięcioletniej tradycji Duchamp, Malewicza, Kandinskiego czy Mondriana.

Przypomina mi się jedna analogia sukcesu abstrakcjonistów — triumf kubizmu w Paryżu w latach 1925-1927. Wystawa kubistów całego świata w Orangerie, bodajże w 1926 roku, była wyrazem tego triumfu. Można było wówczas oglądać kubizowane fajki i kubizowane mandoliny w wersjach chilijskiej, lotewskiej, polskiej czy tureckiej. Wówczas dla każdej paniienki przybywającej do Paryża z Honolulu czy z Krakowa kubizm był dogmatem nowoczesności, zwrotnicą dziejów. Jeden z ówczesnych krytyków paryskich Klingsor, pisał, że każda panna na każdej akademii dwadzieścia lat temu malowała z natury, teraz z natury nie maluje nikt. (Klingsor przecie przesadzał).

Guggenheimowska wystawa z Musée de l'Art Moderne tej zimy miała cechy tamtej wystawy sprzed laty z Orangerie. Tylko, że tam zwycięski był kubizm, a tutaj abstrakcjonizm.

Pierwsze wrażenie: płaszczyzny zalane gwałtownymi kolorami w desenie elementarne i polakierowane (Dania), plamy brunatne i żółte rozlane chropawo i „smacznie” czy znów linie wprowadzone z elegancją precyzją kreślarza-stylizatora (Anglia), trochę płócien figuralnych zaczepionych o surrealizm (Jugostawia), jakieś tepe naśladownictwo Bonnarda (zdaje się Niemcy), aniliny Matty, nie najlepszy Portinari, nudny Gromaire (jak można porównywać do niego Makowskiego!). Z niepokojem szedłem dalej ku obrazom Cybisa, malarza od tyłu lat niewi-

dzianego i od tyłu lat odciętego od prądów Zachodu. Abstrakcyjne obrazy Marii Jaremy wiszące obok obrazów Cybisa były bezporównania bardziej współczesne z otoczeniem płócien, przeważnie abstrakcyjnych. Trzy nieduże obrazy Cybisa(*) odcinały się od wszystkich i były w założeniu swym zupełnie inne. Te barwy przełamane i w tysiączne akordy wiązane, wyrosły z nieustannej obserwacji i pracy „na naturze”. To działanie „szep-tane”: ramię kobiety, cytryna czy jabłko świecące jak słońce i chromatyka subtelna brązów i żółci, szarych niebieskości pejzażu — przeżycie jakie się ma przy dźwięku rzadkiego drogo-cennego instrumentu, przed niespotykanym i pełnym akordem. Czy można dojść do malarskiego przeżycia, jeżeli się tej muzyki nie czuje? Pewno tak, bo jest milion dróg do malarstwa. Ale to wiem na pewno, że do takiej muzyki malarz dochodzi przez długie, bardzo długie docieranie do jedynego dla każdego z nas wątku. Kiedy zrozumie, że mody mijają, że kierunki wzajemne i buńczucznie się wykluczające mijają również i zostaje ta *petite sensation*, kiedy zrozumie, że tylko na drodze coraz ściślejszego wypowiedzenia tego malutkiego własnego doznania, wyluskanego niepośpiesznie, latami, z wpływów ambicji powierzchownych, można osiągnąć pełnię swej sztuki. Patrząc na Cybisa myślałem ile zawdzięcza Cézanne'owi i Bonnardowi. Więc Cézannista, Bonnardysta, więc epigon?

Tu zdaje się dochodzimy do problemu wielkiej wagi. Dyskusje o malarstwie wpadają najłatwiej w tę jałową koleinę: kto jest porwany przez ostatnie „nowinki” jest snob, kto wierny swemu widzeniu, pogłębia to widzenie związane, zaczepione o mistrza czy mistrzów, którzy przestali być ostatnim krzykiem, jest epigon. Kiedy snobi i epigoni są wszędzie — na tej i na tamtej drodze. Były i zawsze będą tysiące mniej lub więcej zręcznych naśladowców, coż za różnica czy naśladować starych mistrzów czy nowinki. Garstka malarzy, którzy idą za swoją wewnętrzną koniecznością dla nich samych nieraz ciemną, niezależnie od przy-czepianej im etykiety, i którzy jeszcze do końca życia nieraz przeżywają chwilę wątpliwości czy naprawdę cokolwiek wyrazić potrafili („czułem się taki miękki choć mój rachunek zdawał mi się tak wierny” — mówił stary Degas**). Ta garstka w każdym pokoleniu jest szczupła. Bonnard zdaje mi się przykładem typowym tego uporu z jakim, przeważnie wbrew wszystkim, malarz idzie swoją ścieżką. Podczas rewolucji kubistycznej pytano go dlaczego nie włączył się w prąd zwycięski. „Dajcie mi spokój — powiedział — jestem tylko skromnym impresjonistą (*un pauvre*

(*) Jeden z nich zakupiła Redakcja „Kultury”. — Przyp. Red.

(**) „Byłem, czy zdawałem się być tak twardy ze wszystkimi, przez rodzaj treningu brutalności, który pochodził z moich wątpliwości, mego złego humoru. Czulem się tak nieporadny, tak niewyposażony w narzędzia, tak miękki, kiedy zdawało się że moje rachunki w sztuce były tak wierny”.

(List Nr 133 w „Lettres de Degas”, wyd. Grasset).

impressionniste”). Musiał się przy tym uśmiechnąć dobrodusznie, dzieciennie, a może nawet trochę chytrze.

Jeszcze w 1925 roku poklepywali go „nowocześni” po ramieniu („Bonnard na trycyklu nie może dogonić Picassa i Legera w Rolls-Royce'ach i Bugatti'ch”). Bonnard nie dał się zwieść syrenom, drażył swoją *petite sensation* i brał miód gdzie mu się podobało, i od starych mistrzów i od abstrakcjonistów ostatniej doby, ale przede wszystkim i do ostatniego tchu w miłostnej, nieustannej kontemplacji natury, przy zastawionym owocami stole, na tle białych drzwi czy kaloryferu, przy drzwiach łazienki, czy na pejzażu, skąd w latach ostatnich wracał dźwigając tłustego jamnika, by się nie zmęczył.

Patrząc z zachwytem na obrazy Cybisa myślałem o tym przykładzie uporu, pokory, miłości natury i malarstwa, o tym przykładzie wielkiej sztuki. Jakże daleko jesteśmy od Buffetów i Kislingów. Głęboki związek Cybisa nie tylko z malarstwem, ale ze stylem pracy starego mistrza odczułem patrząc na jego obrazy.

Chcę skończyć to rozważanie ustępem z tylko co otrzymanego listu od francuskiego malarza:

„Istotne są miłość i uwaga tego co odkrywasz pracując. Te okruciny nierównane, ile prawdziwej pokory by je zachować, przyjąć, że masz prawo kłaść na płótno tych tylko kilka okrucichów prawdziwych i mieć odwagę przyjąć, że płótno będzie nie do przyjęcia dla nikogo.

Jesteśmy straceni kiedy nieznacznie oddalamy się od tych okrucichów wizji i zaczynamy się zastanawiać jak wygląda w oczach innych płótno które malujemy. Gwizdać powinniśmy sobie na to jak płótno „wygląda”. Nie mamy żadnego obowiązku wierności w stosunku do świata, ani w stosunku do tego cośmy malowali dotychczas, jedyna wierność to przyjąć to posuwanie się wąskim śladem, w głąb tych okrucichów doznań przedziwnych, ku nieznanemu i groźnemu, do którego dotrzeć musimy”.

Zdaje mi się że ten malarz francuski wyraził najpiękniej nie swój tylko ale i Cybisa stosunek do pracy artysty.

Józef CZAPSKI

Literatura emigracyjna

Ankieta „Kultury” stara się zestawić materiał do uogólnień z wypowiedzi pisarzy na temat kontrowersji rozgorzałych w przedmiocie stosunku literatów emigracyjnych do Kraju. Niezawodnie Zespół „Kultury” postara się wypowiedzi te przeanalizować,

scalać i omówić pod kątem widzenia wniosków i postanowień Zespołu.

Wyda mi się, że owe przyszłe omówienie wyników ankiety mogłoby zyskać na wyrazistości gdyby uwzględniono w nim również i to co na temat kontrowersji może myśleć przeciętny, niezależny inteligent emigracyjny. „Niezależny” w tym kontekście oznacza oczywista, że jest on nie obciążony rangą pisarza ani też odpowiedzialnością członka zespołu redakcyjnego czy innego ciała zbiorowego. Dlatego wnoszę o wzięcie pod uwagę następujących uwag.

1. Kto to jest pisarz?

Na ogół panuje zgodność co do założenia że główne znaczenie pisarza istnieje w zakresie kultury. (Nawiasem mówiąc w uchwale Związku Pisarzy na Obczyźnie, stanowiącej punkt wyjścia ankiety, uderzyć musi brak jakiegokolwiek wzmianki o „kulturze” czy „znaczeniu kulturalnym”).

Kultura należy do wyrażen notorycznie mglistych. Wystarczy przyjrzeć się uważniej aby łatwo spostrzec, że każdy prawie kto używa tego wyrażenia świadomie — to znaczy zdaje sobie dokładnie sprawę z tego co tym terminem nazywa — używa go w nieco innym znaczeniu i oznacza nim nieco inny zakres rzeczywistości niż inni użytkownicy tegoż słowa. Dlatego też, jeżeli czyjeś wypowiedzi na temat kultury chcemy traktować poważnie — słuszne jest wymagać aby poprzedzone były one definicją lub opisem treści tego terminu.

Każda grupa społeczna, którą można uważać za całość, staje się tą całością na mocy działania pewnych powiązań strukturalnych. Mówiąc pojęciami matematycznymi, można by stwierdzić że grupa społeczna, stanowiąca pewną całość nie jest po prostu „zbiorem” jednostek ludzkich, ale jest „zbiorem uporządkowanym” a jego „relacja porządkująca” ma więcej niż jeden wymiar.

Jedne z powiązań społecznych (jeden z wymiarów relacji porządkującej — w języku logiki matematycznej) są „niematerialne” i stanowią kulturę grupy. Inne są „materialne” i stanowią jej cywilizację. Jest to, naturalnie, wysoce uproszczony szkic tylko, ale dla naszego celu może wystarczyć. Kulturą nazywam zatem cały system, całkowity zakres: wierzeń, przesądów, zwyczajów, zasad i rytuałów jakie stanowią „relację porządkującą” grupy. Cywilizacją zaś nazywam całokształt systemu urządzeń przeznaczonych dla ochrony i ułatwienia „życia” gromady: budowlę, drogi, odzież, narzędzia, ustrój gospodarczy, metody techniczne, systemy prawne ograniczeń i przymusów i temu podobne.

Pomiędzy tymi dwoma zakresami rzeczywistości — kulturą i cywilizacją — istnieje na pewno jakiś stosunek wzajemnych oddziaływań i zależności, ale są to jednak zakresy o tyle odręb-

ne, że można, na przykład, odróżniać różne grupy kulturalne w obrębie tej samej cywilizacji, czy też różne cywilizacje rozwijające się na gruncie tej samej kultury.

Gdzież zatem znajduje się rola i znaczenie pisarza, czy w ogóle literatury, w tak rozumianym kompleksie zjawisk kulturalno-cywilizacyjnych?

Odpowiedź znajdziemy łatwo, pamiętając że kultura nie jest systemem statycznym lecz dynamicznym. Nie tylko przekształca się on i rozwija, ale musi również przysposabiać i adoptować nowoprzybywające do gromady jednostki ludzkie. W dynamice kultury — jakkolwiekbyśmy ją pojmować czy jako proces maturacji teleologicznej, czy jako proces dialektyczny (w sensie heglowskim) — rola literatury jest dwojaka: pomoc w szczepieniu i hodowaniu pierwiastków kultury w nowych i dawnych członkach grupy, oraz stanowisko terenu doświadczalnego, teoretyczno-laboratoryjnego, gdzie alternatywne możliwości dynamiki kultury dają się wyrażać w „fikcji” a przez to próbować rozumowo i emocjonalnie zanim możliwości takie przeobrażą się w rzeczywistość lub ulegną odrzuceniu.

Nie znaczy to, oczywiście, aby każdy pisarz miał być świadomym promotorem prądów, nastawień, potrzeb czy innowacji kulturalnych. Przeważnie tak nie jest. Pisarz nie ma dostatecznej perspektywy wobec własnej twórczości aby rozumieć jej pozycję w dynamice kultury. Wystarcza jednak że jest intelektualnie wrażliwym członkiem swej grupy kulturalnej ze skłonnością do formułowania i wyrażania swych doznań (co nazywamy talentem) aby, przy integralności i „uczciwości” artystycznej — swą rolę kulturalną wypełniał skutecznie.

2. Pisarz emigracyjny.

Grupa kulturalna którą nazywamy „Kraj” została w wyniku wojny poddana gwałtowni zaborcy. Zainicjował on i wymusił wprowadzenie szeregu drastycznych modyfikacji tak do systemu kultury jak systemu cywilizacji. Przede wszystkim i najradykałniej w tym drugim zakresie.

Drobna — w stosunku do Kraju — grupa kulturalna, którą nazywamy „emigracją polityczną” uniezależniła się od gwałtu zaborcy drogą czysto mechanicznych przesunięć geograficznych, zdobywając tym sposobem możliwość kontynuowania rozwoju własnej kultury w środowiskach obcych systemów cywilizacyjnych. Motywem działania jest tu, w zasadzie, przekonanie że przez to można uchronić od zniszczenia ważne i cenne pierwiastki kultury narodowej. To jest jedyny motyw kulturalny jaki może usprawiedliwić i „uspołecznicić” realną przyczynę emigracji jaką jest potrzeba chronienia się przed indywidualnymi skutkami terroru i gwałtu zaborcy.

Pisarz jest zatem „pisarzem emigracyjnym” tylko wtedy i tylko w takim stopniu w jakim jego twórczość jest pochodną

dynamiki kulturalnej niezależnej od zaborcy — a więc emigracyjnej.

3. Rewolucja krajowa.

Dyskusje i kontrowersje pomiędzy pisarzami emigracyjnymi powstały w wyniku przewrotu, czy też rewolucji, dokonującej się w Kraju. Przewrót ten można formułować z różnych punktów widzenia — nas obchodzi tu, w tych rozważaniach, punkt widzenia zagadnień kulturalnych. W tym zakresie obecny przewrót można określić jako proces uniezależniania się Kraju od przymusu zaborcy w dziedzinie kultury, przy dalszym trwaniu tego przymusu, niemal w całości, w dziedzinie cywilizacji. To zresztą, że ustał jakoby gwałt zaborcy w zakresie kultury wnioskujemy na podstawie wciąż nie zupełnie jeszcze dostatecznych informacji i danych. Ale, jeżeli nawet owo wnioskowanie jest słuszne, to nie znaczy wcale aby dynamika kultury narodowej została już w pełni oswobodzona. Wobec istniejącego przymusu cywilizacyjnego kultura jest w dalszym ciągu poddana znacznemu naciskowi monopolistycznego, totalnego systemu filozoficznego.

W tej sytuacji postawa pisarza, jak i każdego intelektualnie wrażliwego emigranta, może przybrać jedną z następujących postaci:

a) System cywilizacji rozwijający się pod przymusem stanowi nieznosne okaleczenie możliwości i potrzeb rozwojowych społeczeństwa w tej dziedzinie i jest wobec tego nie do przyjęcia nawet przy ewentualnym ustaniu bezpośredniego nacisku na system kulturalny. Ustanie gwałtu nie wystarczy, konieczna jest restauracja. (Taka postawa prowadzi do tego, co słusznie należałoby określić mianem „biała emigracja”).

b) Przymus monopolistycznej doktryny filozoficznej uniemożliwia dojrzewanie genetycznie naturalnych procesów kultury narodowej, czy też zniekształca procesy tych dialektykę w sposób nieodwracalny. Potrzebne jest zatem zachowanie i uprawianie choćby ograniczonego terenu swobodnej dynamiki kultury narodowej dla przeciwdziałania w ten sposób jej kalectwu.

c) Przymus totalnego systemu filozoficznego nigdy nie może być kompletny i zawsze pozostawia taki zakres swobodnej dynamiki kulturalnej, że sam rozwój czynników kultury musi, prędzej czy później, przymus ten przerosnąć i przemóc. Świadoma akcja pisarza potrafi przyczyniać się skutecznie do przyspieszenia tego procesu.

d) Zasadnicze linie dynamiki kulturalnej, choć narzucone przez monopolistyczny system filozoficzny, w znacznej mierze wynikają z potrzeb i dążeń genetycznych systemu kultury narodowej i po zneutralizowaniu pewnych wybujałości czy usterek mogą, czy nawet powinny być poparte w interesie całej grupy kulturalnej.

Nie trzeba przypuszczać że pomiędzy poszczególnymi, teoretycznie wyznaczonymi postawami w rzeczywistości granice są ostre jak cięcia lancetem. Przeciwnie, są one jak pełne spectrum przełamanego przez kryształ promienia — od podczerwieni do ultrafioletu.

Pisarze emigracyjni którzy zajmują postawę a) lub b) mogą (i powinni) podpisać się pod uchwałą Związku Pisarzy, mimo że uchwała ta powzięta została w warunkach urągających obyczajom organizacji demokratycznych, że przekracza ona najszerzej nawet pojęcie zadania Związku jako organizacji zawodowej, oraz, a właściwie przede wszystkim, że została ona sformułowana tandetnie i niechlujnie.

Pisarze emigracyjni zaś, którzy zajmują postawę c) lub d) — choćby pozostali na obczyźnie i choćby stanowili opozycję wobec materializmu dialektycznego — właściwie przestają być emigrantami politycznymi.

4. Coda.

Uwagi powyższe można by uznać za stwierdzenia trywialne; niestety, argumentacje i wyjaśnienia we wszystkich prawie odpowiedziach ankietowych nasuwają wątpliwości, czy autorzy tych wypowiedzi zdają sobie w istocie dość jasno sprawę z własnej pozycji, jako pisarzy, w kompleksie zjawisk kulturalno-cywilizacyjnych w ogóle, a z konsekwencji statusu pisarza emigracyjnego w szczególności. Stosunek do uchwały Związku oparty jest na motywach zupełnie innej kategorii. Zasadniczy z tych motywów, choć nie wyrażony *explicite* wylania się z odpowiedzi najzupełniej jasno. Pisarze czują wyraźnie, że pracują twórczo w pustce, w zastraszającej próżni. Twórczość nie znajduje odbiorcy. Oczywiście, chodzi o Odbiorcę nie zaś po prostu o czytelnika. Nie każdy zaś może być tak samowystarczalny w zadowoleniu z własnego geniusza jak Gombrowicz, czy z własnego gestu protestacyjnego jak Pablo Casals.

Pisarze w Kraju mają, najoczywściej, duże grona odbiorców i wielkie masy czytelników. Sytuacja jest na pewno wysoce kusząca, szczególnie jeżeli pisarz nie przeanalizował dokładnie swej postawy intelektualnej wobec rzeczywistości krajowej i nie zdecydował gdzie się znajduje, na dość elastycznej skali, pomiędzy pozycjami b) i c). Stąd skłonności do szukania złudzeń i ulegania pseudo-motywacjom.

Na przykład porównania z cenzurą carską. Zdumiewać się można jak defekt takiego porównania wymykać się potrafi uwadze. Ówczesny ucisk nie był totalny. Prywatny wydawca mógł współdziałać z autorem w obejściu cenzora. Cenzura była przecież czysto formalna — dotyczyła słów i wyrażeń niemal jedynie. Była ona dokuczliwym nonsensem ale nie mogła oddzielić intelektualnie czytelnika od pisarza. Przeciwnie, procy aluzji nadawała ona moc ciężkiej artylerii. Dziś wydawcą, jedynym, jest sam cenzor. Cenzura jego jest też zupełnie inna. Jeżeli poprzed-

nią można by porównać do lustra na którym naklejone są paski czarnego papieru a przeto odbijającego osobowość autora z pewnymi lukami, których się trzeba (i można) domyslać — to dzisiejsza cenzura jest lunaparkowym zwierciadłem deformującym.

Myśl pisarza może być zdeformowana nie tylko przez to co się w jego pracy przeinaczy lub naświetli. Również, a może jeszcze bardziej, przez to co się z jego pracy *wybierze* do publikacji. Ale... jasne jest, że nie każdy pisarz będzie tym sposobem zdeformowany i nie każda twórczość musi się selektywnej reprodukcji obawiać. Tylko należy sobie jasno zdawać sprawę, że jest to zjawisko zupełnie szczególne: cenzura totalnego systemu filozoficznego. Pewne wyobrażenie (choć wciąż niedostateczne) o charakterze takiej cenzury mogą mieć ci pisarze, którzy kiedykolwiek próbowali pisać dla wydawnictw umieszczających „imprimatur” na odwrocie karty tytułowej.

Myślenie, już nie tylko w kategoriach potępień, ale choćby dezaprobaty o pisarzu, który zdecyduje się na próbę uzyskania czytelnika krajowego jest oczywistym nonsensem. Oskarżenia o odstępstwo czy „zdradę” byłyby po prostu tak śmieszne jak gestykulacja mechanicznego pajaca. Ale równocześnie należałoby poważnie wątpić w intelektualną dojrzałość pisarza, który drukując w Kraju, chciałby uważać się za rzeczownika czy przedstawiciela lub nawet zwykłego członka emigracji *politycznej*. Nie można, mówiąc przysłowiem angielskim, zjeść ciastko i mieć ciastko.

Do wysoce zabawnych złudzeń należy przekonanie, że można uniknąć konsekwencji wyboru przez gest ekspiacji — rezygnację z zapłaty. Cała motywacja w tym przedmiocie jest nawarstwianiem jednego samozakłamania na innym — co zresztą dość jasno wypowiedział Hostowiec.

Jasne jest, że zagadnieniem twórczości literackiej nie jest sprawa wydań, nakładów, tantiem i honorariów tak samo jak nie jest to sprawa koszuli pisarza, jego obiadu, dachu nad głową, maszyny do pisania itd. Wszystko to jednak są konieczne okoliczności cywilizacyjne tego czynnika kulturalnego jakim jest twórczość. Ongiś te zagadnienia były rozwiązywane przez instytucję mecenatu, dziś stanowią one powinny teren zainteresowania (wyłączonego) Związku Pisarzy. Naturalnie, związek pisarzy emigracyjnych jakim jest w rzeczywistości „Związek Pisarzy na Obczyźnie” może, i z całkowitym uzasadnieniem, ogłosić iż odmawia zajmowania się sprawami pisarzy innych niż emigracyjni. Nie byłoby rzeczą dziwną gdyby w takiej sytuacji powstał jakiś „Związek Pisarzy Polskich Zagranicą”.

Na zakończenie zagadka-„gdybanka” — czysto fikcyjne zagadnienie do rozwiązania dla pisarzy którzy by chcieli pogimnastykować swe zdolności rozumowania na tematy kulturalno-cywilizacyjne: jak powinien zachować się polski pisarz emigracyjny — w nastawieniu teoretycznym i w działaniu praktycznym (literackim, naturalnie) — gdyby Sejm Gomułki ogłaszając nową ordynację wyborczą wprowadził:

- 1) Najzupełniej nieskrępowane, pięcioprzymiotnikowe głosowanie do Sejmu;
- 2) Wolność organizacji, zrzeszeń i zebrań;
- 3) Kompletnie zniesienie cenzury;
- 4) Pełną kontrolę rządu przez parlament;
- 5) Inicjatywę ustawodawczą prawie wyłącznie zastrzeżoną dla rządu (jak w Wielkiej Brytanii);
- 6) Parlament dwuzbowy z akceptacją uchwał sejmowych przez Senat konieczną dla nadania im znaczenia ustaw;
- 7) Senat złożony z dożywotnio mianowanych senatorów w liczbie określonej i uzupełnianej na wniosek rządu;
- 8) Z pierwszym garniturem senatorów, zawierającym między innymi najwybitniejszych przedstawicieli świata nauki, sztuki i techniki, oraz najważniejszych wyznań religijnych (z kardynałem Wyszyńskim na czele).

Co wszystko razem nie naruszyłoby w niczym nadrzędnego, monopolistycznego stanowiska partii komunistycznej, ale równocześnie uwzględniłoby wszystkie postulaty demokratyczne.

J. HORZELSKI

SENSACJA TECHNIKI I OPLACALNOŚCI !

TYLKO

Auto-knitter

66 dol.

wraz

z przesyłką

nowoczesny suwakowy aparat dziewiarski, który może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.



SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ ! LICZNIK DO LICZENIA OCZEK DODATKOWO \$6.00.

Tylko przez firmę

TAZAB

22 Roland Gardens, London S.W. 7, England

albo: 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

Książki

Pokłosie roku mickiewiczowskiego

Nie ulega wątpliwości, że wśród wydawnictw mickiewiczowskich z okazji stułecnej rocznicy śmierci poety księga „Adam Mickiewicz im World Literature” jest pozycją najważniejszą. Nie obawiałbym się nawet użyć określenia: rewelacyjne w stosunku do niektórych wniosków jakie wynikają z zestawienia olbrzymiego materiału faktów i spostrzeżeń poświęconych roli poezji Mickiewicza w literaturze a nawet historii rozlicznych narodów świata, zarówno wolnych jak uciemiężonych.

Mówiono nam w tym roku mickiewiczowskim sporo o naszym „bałwochwalstwie narodowym” w stosunku do Mickiewicza, doradzano większą wstręmięźliwość w naszych sądach i ocenach, zwłaszcza przeznaczonych dla obcych czytelników. Trochę to nawet czasem zabawnie wyglądało, gdy nawet z tej czy innej uwagi jednego emigranta pod adresem drugiego (np. pochwała Weintrauba przez Erlicha za unikanie „kultu bohatera”) miała wynikać przestroga obcej opinii dla „każdego, kto pragnie zaznajomić obcych z Mickiewiczem” (por. „Kultura”, nr 101, str. 115). Tak jakby nie było nigdy w Polsce polemiki naukowej i literackiej, nie było Kleinera, Boya, Pigonia, Kridla i innych. I tak jakby trzeba koniecznie każdego kultu się wstydzić.

Księga „Adam Mickiewicz in World Literature”, która jest właśnie w ogromnej większości wyrazem sądów obcych, rzuca na te sprawy ciekawe światło. Okazuje się, nie po raz pierwszy zresztą, że cudzoziemcy w niejednym wypadku nie wahają się

Adam Mickiewicz in World Literature. Edited by Waclaw Lednicki. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1956. Str. XVIII i 626, cena \$7.50.

poecie polskiemu oddać hołdów z pewnością nie mniej „bałwochwalczych”, niż to robiła nauka polska. Potwierdza ten tom zasadniczą prawdę, że w sztuce nie da się wyeliminować indywidualnego i zbiorowego kultu twórcy i jego geniuszu.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że tom ten, jak to sam tytuł wskazuje, swoim zakresem tematycznym ogranicza się do raczej suchego zestawienia tego wszystkiego co z twórczości i życia poety odcisnęło się w literaturach obcych. Szło więc w pierwszym rzędzie o bilans ocen i przekładów poszczególnych dzieł Mickiewicza. Tymczasem okazało się, że w niejednym wypadku równie trudno jest oddzielić sprawę analizy estetycznej poszczególnych utworów Mickiewicza od jego wpływu na ludzi, charaktery, wypadki, jako człowieka, działacza politycznego, poety wolności, czy poety cierpienia, czy bohaterstwa — jak to jest w literaturze polskiej. Rzecz jasna, tam gdzie ludzie musieli walczyć o wolność, czy to narodową, czy społeczną, interpretacja poezji Mickiewicza będzie bardziej polityczna, a w społeczeństwach wolnych od ucisku bardziej literacka, estetyczna. Ale fakt, że Mickiewicz jest i poetą walki o wolność i poetą „czystych” wzruszeń lirycznych i zrozumiałego dla wszystkich szerokiego oddechu epickiego, czyni jego twórczość tym bardziej uniwersalną.

Jak zaznaczył w przedmowie profesor Lednicki, jest rzeczą naturalną, że losy Mickiewicza jako poety i człowieka w najbardziej znamienity sposób odbiły się w społeczeństwie rosyjskim. Nic dziwnego, że rozdziały poświęcone zagadnieniu Mickiewicza w Rosji stanowią prawie trzecią część całego tomu. Zwłaszcza obszerny jest rozdział pióra Lednickiego „Mickiewicz's Stay in Russia”, który jest podsumowaniem trzydziestoletniej pracy uczonego polskiego nad tym kluczowym zagadnieniem stosunków polsko-rosyjskich, jakim był wzajemny stosunek Mickiewicza i Puszkina. Niedawno włoski rusycysta Ettore Lo Gatto wygłosił na ten temat wykład w Warszawie, gdzie przypominał Polsce, z której Lednicki jest uchodźcą, że w badaniach naukowych nad tym problemem cały okres ostatnich trzydziestu lat jest „okresem Lednickiego”. Czytelnik książki znajdzie w tym rozdziale syntezę wniosków do jakich stopniowo dochodził Lednicki w swych badaniach. Fascynujący to problem i fascynujące perypetie jego interpretacji. Znakomitym uzupełnieniem zagadnienia od strony czysto literackiej percepcji, niezliczonych przekładów, recenzji, omówień, jest rozdział profesora Gleba Struwego „Mickiewicz w przekładach i krytyce rosyjskiej”.

Zgodnie z linią chronologiczno-geograficzną w wędrowce poety i jego dzieł, następny z kolei rozdział przynosi szkic Hildegard Schröder o spotkaniu Mickiewicza z Goethem. Autorka ogranicza się niestety tylko do tego punktu, jeśli idzie o Niemcy, uzupełniając jednak swój szkic bibliografią mickiewiczianów niemieckich za lata 1888-1954 (to jest od daty ukazania się bibliografii Kurtzmanna „Die Mickiewicz-Literatur in deutscher Sprache”). „Mickiewicz we Włoszech” profesora Giovanni Ma-

vera przynosi rozszerzenie i pogłębienie znanych wątków osobistych i literackich kontaktów. Zwłaszcza relacje Mazziniego, wygnańca zresztą jak i Mickiewicz, rzucają wiele ciekawego światła na ideowo-poetyckie wpływy Mickiewicza. Towarzysząc Mickiewiczowi w dalszej wędrówce widzimy go w Szwajcarii w artykule Leopolda Wellisa. Nie wiele tu jest czysto literackich elementów, ale jakże ciekawe są echa osobistych kontaktów, a także wzruszające dzieje profesury w Lozannie, gdzie ten egzotyczny gość, jedyny katolik w twierdzy protestantyzmu, jaką była akademia, potrafił wzbudzić powszechny podziw i szacunek.

Mickiewicz we Francji, to oczywiście obok rosyjskiego drugiego centralny punkt, jeśli idzie o echa ideowo-literackie tułaczki poety. Profesor Jean Bourilly daje dobrze udokumentowany szkic sprawozdawczy na ten temat, podkreślając niebawem zupełnie poruszenie umysłów we Francji osobą, poezją i wykładami Mickiewicza sto lat temu. Aby echa te nie zgasły, aby Francja mogła zdobyć się na samodzielną ocenę polskiego poety, uczony francuski chce rozbudować studia języka polskiego. Jak gdyby żywą odpowiedzią na wezwanie Bourilly jest następny zaraz rozdział: „Próba zrozumenia Pana Tadeusza”. Jego autor, profesor Jean Fabre z Sorbony, trochę paradoksalnie a zawsze niezwykle subtelnie, pokazuje jak należy oddzielić poemat od etykietek literackich, jakie przyłgnęły do nazwiska Mickiewicza we Francji, wywołując rozczarowanie przy natrafieniu na jakąś nutę nie odpowiadającą kluczowym dźwiękom na przykład Byrona czy Goethego.

Druga część książki rozpoczyna się niezbyt szczęśliwie marginesową tylko notatką o ebach mickiewiczowskich w prasie belgijskiej za rok 1834, która robi wrażenie czegoś zupełnie przygodnego. Z przedmowy wydawcy dowiadujemy się, że przyczyną tej fragmentaryczności była nagła choroba autora, profesora Gustawa Charlier. Temat „Mickiewicz w literaturze angielskiej” składa się z dwu części. Pierwsza to chronologiczny przegląd echa mickiewiczowskich w Anglii napisany przez znającego Polakom z licznych książek i artykułów profesora Williama J. Rose, druga to ocena poezji Mickiewicza pod kątem widzenia reakcji wrażliwego czytelnika i poety angielskiego. Autor tego rozdziału (zatyłowanego „Mickiewicz in English Verse”) Donald Davie jest poetą, tłumaczem i wykładowcą literatury angielskiej w Dublinie. To co mówi w swym szkicu oparte jest głównie na jego osobistym doświadczeniu z próbami przekładu Pana Tadeusza. I oto w tych skromnych ramach mamy uwagi niezwykle trafne w swojej prostocie. Davie podnosi między innymi sprawę utyskiwania na bariery językowe z jednej strony i na niemożliwość odczucia poezji w przekładzie z drugiej. Czy rzeczywiście poeta tej miary co Mickiewicz miałby być dostępny tylko ludziom znającym język polski? Czyż Homer, Horacjusz, Szekspir, Dante nie są dostępni czytelnikom niezależnie od barier językowych? Można by tu dodać, że dobrą odpowiedzią na te

pytania jest sam Davie, który zainteresował się Mickiewiczem na podstawie przekładów. Warto też zauważyć, że na przykład ze statystyki podanej w artykule profesora Rose wynika, że Pan Tadeusz w wydaniu serii „Everyman Library” (już samo wejście do tej serii jest symptomatyczne) rozchodzi się powoli lecz stale we wciąż powtarzających się wydaniach (1930, 1943, 1949). W miarę rozwijania swych poglądów Davie wypowiada sądy, których nie waham się określić jako zgoła rewelacyjne. Jego zdaniem kwestią „życia” takiego czy innego poety jest przede wszystkim to, czy i jak dzieło jego trafia do następnych generacji poetów i w ich twórczości znajduje echo pośrednie i bezpośrednie. W poezji Mickiewicza widzi Davie jako poeta te walory, na przykład „perfekcji prostoty”, na które współcześni poeci nieraz kładą nacisk (wymienia on Eliota i Miłosza). One to właśnie i jego samego ku Mickiewiczowi pociągnęły, i pokusił się nawet o poetyckie tłumaczenie fragmentów Pana Tadeusza, w przekonaniu, że ważniejszy od wierności w szczegółach jest poetycki rezultat jako pewna całość i koncepcja.

Penetracja Mickiewicza-poety, a nie tylko Mickiewicza-człowieka przeziara również przez ostrożne zastrzeżenia w zestawieniu związków poety z Ameryką pióra profesora F. Whitfielda z Kalifornii. Osobne miejsce zajmuje zestawienie echa mickiewiczowskich wśród amerykańskiej Polonii napisane przez jej reprezentanta Edmunda Zawackiego. Mimo niskiego na ogół poziomu wykształcenia pierwszych zwłaszcza fal emigracji polskiej, zainteresowanie prawdziwą poezją było, jak widać z tego zestawienia, wcale żywe.

Doskonałą ilustracją tezy prof. Davie, że bariery językowe nie decydują o możliwości przenikania poezji z jednego społeczeństwa do drugiego, może być rozdział niżej podpisanego o twórczości Mickiewicza w krajach skandynawskich. Oto widzimy jak wielki poeta norweski Henrik Wergeland przekłada „Farysa” nie znając nawet polskiego, oto Duńczyk, Georg Brandes daje jedną z najwcześniejszych i najbardziej wpływowych analiz poezji Mickiewicza na szerokim tle porównawczym, oto w małej Szwecji ukazują się aż dwa przekłady Pana Tadeusza.

Gdy z kolei wracamy znów do literatur polskiej pokrewnych, mamy na wstępie pełen ciekawych szczegółów rozdział o Mickiewicz w poezji litewskiej pióra V. Maciunasa, gdzie widzimy jak dalece twórczość Mickiewicza z jej czysto fikcyjnym światem poetyckich wątków i postaci stała się organiczną niemal częścią bagażu umysłowego Litwinów (żeby wymienić Żywilę i Grażynę, które weszły do skarbca litewskich opowiadań historycznych). Najwidoczniej „realność” tych postaci nie budziła żadnych wątpliwości, podobnie jak nie budzi na ogół wątpliwości realizm Pana Tadeusza. Przeciwnie, ze szkicu M.K. Pawlikowskiego „Żywy Pan Tadeusz” widać jak dalece wszystkie elementy tego poetyckiego świata dadzą się zidentyfikować z realiami wspomnien ludzi z tych terenów.

Mickiewicz i Ukraina, to znów temat tak ważny i szeroki, że trudno oczekiwać jego wyczerpania w zwięzłym rozdziale księgi zbiorowej. Trzeba stwierdzić, że autor tego rozdziału, świetny erudyta, Dmitry Czyżewski, dał przekonujące oświecenie najważniejszych momentów tego stosunku. „Mickiewicz i Czechosłowacja” prof. Otakara Odložilika, „Mickiewicz w literaturze serbsko-chorwackiej” Dziordzie Žiwanowicia, a wreszcie Węgry (J. Remenyi) i Rumunia (N.A. Gheorgiu) wyczerpują listę związków słowiańskich i wschodnio-europejskich. Brak Bułgarii stanowi jedyną bodaj dotkliwą lukę, której należy żałować tym bardziej, że wiemy o żywych echach Mickiewicza w literaturze bułgarskiej i bezpośrednim wpływie poety polskiego np. na P. Sławejkova (znanym m. in. ze wspomnianej w rozdziale o Skandynawii pracy Alfreda Jensena „Zwei slavische Helgengedichte”).

Z tematów „egzotycznych” mamy echa hebrajskie (A.G. Duker) i fascynujący rozdział o Mickiewiczu w Chinach pióra Shih-Hsiang Chena, gdzie odsłaniają się przed nami przedziwne zaiste drogi, jakimi historia i literatura jednego narodu wpływa na losy innego, choćby nawet bardzo odległego zarówno geograficznie jak kulturalnie. Oto na przykład opis rozbiorów Polski i wewnętrznych przyczyn jej słabości sporządzony przez K'ang-Yu-wei pobudził w roku 1898 młodego cesarza Chin z dynastii Mandżurskiej do zainicjowania doniosłej acz nieudanej próby porozumienia z narodem i reformy ustroju — wstrząsając posadami obcej dynastii i całego imperium. Oto dalej najwybitniejszy pisarz współczesny Chin, Lu Sin włącza twórczość Mickiewicza do serii swych prac poświęconych poezji wiecznego buntu „satanicznego” (trzeba tu przypomnieć, że element „Szatański” w filozofii chińskiej ma sens zbliżony do interpretacji Bogomilców). Poezja Mickiewicza otrzymuje więc tu koloryt nieco podobny do tego jaki reprezentuje Byron czy Shelley, ale w miarę opracowywania studium chiński autor znajduje w dziełach polskiego poety coraz lepszą płaszczyznę solidarności dwu tak dalekich zdawałoby się od siebie narodów.

Temat Mickiewicz w literaturze polskiej wymagałby osobnego dzieła i nie mógł być, rzecz jasna, w ramach omawianej tu księgi. Ale znalazło się w niej miejsce na studium Lechonia, syntetyczny rzut oka poety na to, czym był i jest Mickiewicz dla poetów polskich. Szkic ten jest zarazem wyznaniem osobistej wiary poetyckiej Lechonia. Książkę zamyka biografia poety pióra W. Weintrauba.

Nie sposób w krótkiej recenzji wyczerpać całego bogactwa omawianego tu materiału. Ale wystarczy chyba tych przykładów, żeby zdać sobie sprawę z zasięgu i wagi zawartych w tomie studiów, tak na pozór różnorodnych, a jednak w rezultacie układających się pod ręką redaktora w organiczną niemal i kompozycyjnie szarmonizowaną i przemyślaną całość, ciekawą i pouczającą od początku do końca. Tylko wielki autorytet naukowy profesora Lednickiego w międzynarodowej skali i jego rozległe stosunki i przyjaźni w świecie naukowym amerykańskim i euro-

pejskim umożliwiły zebranie tak dużego i reprezentacyjnego zespołu uczonych, pisarzy i poetów, gotowych do współpracy. Trudno powiedzieć, jakich rezultatów oczekiwał redaktor księgi, przystępując do realizacji tego ambitnego projektu. Ale można chyba wyrazić przypuszczenie że pod wielu względami rezultat przeszedł oczekiwania.

Zbigniew FOLEJEWSKI

« Torricola » J. M. Ursyna

„Torricola” J.M. Ursyna ukazała się w przekładzie francuskim już w roku 1950, w jednym z lepszych wydawnictw paryskich, a mianowicie u Calmann-Lévy. Tekst polski ujrzał światło dzienne dopiero pod koniec roku 1956, w Londynie. Powieści sensacyjne znajdują się zazwyczaj poza zasięgiem literatury, książka Ursyna jest ciekawą i ambitną próbą pogodzenia fabuły sensacyjnej, kryminalnej nawet, z literaturą. Na uwagę zasługuje również technika kompozycyjna Ursyna: autor przygotowuje starannie efekt końcowy. Bierze po kolei każdego ze swych ośmiu bohaterów i pokazuje nam w jaki sposób każdy z nich znajduje się w krytycznym momencie w ekspresie pędzącym z Rzymu do Neapolu, który cudem niemal unika katastrofy na małej stacji kolejowej Torricola. Stąd tytuł Powieści.

Dwaj spekulanci czamogieldziarze, Wimpel i Biedroń, dowiedzieli się od znajomego malarza o możliwości kupienia, za dolary, fabryki w Neapolu. Nareszcie interes legalny! Oczywiście, nie mając ochoty dzielić się zyskami, odpowiedzieli malarzowi, że sprawa ich nie interesuje. Przypadek czy los chciał, że Bogusław, tak się nazywa malarz, znalazł się w Neapolu tego samego dnia w nadziei dostania skądinąd pieniędzy, które mu są niezbędne na wyjazd do Ameryki. Jednocześnie jednak za Wimplem jedzie włamywacz Stojalko, z gotowym planem zrabowania dolarów, które Wimpel wiezie ze sobą w grubej teczce. A wreszcie wraz z Biedroniem jedzie Barbara zakochana w nim od kilku dni.

Pierwsza część książki jest nie tylko wprowadzeniem nas w życie tych postaci, ale i pewnego rodzaju analizą. Każda z nich uwarunkowana jest psychologicznie swoją przeszłością. Każdej z nich przytrafiło się w młodości lub w dzieciństwie coś, co sprawia, że nie może ona obecnie postępować inaczej niż postępuje. Stary Wimpel mimo choroby serca musi grać na giełdzie, Bogusław, mimo że ma masę zamówień na portrety, musi zawodzić swych klientów, musi więc żyć w nędzy i musi domagać się pieniędzy od Wimpla, wreszcie Stojalko, aby ziszczyć swoje marzenie o spokojnym życiu na fermie wraz z ukochaną, musi najpierw zdobyć dolary na Wimplu.

W pierwszej części książki Ursyn stawia problem psychologiczny: każdy z bohaterów doznał jakiejś krzywdy, lub wyrządził komuś krzywdę, co jest nieraz równoznaczne. Ta krzywda, ten uraz lub kompleks niższości mają

URSYN Józef Maria. *Torricola*. Str. 213. Wyd. „Książka dla Wszystkich”, Gryf Publications Ltd., Londyn, 1956.

skutki dalekie i nieoczekiwane, a przede wszystkim nieuniknione. W drugiej części książki, problem jest nieco inny: jest to odwieczny problem wpływu przeznaczenia na losy ludzkie, ujęty nieco podobnie jak w książce Thornton Wildera „Most San Luis Rey”. Oto pokrótce rozwój wypadków prowadzących do katastrofy: w Neapolu Bogusław nie otrzymał obiecanych pieniędzy. Warto zauważyć, że było w tym zowu coś z przeznaczenia: protektorka Bogusława miała zobaczyć się z synem, by poprosić go o pożyczkę dla malarza. Ale spotkanie potoczyło się inaczej niż myślała, nie udało jej się nawet wspomnieć o Bogusławie. Ten ostatni, dowiedział się w międzyczasie, że Wimpel i Biedron są w Neapolu w celu kupna fabryki. A więc oszukali go obaj twierdząc, że nie mają pieniędzy. Wściekły idzie do Wimpla, robi mu awanturę, aż wreszcie ten ostatni zgadza się dać pożyczkę. Ale tylko pożyczkę. Tysiąc dolarów. Bogusław jest uszczęśliwiony, to wystarczy na wyjazd do Ameryki. „Wimplowi wydawało się nawet, że Bogusław miał ochotę go pocałować. — Ależ proszę pana, mówił Bogusław, przecież od początku o nic innego nie chodziło. Teraz Wimpel nie miał najmniejszych wątpliwości, że Bogusław zwariował. Nie tłumaczy mu jednak, na czym polega różnica między pojęciem pożyczki a prawem do udziału w zyskach z interesu”.

W międzyczasie Wimpel zamówił telefon do żony, do Rzymu. Za chwilę pukanie do drzwi. To chłopak hotelowy, by zawiadomić, że aparat w pokoju jest zepsuty i że trzeba zejść na dół do centrali. Wimpel wybiega, w pośpiechu zapominając teczek z dolarami. Po rozmowie z żoną wrócił do pokoju. Przez cały ten czas upał był nie do zniesienia i serce dokuczało mu okropnie. Ale przyszedł wieczór, a z nim chłód. Wimpel był w lepszym nastroju, gdy zjawił się Biedron, którego stary finansista lubi, a nawet podziwia za jego „pańskość”. Biedron spędził całe popołudnie z piękną Barbarą i przychodzi prosić Wimpla o pożyczkę ze wspólnej kasy to jest z teczek z dolarami. Wimpel otwiera walizkę, na dnie jej leży teczka... otwarta i pusta. Wtedy Biedron w przystępie nieopanowanej wściekłości podchodzi do Wimpla i chwytając go za gardło. Krwotok. Wimpel osuwa się martwy na ziemię. Biedron wychodzi z pokoju i zamyka go na klucz.

Kilka minut później włamywacz Stojalko decyduje się wreszcie, po dłuższych i niezrozumiałych wahaniach, na dokonanie włamania. W ciemnym pokoju potyka się o trupa, ale nie daje za wygraną, zaczyna szukać teczek. W tej właśnie chwili do drzwi pukają mechanicy przysłani do naprawy telefonu. Gdy nikt nie odpowiada, zastanawiają się chwilę, po czym wchodzi. Stojalko próbuje uciekać, ale nie udaje mu się. Żegnajcie marzenia o spokojnym życiu na fermie. W ostatnim rozdziale zostawiamy Biedrona z Barbarą w hotelu, krótko przed świtem. Biedron myśli o całym przeszłym życiu i o tym, że gdy przyjdzie dzień, będzie musiał pójść na policję i przyznać się do zabójstwa Wimpla.

Nawet z tego krótkiego streszczenia widać, że głównym bohaterem jest tu jakiś nadrzędny i nieobliczalny los. Biedron nie jest winien śmierci Wimpla, Stojalko tym mniej. Tak samo złośliwość losu sprawiła, że Stojalko nie wykonał włamania kilka czy kilkanaście godzin wcześniej, gdy pieniądze jeszcze były w teczce.

Podobnie z katastrofą na stacji Torricola, która o mało miałaby miejsce, z przyczyn niezależnych od woli ludzkiej i której uniknięto *cudem*, czyli znów z woli nadrzędnego losu. Ten krótki rozdział, zajmujący w książce

miejsce centralne, jest zresztą także i literacko najlepszy, choć, jeśli chodzi o rozwój akcji, najzupełniej zbędny. Jeżeli jest potrzebny w jakiś sposób, to zapewne dla podkreślenia wspomnianych wyżej postulatów, że tak powiem filozoficznych, autora. Należy więc przypuszczać, że autor wiedział co robi umieszczając go w tym miejscu. Tym trudniej więc jest wybaczyć wydawnictwu samowolne i bez porozumienia z autorem dokonane wykreślenia, z których kilka sięga aż czterech do pięciu stron! Tak np. z niezrozumiałych przyczyn brak jest w tekście polskim wahań Stojalki, które doprowadziły go do katastrofy, podobnie jak szeregu innych fragmentów, zwłaszcza tych, które podkreślają wpływ nieobliczalnego przypadku na losy bohaterów. Tego rodzaju postępowanie firmy emigracyjnej z pisarzem zasługuje na jak najostrejsze napiętnowanie. Skoro tak postępuje dom wydawniczy w tak zwanym wolnym świecie, to nie ma co rozdzierać obłudnie szat nad cenzurą w wydawnictwach komunistycznych.

Można jeszcze dodać, że w porównaniu z tekstem francuskim tekst polski jest splaszczony, zbanalizowany. Jeden przykład wystarczy: „Całował ją coraz mocniej i gwałtowniej. Jechali długo. Potem Biedron zatrzymał dorożkę przed jakimś hotelem i Barbara nie protestowała”. — *Ensuite il l'embrassa dans le cou; dans la nuque, sur les yeux, avec une force et une violence croissantes. Leur promenade dura longtemps et Barbara ne s'en souvient plus très bien. Seulement lorsque, passant devant un hôtel, B. fit arrêter le fiacre, Barbara ne dit rien.*

(Jaz.)

Armia sowiecka

W odległości jakichś stu kilometrów od Londynu, w hrabstwie Buckingham znajduje się pewnego rodzaju Mekka, uczęszczana często przez wielu bardzo wysoko postawionych dygnitarzy wojskowych bez różnicy narodowości lub koloru skóry... a przede wszystkim przez pisarzy wojskowych. Jest to skromna rezydencja słynnego pisarza wojskowego, kpt. Liddell Harta, autora wielu książek na temat wojny nowoczesnej oraz studiów historycznych poszczególnych kampanii.

W jego gabinecie pracy, zapełnionym po sufit książkami i mapami różnych kampanii, rzucają się w oczy fotografie różnych wybitnych generałów, a wśród nich znajduje się fotografia słynnego generała Guderiana, twórcy niemieckiego Blitzkriegu, opatrzona dedykacją: „od wdzięcznego ucznia...” oraz fotografia gen. Yadina, byłego szefa sztabu armii Izraela, również z podobnie brzmiącą dedykacją. Należy tu wyjaśnić, że to właśnie gen. Guderian, na podstawie teorii Liddell Harta, uważanych w Niemczech za pewnego rodzaju nową Ewangelię w dziedzinie wiedzy wojskowej, stworzył doktrynę Blitzkriegu, dzięki której Reichswehra odniosła tyle błyskawicznych zwycięstw w Polsce, we Francji oraz na początku kampanii w Rosji.

Znakomite zwycięstwa odniesione przez wojska Izraela podczas niedawnej kampanii na Półwyspie Synajskim, były również w dużym stopniu wynikiem zastosowania teorii Liddell Harta, a zwłaszcza też jego książki

„The strategy of indirect approach”, które posłużyły jako podstawa dla reorganizacji sił zbrojnych Izraela. W związku z tym byłoby rzeczą ciekawą dodać, że gen. Yadin oraz paru innych wyższych oficerów ze sztabu Izraela, rozegrało parę lat temu z Liddell Hartem, na mapach u niego w domu, cały przebieg kampanii na Półwyspie Synajskim...

A jednak największy wpływ teorii Liddell Harta wywarły w Sowietach, gdzie okrzyknięto je jako „rewolucyjne” w dziedzinie sztuki wojennej i tym samym pokrewne duchem rewolucji, dokonywanej przez Rosję w innych dziedzinach życia: pod wpływem jego książek i artykułów, które, wszystkie były przetłumaczone na język rosyjski, Rosjanie jeszcze w roku 1932, a więc o trzy lata wcześniej aniżeli Niemcy, rozpoczęli formowanie swoich Panzer-dywizji. W wyniku wielkiej czystki w roku 1936, ofiarą której padł kwiat korpusu oficerskiego, oraz na skutek fałszywych wniosków wyciągniętych z wojny cywilnej w Hiszpanii odnośnie użycia broni pancernej, Rasja zapłaciła w pierwszej fazie wojny z Niemcami wysoką cenę za błędy popełnione na tym odcinku.

Pod kierownictwem Liddell Harta wydana została przed paru miesiącami, od razu w kilku językach, niezmiernie interesująca i wyczerpująca książka pt. „The Soviet Army”, licząca około 500 stron. Książka ta składa się z dwóch części. Część pierwsza nosi charakter historyczny, omawia powstanie i rozwój Armii Czerwonej, jej rolę w Wojnie Cywilnej, po rewolucji październikowej w 1917, a następnie wojnę polsko-bolszewicką i wreszcie wojnę niemiecko-sowiecką, która była jej próbą ogniwą. Część druga daje bardzo dokładny obraz obecnej organizacji, uzbrojenia, wyszkolenia i doktryny taktycznej i operacyjnej. Dla opracowania tej książki, kpt. Liddell Hart — który sam napisał przedmowę do książki oraz rozdział omawiający przebieg wojny niemiecko-sowieckiej — zgromadził cały gwiezdozbiór najwybitniejszych generałów, jak Weygand, feldmarszałek Manstein, gen. Gunderian, Student i inni, oraz wielu ekspertów od spraw sowieckich.

Nie jest naszym zadaniem omawianie na łamach „Kultury” szczegółów obecnej organizacji armii sowieckiej lub jej doktryny: wystarczy jednak, jak sądzę, stwierdzić, że armia ta, która w ostatnich miesiącach wojny zaczynała przypominać bezładną tłuszcę, zalewającą swoją masą i siłą rozpedu, połowę Europy, przeszła w ciągu ostatnich dziesięciu lat przez proces olbrzymiej modernizacji i dostosowania się do prowadzenia wojny w warunkach wojny atomowej, a ponadto dysponuje sprzętem jak najbardziej nowoczesnym. Wystarczy wspomnieć, że z 22 dywizji sowieckich, stacjonowanych w Niemczech Wschodnich — wszystkie o pełnych stanach — szesnaście jest dywizjami zmechanizowanymi, zdolnymi do prowadzenia wojny błyskawicznej, jako przednia straż masy sowieckiej, stacjonowanej w krajach Europy Wschodniej oraz na zachodnich terenach Rosji Europejskiej.

Nie można też pominąć milczeniem faktu, że w składzie sowieckich sił zbrojnych jest aż dziesięć dywizji wojsk spadochronowych, które — jak sądzi najwybitniejszy ekspert w tej sprawie, były generał niemiecki Student — będą zapewne użyte na Alasce, jako zagrożenie od „kuchni” kontynentu północno-amerykańskiego. Z drugiej strony, można sobie wyobrazić, co by się działo gdyby — w razie sowieckiej ofensywy w Europie Zachodniej — zrzucono kilka sowieckich dywizji spadochronowych głęboko na tyły nielicznych wojsk NATO, cofających się pod naporem przeważających sił sowieckich.

Dla czytelnika polskiego, nawet niezbyt interesującego się sprawami natury wojskowej, książka Liddell Harta będzie niemiernie wysoce interesująca ponieważ omawia ona kampanię polsko-bolszewicką oraz wejście wojsk sowieckich do Polski we wrześniu 1939. Rozdział o wojnie polsko-bolszewickiej opracowany został przez gen. Weygand, uważanego przez pewne odłamy polityczne w Polsce za autora planu-manewru spod Wierprza, zakończonego klęską armii Tuchaczewskiego, ciągnącej na Warszawę. Jest rzeczą znamionną, że gen. Weygand, który posuwa się do opisywania drobnych detali organizacji armii sowieckiej — bitwę o Warszawę omówił zaledwie w dwóch krótkich zdaniach, podkreślając jedynie parę błędów Tuchaczewskiego. Na przestrzeni całego artykułu nie ma ani słowa o roli Piłsudskiego. Weygand nie wspomina również o swojej roli doradcy wojskowego w Polsce. Należy dodać na marginesie, że rola ta została definitywnie wyjaśniona przez jednego z najwybitniejszych wojskowych pisarzy francuskich, gen. Mordacq, w książce „Les legendes de Grande Guerre”, wydanej w roku 1935, w której na 64 stronach omówił on dokładnie wojnę polsko-bolszewicką i rolę gen. Weygand. Również na marginesie warto by dodać, że marszałek Śmigły zamierzał napisać przedmowę do tej książki, lecz w ostatniej chwili odstąpił od tego zamiaru ponieważ, jak się okazało, gen. Mordacq był Żydem... fakt ten, nota bene, był również powodem, dla czego gen. Mordacq oraz G. Mandel, jeden z najwybitniejszych polityków francuskich od czasów Clemenceau, nie zostali zaproszeni na przyjęcie wydane przez ambasadę R.P. w Paryżu w 1937 roku z okazji przyjazdu Śmigłego do Paryża celem przeprowadzenia rozmów z gen. Gamelin. Okazuje się, że w Polsce obowiązywały również Ustawy Norymberskie...

Niemniej ciekawy byłby dla czytelnika polskiego rozdział opracowany przez byłego pułkownika sowieckiego, Antonowa, który „wybrał wolność”, dotyczący wkroczenia wojsk sowieckich do Polski w 1939, w którym opisyje on parę starć zbrojnych z oddziałami niemieckimi i omawia instrukcje wydane dowódcom sowieckim — użycia broni w razie najmniejszego oporu ze strony oddziałów Reichswehry.

Również na marginesie tego rozdziału warto by przytoczyć wspomnienie francuskiego gen. Faury, tak dobrze znanego w Polsce, ujęte w książce „La Pologne terrassée”, w której opisuje on niezmiernie charakterystyczny fakt, jak to pod wieczór 17 września, gen. Sikorski zaproponował mu udanie się do Lwowa celem nawiązania rozmów z Rosjanami, gdyż był przekonany, że wojska sowieckie wkroczyły do Polski dla pokrzyżowania planów niemieckich, i że wobec tego byłoby rzeczą możliwą ułożyć się z dowództwem sowieckim i uratować Polskę...

Tego rodzaju, niezmiernie „trafną” ocenę sytuacji wojskowej i politycznej, wykażal gen. Sikorski i później, a przede wszystkim podczas kampanii francuskiej, kiedy aż do ostatniej chwili uporczywie nie chciał wierzyć, że opór francuski został całkowicie złamany, i kiedy prawie do samego końca wykluczał możliwość kapitulacji Francji. W wyniku tego rodzaju „oceny sytuacji” zmanewrowana została całkowicie Brygada Podhalańska, rzucona, po powrocie z Norwegii, zupełnie na daremnie do walki we Francji, zaś ewakuacja wojsk oraz sztabów i zakładów wojskowych z Francji została wystawiona na bardzo poważne ryzyko.

O kłamstwie podręcznikowym

Życie pisarza w Kraju nie jest łatwe. Jakiego wysiłku wymaga nadążanie za rzeczywistością w stanie ciągłego wrzenia, przystosowywanie się do nowych sytuacji, „wytycznych programowych”, ba, nawet terminologii. Zmiany następują zbyt szybko, żenująco szybko. Rok temu wszystkim byli winni „beriośszczycy”, miesiąc temu — „stalinowcy”, dziś — „konserwa”, a ciągle, zaznaczam, chodzi o to samo. Inny przykład: w roku 1950 Nałkowska i Dąbrowska są przedstawicielami nurtu psychologiczno-naturalistycznego Staff — dekadentyzmu, Tuwim i Słonimski — ekspresjonizmu, w roku zaś 1954 wszyscy ci pisarze awansowali zaszczytnie na... realistów (1). Nie potrafię powiedzieć jaki „nurt” reprezentują dzisiaj.

Liberalizacja i odkłamywanie literatury odbywa się w Polsce etapami. W międzyczasie trzeba jednak pisać, wydawać, formułować sądy. W tej chybotałej sytuacji ciągle jeszcze pozostają pisarzom praktyki cyrkowe linskoczków, a odpowiedzialnym za politykę kulturalną — przemiany nakładów. W roku 1956 miały pójść na przemiał książki o łącznej wartości 76 milionów złotych według cen katalogowych (2). Osobiście nie dziwię się ani pisarzom ani przemiałom. Za luksus rewolucji trzeba płacić.

Podręcznik dla klasy XI prof. Matuszewskiego (3) został wydany z końcem 1955 roku, zatwierdzony do użytku szkolnego w lipcu 1956. Mam przed sobą wydanie III z listopada 1956, *poprawione* zgodnie z wymogami chwili, ale dziś już zdezaktualizowane, prawie archiwalne. Przypadałoby się wydanie czwarte, *poprawione*. Od października 1956 do lutego 1957 przewaliły się w Polsce kawałek historii i co najmniej dwa „etapy”.

Czego można i należy oczekiwać od podręcznika historii literatury? Przede wszystkim: FAKTÓW. Składają się na nie: nazwiska pisarzy ich twórczość, nakłady dzieł, zasięg wpływów, poczytność, „szkoły” i ugrupowania literackie. Wystarczy zachować ten najprostszy ze schematów, aby dać uczniowi rzeczywisty obraz danej epoki literackiej; drabina hierarchiczna ustawi się sama. Interpretacja i ocena FAKTÓW zależeć będzie od metody naukowej, wyznawanej ideologii, czasem od — sprężystości karku. Istnieje sto sposobów widzenia rzeczy. Wolno Matuszewskiemu napisać, że „Goetel jawnie pochwałiał faszystowskie metody” i że Wierzyński „brał udział w głoszeniu ideologii faszystowskiej” ale nie wolno było mu wyliczyć tych nazwisk z całokształtu literatury dwudziestolecia. Z nazwiskiem i wierszami Wierzyńskiego wzrastały co najmniej dwa pokolenia.

Przez dziesięć lat słuchaliśmy bez zdziwienia, że Wanda Wasilewska i Leon Kruczkowski byli i są „największymi” pisarzami współczesnymi, ale

(1) Salomon Łastik, „Życie Literackie”, Nr 229.

(2) Berkowicz, „Po Prostu”, Nr 24.

(3) Ryszard Matuszewski, „Historia Literatury Polskiej”, dla klasy XI (1918-1955), Warszawa, 1956, wyd. III.

po co upierać się przy tej karkołomności w roku 1956 gdy już można zmienić zdanie? „Nadchodzą czasy, w których będzie panował kult faktu” — pisze Jacek Bocheński. Jedno z dwojga: albo Bocheński mylnie ujął nastroje etapu, albo Matuszewski — nie nadąża.

Przez cały czas lektury towarzyszy czytelnikowi uczucie zniecierpliwienia. Nasze związki z literaturą obcą? „Wiemy, wiemy” — odpowiadał chórem uczniowie — „Majakowski i Ojczyzna Proletariatu”. Krytycy dwudziestolecia? Boy, Brun-Brunowicz, Stawar, Fik, Irzykowski oraz, wymienieni w jednym zdaniu, uczeni o „światopoglądzie idealistycznym” Pigoń, Chrzanowski, Kleiner, Borowy, Kołaczkowski, Krzyżanowski. Al. Brückner i J. Ujejski — nie istnieli. Największy pisarz dwudziestolecia? Żeromski. Wszyscy się zgadzają i wiedzą, dla czego prof. Matuszewski dorzuca w 30-stronicowym eseju, że Żeromski „był jedynym który widział, że w ówczesnej Polsce brutalny interes i przemoc pieniądza narzucały prawo”.

„Chłopi” widocznie nadal pozostają „epopeą kułactwa” bo o Reymontcie wzmianki nie ma. Kasprzowicz nie istniał. Poeci dwudziestolecia, którym poświęcone są osobne rozdziały to Staff, Tuwim, Słonimski, Broniewski, Iwaszkiewicz. Gałczyński przynależy do okresu powojennego (1946). Wierzyński i Lechoń — nie istnieli.

Z prozaików na osobny rozdział zasłużyli Dąbrowska, Nałkowska, Boy, Kruczkowski i Wasilewska. Wzmianką zostali potraktowani Parandowski, Kossak-Szczucka, Kaden-Bandrowski, Gojawczyńska, Morcinek, Jalu Kurek, Witold Gombrowicz.

W ogóle się nie urodzili: Kuncewiczowa, Naglerowa, Makuszyński, Nowakowski, Parnicki, Wittlin i iluż innych!

Wojna i jej następstwa (emigracja, przemiany ustrojowe) dokonały dewastacji w życiu narodu, zubożyły kulturę polską o ludzi i energię twórczą. Wielu pisarzy zmarło, wielu zamilkło, wielu zniżyło lot. Nowe talenty nie prędko wyrównają rachunek strat. Dlaczego prof. Matuszewski zuboża nasz dorobek o nowe pozycje? Jest to tym bardziej zastanawiające, że na łamach prasy polskiej przeprowadza się obecnie energiczną „inventaryzację dóbr kulturalnych” wydobywając z lamusa niepamięci coraz nowe nazwiska, dzieła i myśli. (Z. Najder, Przegląd Kulturalny, 225) a o szkodach wyrażonych przez „kłamstwo podręcznikowe” mówi się i pisze głośno i szeroko.

Literatura powojenna została uszeregowana według równie drętwej klucza a więc: Lucjan Rudnicki „Stare i nowe”, Igor Newerly „Pamiętka z Celulozy” — dwa osobne rozdziały. Za tymi luminarzami prozy biegną małym druczkiem Adolf Rudnicki, Borowski, Andrzejewski, Putrament, Brandysowie, Breza, Żukrowski a nawet — Gołubiew.

Natomiast w ogóle się nie urodzili Dobraczyński, Malewska, Miłosz. Nie można zapomnieć się o wszystkich. Wspomnę tylko, że Malewskiej „Wiosna grecka” już przed wojną wchodziła do lektury szkolnej, „Żelazna Korona” miała wiele nakładów, „Żniwo na sierpie”, „Kamienie wołać będą” i „Przemija postać świata” — to poczytne i wartościowe utwory powojenne.

Ryszard Matuszewski opracował swoją „Historię literatury polskiej dla klasy XI” w czasie gdy dzieła wszystkie Kossak-Szczuckiej, Kaden-Bandrowskiego i Lechonia należały do 2.485 probibitów. Indeks ten częściowo został uchylony. Wracają na półki: Strug, Kuncewiczowa i wielu, wielu

innych. Plan wydawniczy na rok 1957 przewiduje „przypomnienie — zapomnianych, przedstawienie — nieznanym polskiemu czytelnikowi pisarzy” („Nowa Kultura” Nr 357). W tej sytuacji podręcznik Matuszewskiego nie spełnia zadania; jest zdezaktualizowany. O jego dalszym losie przesądzi zapewne praktyka zwykle w podobnych wypadkach stosowana...

Klara SZPAKOWSKA

Prasa francuska o Polsce

Podwójny numer *Temps Modernes*, poświęcony Polsce, pod tytułem „Polski Socjalizm”, otwiera „Poemat dla Dorosłych” Ważyka i drugi, mniej znany, również piękny jego wiersz „Krytyka poematu dla Dorosłych”. Całość doskonale dobranych tekstów podzielona jest na następujące działy:

1. *Przebudzenie*: Jan Kott: „Odpowiedź na ankietę „Nowej Kultury” — Literatura Dziesięciolecia”; Wiktor Woroszyński: „Materiały do Biografii”; Kazimierz Brandys: „Obrona Grenady”; Andrzej Braun: „Rozmowy”; Adam Ważyk: „Przyjacielowi”, „Zapalka” i „Cyrk”.

2. *Wielka Dyskusja*: Jerzy Andrzejewski: „Wielki Lament Papierowej Głowy”; Adolf Rudnicki: „Niebieskie Kartki”; Jan Kott: „Mitologia i Prawda”; Antoni Słonimski: „O przywrócenie wolności obywatelskich”; K.T. Toeplitz: „Zmierzch Proroków”; Władysław Machajek: „Trzęsienie Ziemi”; Mieczysław Jastum: „Rozmowa z Pisarzem” i inne wiersze; Antoni Słonimski: „Do Syna Przyjaciół”.

3. *Plan*: Wł. Bieńkowski: „Gospodarka na Księżycu”; Edward Lipiński: „Rewizje”; Albin Kania i R. Konieczek: „Cena Planu”.

4. *Rewelacja Poznania*: W. Woroszyński: „Powrót do Kraju”; Jacek Bocheński: „Komunizm i Zaba”; Edda Werfel: „Obrona Żaby”; W. Woroszyński: „Wokół katastrofy olsztyńskiej”; Leszek Kołakowski: „O zasadzie: Cel uświęca środki”; Leopold Tyrmand: „Sprawa Piaseckiego”.

5. *Październikowa Rewolucja*: Jan Kott: „Noc i Dzień”; R. Turski i E. Lasota: „Polski Październik”; J. Kossak, R. Turski, R. Zimand: „Internacjonalizm”; R. Zimand: „To dotyczy robotników całego świata”; J. Broszkiewicz: „Na czele listy przy wyborach — demokracja”; W. Bieńkowski: „Drugi Akt zakreślu”.

Polskiemu czytelnikowi teksty te — które wszystkie ukazały się w krajowej prasie między rokiem 1954-1956 — są prawdopodobnie w większości znane. Trzeba jednak stwierdzić, że nawet na polskim czytelniku ta antologia odważnej analizy, uporządkowana tematycznie i chronologicznie, winna sprawić niepospolite wrażenie.

Wydaje się, że odpowiedzialny za tę antologię zespół nie kierował się kryteriami literackimi ani nawet „zasługami” ideologicznymi pisarzy w pol-

skim procesie rewolucyjnym. Chodziło raczej o udostępnienie francuskiemu czytelnikowi tekstów, które pozwoliłyby mu się wczuć w specyficznie polską sytuację zarówno za czasów stalinizmu, jak u zarania buntu intelektualistów (który w Polsce wyprowadził o kilka miesięcy XX Kongres), jak wreszcie podczas tragedii poznańskiej i aż do VIII Plenum. Szkoda, że polityczne względnie nie pozwoliły na włączenie do tej antologii ustępów ze „Zniewolonego Umysłu” Miłosza: musiano zadowolić się jego słabą imitacją, jaką jest „Obrona Grenady”.

Dla francuskiego czytelnika teksty te będą prawdziwą rewelacją. Nic dziwnego, że Marcel Péju pisze w entuzjastycznym wstępie: „Nie dość powiedzieć, że widzimy tu inteligencję połączoną z odwagą, talent połączony z jasnością sądu: nigdy, od roku 1917, nie byliśmy świadkami podobnego zakwestionowania mitów i dogmatów, podobnego zrywu rewolucyjnego”...

Szkoda że ta antologia, która może wywrzeć zbawienny wpływ na część francuskiej lewicy i która pozostanie cennym materiałem dla historyków, antologia skądinąd tak obiektywnie przygotowana i przedstawiona, jest częściowo zniekształcona tendencyjnymi notatkami jednego z tłumaczy „*Temps Modernes*”, p. Michel Pavelec.

Kiedy Kott pisze: „Żyliśmy wówczas pod wrażeniem wypadków krawkowskich i pogromu kieleckiego”, p. Pavelec odsyła nas do następującej notatki: „Morderstwo militantów P.P.R. przez członków partii p. Mikołajczyka, podówczas ministra w gabinecie Jedności Narodowej. — Mord Żydów, dokonany przez członków N.S.Z. (Nacjonalistycznych Sił Zbrojnych, faszystowskich partyzantów, związanych z A. K., ale którzy ze zrozumiałych względów nie wyszli z ukrycia)”. Czy agenci Bezpieki są „militantami P.P.R.”? Czy można, po rewelacjach ostatnich lat brać wnioski ze sfingowanych procesów za dane historyczne? Czy, wobec znanych w Polsce rewelacji o udziale Bezpieki w ohydnych mordach kieleckich nie lepiej zachować więcej ostrożności w przypisywaniu odpowiedzialności? W N.S.Z. byli faszyci: to nie racja jednak aby „Narodowe” w oficjalnej nazwie zmieniać na „Nacjonalistyczne”. Po co sugerować, że, w przeciwnieństwie do członków N.S.Z., członkowie A.K. mogli „wyjść z ukrycia”? Dlaczego sugeruje się że N.S.Z. były po prostu jednym z członów A.K.?

W tekście Woroszyńskiego przypisek p. Pavelec do nazwiska Świerczewskiego zawiera następujące zdanie: „Zginął podczas operacji w południowo-wschodniej Polsce przeciw U.P.A. (ukraińskiej armii powstańczej), złożonej z kolaborantów nazistowskich okupantów”. Czy po zdaniu Chruszczowa że Stalin byłby wywioził na Sybir wszystkich Ukraińców, gdyby nie było ich tak wielu, nie byłaby wskazana większa ostrożność w sądach czy powstańcy ukraińscy są „nazistami”?

W tekście Rudnickiego, objaśnienie p. Pavelec do „militantów”: „Militacja obywatelska — milicja ludowa. Żadnego związku z tym co ta nazwa może oznaczać dla nas, Francuzów”. Naprawdę?

Kiedy Władysław Machajek pisze: „Nie mogę się usprawiedliwić, że nie wiedziałem o deportacji Polaków z Kresów na Syberię i aż pod biegun”..., p. Pavelec objaśnia: „Chodzi o wschodnie rubieże Polski z lat 1921-1939. Kraje etnicznie ukraińskie, białoruskie i litewskie, związane („associés”) z królestwem Polski przed rozbiorem XVIII wieku, zagarnięte na nowo („réannexés”) przez Piłsudskiego i odebrane przez Z.S.R.R. w 1940 roku”. Skąd się wobec tego wzięli tam ci nieszczęśliwi Polacy Machajka?

A „odebrane przez Z.S.S.R.” wydaje się co najmniej eufemizmem jako określenie paktu Ribbentrop-Mołotow.

W tym samym tekście Machejka, przypisek p. Pavelec do „A.K.”: „Armia Krajowa: ruch oporu zależny od reakcyjnego rządu polskiego, który: usunął się do Londynu („replié à Londres”). Gdyby p. Pavelec powiedział „burżuazyjny” rząd polski, podobnie jak można, w pewnym związku pojęciowym, powiedzieć „burżuazyjny rząd Bluma”, czy „burżuazyjny rząd labourzystów”, nie mielibyśmy do niego pretensji. Ale „reakcja” ma ściśle, odmienne znaczenie, które w żadnym wypadku nie stosuje się do rządu Sikorskiego, Mikołajczyka czy Arciszewskiego, rządu który „usunął się do Londynu” podobnie jak De Gaulle i Masaryk.

Po rehabilitacji A.K., odważnie przeprowadzonej przez młodych komunistów z „Po Prostu”, tego rodzaju komentarze przenoszą nas w minioną już epokę.

Wreszcie, znów przy tekście Machejka, znajdujemy przypisek p. Pavelec w którym czytamy: „Ślawetna („la plus belle”) epoka faszystów polskiego, pod rządami Rydza-Śmigłego i osławionego („fameux”) pułkownika Becka”. Czy należy ekipie „Temps Modernes”, która za zadanie sobie stawia „demystyfikację” życia, przypomnieć że „faszyzm” jest ściśle określonym politycznym terminem, a nie pojęciem uczuciowym? P. Pavelec mógłby z korzyścią odczytać raport Leona Wudzkiego, członka K.C. na VIII Plenum, w którym Wudzki porównuje względny liberalizm sanacyjnej Polski z policyjnym terrorem Polski stalinowskiej. Niechęć, czy nawet nienawiść do polskiej przedwojennej dyktatury jest zrozumiała i nikomu byśmy jej nie mieli za złe. Obowiązuje jednak, w przypiskach historycznych, minimum obiektywizmu. Wydaje się że p. Pavelec go nie posiada, gdyż trudno inaczej wytłumaczyć sobie tak poważną nielojalność, jak sfalszowanie tłumaczenia, którego dopuszcza się na tekście Antoniego Słonimskiego.

Słonimski pisze o konieczności rewizji stosunku do literatury i osiągnięć polskich dwudziestolecia niepodległości. Wspomina o swobodzie jaką cieszyli się w tym okresie twórcy o skrajnie lewicowych poglądach, członkowie Partii Komunistycznej: Kruczkowski, Broniewski, Schiller, Daszewski. W Polsce Ludowej twórczość tych artystów została „zdruzgotana” („annihilée”): „nasi koledzy Stande, Wandurski, Bruno Jasiński zginęli w więzieniu, i w nie polskim więzieniu”. Otóż za każdym razem (trzykrotnie w tym ustępie), gdy Słonimski mówi o „literaturze dwudziestolecia”, p. Pavelec tłumaczy — „literatura XX wieku”. Czyżby jakiś refleks nie pozwalał mu na uczciwe tłumaczenie z chwilą gdy w grę wchodzi „Polska faszystowska”?

Przypiski p. Paveleca są niewspółmiernym drobiazgiem w zestawieniu z całością doskonałego numeru „Temps Modernes”. Sprawiają jednak tym dziwniejsze wrażenie, że wydają się echem epoki, przeciw której właśnie zwrócone są wszystkie polskie teksty.

Na skromniejszą skalę zakrojony jest polski numer *Preuves* (kwiecień 1957). Składają się nań następujące teksty: Maria Dąbrowska: „Rozmowa z Diabłem”; Antoni Słonimski: „Obrona Inteligenta”; Jerzy Andrzejewski: „Mój Nowodwórów”; Julian Przyboś: „O całą prawdę w literaturze”; Mieczysław Jastrun: „O wolności słowa”; Andrzej Braun: „O poświęce-

niu”; Jan Kott: „Hamlet po XX Zjeździe”; Wiktor Woroszyński: „Pożegnanie z mitem”; wiersze Przybosia i Wata, Jastruna, Ważyka, Żuławskiego, Hertza, Różewicza, Herberta, Białoszewskiego, oraz nowela Marka Hłaski „Pierwszy Krok w Chmurach”.

Czytelnik francuski znajdzie w tym numerze „Preuves” uzupełnienie wyboru dokonanego przez „Temps Modernes”. Podczas gdy miesięcznik Sartre’a skoncentrował się na tekstach polskich ilustrujących polityczne wydarzenia i przemiany, „Preuves” więcej miejsca poświęca literaturze. Całość wydaje się poniekąd odpowiedzią na wezwanie Juliana Przybosia, w szkicu zamieszczonym w „Preuves”. Przyboś stwierdza w nim, że pisarze i poeci, którzy w okresie wielkich przemian poświęcili się publicystyce, winni obecnie wrócić do literatury:

„Wiersze przestaną być wydarzeniami tylko dlatego, że wymówiły brutalną prawdę wyręczając dziennikarzy. Od wierszy trzeba teraz od nowa — chciałbym rzec, po staremu — wymagać więcej niż od rymowanych manifestów tylko — zdań piękniejszych, a więc mocniejszych i trwalszych, niż okrzyki najpłomienniejszego „J'accuse” publicysty. Poezja jest rzeczą większą, trudniejszą. I jest rzeczą aktualniejszą — bo zamierzoną na aktualność wieczną”.

Nie mówiąc już o pięknych wierszach poetów starszego pokolenia, zawartych w wyborze „Preuves”, świetne utwory młodych, jak wiersz Białoszewskiego i nowela Hłaski są dowodem, że wolność w Polsce jest nie tylko deklaratywna, ale i twórcza.

W tym samym numerze „Preuves” ważny szkic Czesława Miłosza o literaturze polskiej, ujętej jako konflikt między społeczną służbą pisarza i dążeniami do wypowiedzi indywidualnej. Zdaniem Miłosza, właśnie tradycja „społeczna” literatury polskiej ułatwiła jej wyzwolenie się spod stalinowskich więzi.

„Critique” przynosi w numerze marcowym poważne studium Bernard Cazes’a o gospodarce polskiej, oparte o cztery prace J. Marczewskiego (w pierwszym rzędzie jego dzieło „Planification et croissance économique des Démocraties Populaires”, Presses Universitaires de France, 1956); o pracę J. Poniatowskiego: „Productivité, capital et travail dans l'agriculture polonaise d'après guerre” (Fondation nationale des Sciences politiques, 1955); książkę H. Wrońskiego: „Le rôle économique et social de la monnaie dans les Démocraties Populaires” (Marcel Rivière, 1954); wreszcie o artykuły M. Kaleckiego: „Rady robotnicze a centralne planowanie”; O. Langego: „Budowa Nowego Modelu Gospodarczego” i E. Lipińskiego: „Model Gospodarki Socjalistycznej”, opublikowanych w „Nowych Drogach” (listopad-grudzień 1956).

Artykuł Cazes’a wykracza poza ramy recenzji i daje krótki, rzeczowy, i dość pesymistyczny, szkic polskiej sytuacji gospodarczej.

A. N.

OBIETNICE I... RZECZYWISTOŚĆ

no. 117, p. 118

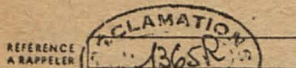
RÉPUBLIQUE FRANÇAISE

POSTES - TÉLÉGRAPHES - TÉLÉPHONES

BUREAU de : PARIS 118

TÉL.

C.C.P. Paris 118



Le 5 Mars 1957.

Monsieur,

Comme suite à votre réclamation relative à un envoi recommandé adressé par vos soins le 26/9/56 sous n° 8677 à Réd. GOSCNIEDZIELNY Stalinozrod Plebiscytuwa 49A,

J'ai l'honneur de vous informer que l'Office Polonais a fait connaître que l'envoi décrit sur la formule de réclamation avait été saisi comme renfermant des journaux dont la circulation est interdite en Pologne.

Veuillez agréer, Monsieur, l'assurance de ma considération distinguée.

Le Receveur,

Zamieszczona fotografia oficjalnego stwierdzenia poczty polskiej — Z 5-go MARCA BR. — że „Kultura” jest pismem zakazanym w Polsce i dlatego nie została doręczona redakcji „Gościa Niedzielnego”, świadczy, że, niestety, trzeba nadal, z bardzo poważnymi zastrzeżeniami przyjmować deklaracje czynników krajowych o „zacieśnieniu współpracy z emigracją”. W ostatnich tygodniach otrzymaliśmy zresztą kilkadziesiąt listów (w tym od szeregu instytucji państwowych, naukowych, redakcji pism itd.), stwierdzających, że wystane im egzemplarze „Kultury” i książek nie doszły. Chcemy wierzyć, że jest to tylko niechlujstwo biurokratyczne a nie zamierzona polityka.

Nad warszawskim « Przeglądem Kulturalnym »

Odpowiedź na artykuł J.A. Wieczorkowskiego „Nad pa-ryską „Kulturą” (Przegląd Kulturalny 8/57), o której napisanie prosił mnie jej redaktor, nie jest łatwym zadaniem. Czuję się bowiem jak ktoś, kto ma polemizować ze stanowiskiem, iż twór-czo rozwija się kartezjanizm lub filozofia Empedoklesa, gdyż uznajemy nakaz myślenia w sposób „jasny i wyraźny”, a świa-tem nadal rządzi miłość i niezgoda.

Wieczorkowski nie zgadza się z tezą mego artykułu w „Kul-turze” (1-2/57), iż w Polsce obserwujemy zmierzch marksizmu-leninizmu. Lecz różnice między nami są bodaj mniejsze niż się to może wydawać na pierwszy rzut oka.

Trudno jest wątpić o zmierzchu marksizmu-leninizmu, jeżeli rozumie się przez to malejącą liczbę jego wyznawców. „Nie-wątpliwie obserwujemy obecnie cofnięcie się wpływów ideolo-gicznych marksizmu i to w skali przekraczającej granice Polski”, pisał A. Schaff w tym samym co Wieczorkowski numerze „Prze-glądu Kulturalnego”. „Kto tego nie chce widzieć, okłamuje siebie i innych”.

Trudno jest także wątpić o zmierzchu, gdy marksizmem-leninizmem nazywamy skodyfikowany przez Stalina zbiór twier-dzeń zaczerpniętych z pism Marksa, Engelsa i Lenina w stali-nowskiej interpretacji. O tym „systemie” pisałem, iż dzieli los jego twórcy. Nie przypuszczam, by Wieczorkowski zamierzał podawać tę tezę w wątpliwość.

Przez marksizm-leninizm rozumieć można jednak również teorie Marksa i Lenina w ich pierwotnej, oczyszczonej od stali-nowskiej interpretacji postaci. Odczytanie ukrytego tekstu pa-limpsestu jest jednak drogą, która prowadzi do nikąd. Jasną jest bowiem rzeczą, iż empiryczne uogólnienia, historyczne interpre-tacje i aprioryczne założenia teorii Marksa i Lenina wymagają gruntownej rewizji, niezależnie od zniekształceń, jakim uległy w wersji nadanej im przez Stalina. Jawnie fałszywe jest prawo postępowej pauperyzacji, zanikania klas pośrednich, klasowej polaryzacji, liczbowego wzrastania proletariatu stojącego się większością i ustanawiającego „dyktaturę”, cyklicznych nieunik-nionych kryzysów, zniżkowej tendencji zysku od kapitału (pro-gresywnej zmiany stosunku kapitału „stałego” i „zmiennego” na niekorzyść tego ostatniego), obumierania państwa, przekształ-cania się rządzenia ludźmi w administrowanie rzeczą, jak i wie-le innych praw i twierdzeń, jakie można by do tej listy dorzucić. Świat wygląda dzisiaj inaczej aniżeli miał wyglądać według prze-widywań znanych z „Manifestu Komunistycznego” i „Kapitału”.

a również odmiennie od obrazu zarysowanego przez Lenina w „Państwie i Rewolucji” i „Imperializmie”. Marksizm-leninizm w drugim z wyróżnionych znaczeń popada w konflikt z rzeczywistością, w której jego wyznawca żyje, przestaje być adekwatnym narzędziem opisu i analizy współczesnego świata. W tym wypadku zamiast o zmierzchu lepiej jest mówić o przemijaniu teorii Marksa i Lenina. Engels nie byłby tym faktem zdumiony. Kto w „naukach historycznych” poluje na prawdy ostateczne i niezmiennie, pisał Engels w „Anty-Düringu”, „nie wiele upoluje — co najwyżej banały i komunały najgorszego gatunku”.

Wieczorkowski nie podziela, jak się zdaje, tego stanowiska, a nadto uważa, iż przemijanie teorii Marksa i Lenina nie dotyczy „esencji marksizmu”, która nadal pozostaje nienaruszona. Za tę „esencję marksizmu” uważa on materialistyczną interpretację świata i zasady dialektyki. Materialistyczna interpretacja świata nie jest własnością marksizmu. Przed i po Marksie istnieli wyznawcy materialistycznego światopoglądu, który rozwijał się głównie dzięki rozwojowi nauk ścisłych i z ich inspiracji. Marksizm-leninizm w drugim z wyróżnionych znaczeń niewiele się do tego przyczynił, a w znaczeniu pierwszym często był przeszkodą na tej drodze. Nadto, jeżeli „marksizm” nie jest terminem równoznacznym z „materialistyczną interpretacją świata”, trwałość i żywotność materializmu nie stanowi argumentu za trwałością i żywotnością marksizmu. Z drugiej strony historyk, który staje na gruncie historycznego materializmu, uznając go za płodną hipotezę lub cenną metodologiczną dyrektywę, nie dostarcza tym samym argumentu za słusznością materializmu ontologicznego. Trudno traktować znakomitego historyka Herberta Butterfielda za podporę materialistycznej interpretacji świata. Żadnemu zwolennikowi nowoczesnego materializmu, powiedzmy ze szkoły Bertranda Russella lub Tadeusza Kotarbińskiego, nie przysłoby na myśl powoływać się na Butterfielda dla wykazywania, iż w sporze między materialistami i dualistami rację mają materialistyczni moniści.

Zasady dialektyki są raczej częścią spadku Engelsa aniżeli Marksa. Były one szatą słowną i stylem filozofowania, właściwym owym czasom. Marks pozostał wierny duchowi czasu nawet porzuciwszy Hegla. H.B. Acton w książce „The Illusion of the Epoch” zwrócił uwagę na to, iż Marks w dialektyce upatrywał właściwość odróżniającą korzystnie metafizykę Hegla od „spekulatywnych” metafizyk jego poprzedników. Lecz to rozróżnienie nie miało dla niego istotnego znaczenia, gdyż Marks był przeciwnikiem wszelkiej metafizyki i spekulatywnej filozofii. Jak pisał w „Niemieckiej Ideologii” w miarę rozwoju nauk filozofia traci rację bytu. Są to jednak sprawy o znaczeniu wyłącznie historycznym.

W zastosowaniu do współczesnego przyrodoznawstwa zasady dialektyki wyglądają niemniej antycznie aniżeli wspomniane zasady Empedoklesa lub najwyższe zasady bytu Anaksy-

menesa upatrującego w rozrzedzaniu i zgęszczaniu się pierwotnej substancji prawa dynamicznego rozwoju materii. W najlepszym wypadku niektóre zasady dialektyki wypowiadają prawdy banalne gdyż banalną jest prawda, iż należy uwzględniać zmienność i współzależność zjawisk — podczas gdy inne (o przechodzeniu zmian ilościowych w jakościowe lub „negacji negacji”) nie dostarczają użytecznych wskazań w badaniach naukowych. Zasady dialektyki nie ma potrzeby podważać, gdyż nigdy nie były ustanowione bądź jako faktycznie stosowane, bądź heurystycznie użyteczne dyrektywy metodologii. W poprawnym rozumowaniu, poprawnym obserwowaniu faktów i w innych empirycznych metodach zasady dialektyki są zbędnym i obciążonym metafizyką balastem. Gdyby losy marksizmu zależały od zasad dialektycznych, marksizm już dawno byłby zapomniany.

„Esencji marksizmu” nie należy szukać w określonych doktrynach i szczegółowych twierdzeniach, gdyż w ten sposób nigdy się jej nie odnajdzie. Przemijanie systemu Marksa jest w historii myśli ludzkiej normalnym i nieuniknionym zjawiskiem. Wielcy myśliciele, do których Marks należy, pozostawiają trwałe spadek następcom, lecz spadek ten nie składa się ze zbioru prawd niewzruszonych, po które sięga się jak do przykazań katechizmu. Nasza wiedza o świecie bogaci się i rozwija (Wieczorkowski nazywa to „sprawdzaniem się twierdzenia Marksa”, chociaż trafniej byłoby początek przekonania o nieograniczonym postępie nauki odnieść do Bacona i myślicieli XVIII wieku). Pod naporem nowych faktów, nowych uogólnień i odkryć, na długą metę nie ostoje się żaden system. W miarę upływu czasu następcy wielkich myślicieli rozwijają ich naukę, odrzucają co w niej okazało się błędne lub prawdą cząstkową, a wreszcie znika z niej wszystko prócz kilku maksym, pewnej tradycji myślenia i postawy do rzeczywistości, dla których dzieła wielkiego myśliciela pozostają źródłem niewyczerpanej inspiracji. W tej i tylko w tej postaci zachować one mogą na długą metę swój twórczy charakter. W Husserlu odrodził się platonizm, w Brentano i tomistach — arystotelizm, w empiriokrytycyzmie — postawa do rzeczywistości Berkeleygo, a spór między formalistami i intuicjonistami w badaniach nad podstawami matematyki wiodzi się z różnic dzielących matematyków greckich IV wieku przed Chrystusem. Lecz fenomenolodzy nie są platończykami, Brentano i tomiści — perypatetykami, Mach i Avenarius — subiektywnymi idealistami, Hilbert — „euklideszkiem”, Brouwer — ateńskim intuicjonistą. Trwałe i twórcze są podstawowe idee i postawy do rzeczywistości, a nie oparte na nich systemy uwarunkowane przez okoliczności czasu i przemijające wraz z nimi.

Zmierzch marksizmu-leninizmu w obu wyróżnionych znaczeniach stanowi w Polsce powrót do właściwej perspektywy historycznej i naturalnego rozwoju myśli ludzkiej. Na tym gruncie, oczyszczonym z rumowisk, może się wreszcie wyzłoczyć twórcza rola marksowskiej tradycji. Tradycja ta nie wymaga wyznawania określonych twierdzeń Marksa. Empiryk w teorii poznania

nie utożsamia się z Lockiem i Humem, a racjonalista z Descartesem i Leibnizem. Marksista, może lepiej — marksologiem, jak dla uniknięcia słownych nieporozumień sugerował Henri Lévy-Brühl, jest ten kto zajmuje postawę do rzeczywistości charakterystyczną dla Marksa, postawę skierowaną na materialne warunki życia społecznego i ich funkcję w rozwoju społecznym i historycznym.

Wieczorkowski szuka nie tylko filozoficznej i humanistycznej „esencji marksizmu”, lecz również „esencji” politycznej i ideologicznej. Zapytuje się on: „Czy zmienił się pogląd na rolę proletariatu, na stosunki produkcyjne w elementarnej syntezie (?) — uspołecznienie środków wytwórczych? Czy zmieniono zasadę: każdemu według jego potrzeb — na życzenie: według potrzeb i jeszcze ciut ciut?”. Łatwą byłoby rzeczą odpowiedzieć — owszem, zmieniono pogląd na rolę proletariatu, na zasadę „każdemu według jego potrzeb”. Zmieniono je tak gruntownie, iż owe „ciut” ponad potrzeby dla górnych kilkudziesięciu tysięcy stanowiło poważny uszczerbek w funduszu płac a proletariatus stał się klasą, której rządzący, jak pisał kiedyś Adolf Rudnicki, zabierali nie tylko owoce pracy, ale i dusze. Należy to dzisiaj w Polsce — oby trwale — do przeszłości, lecz z przeszłości wyciągnąć trzeba właściwe konkluzje.

Polityczna „esencja marksizmu” — wiara w historyczną rolę proletariatu i zasada „każdemu według jego potrzeb” — nie zabezpiecza przed obojętnością, a niekiedy pogardą, dla żądań wyzyskiwanych o sprawiedliwość społeczną i o zaspokojenie najelementarniejszych potrzeb. Łączyło się z nią bowiem przekonanie, iż ustrój sprawiedliwości społecznej jest koniecznością dziejową, która nadejdzie we właściwym czasie stosownie do wyroków Historii ułożonej w abstrakcyjny wzór następstwa zdarzeń. Doświadczenia historyczne wykazały, iż wydarzenia dziejowe nie układają się w taki wzór, a deterministyczna i fatalistyczna postawa zamiast do progresywnej realizacji sprawiedliwości społecznej prowadzi do jej zaprzeczenia, do wyzysku i rządów nad proletariatem w jego „obiektywnym” interesie. Działo się to pod auspicjami Marksa i w imię „naukowego socjalizmu”.

Można być człowiekiem nauki lub socjalistą, lub jednym i drugim, lecz nie można być naukowym socjalistą. Socjalizm jest pewnym hierarchicznym zespołem wartości, a wartości z wiedzy o faktach wyprowadzić się nie da. Socjalistami stajemy się z wolnego wyboru i w tym wyborze nasza wiedza może nam być pomocna. Nie może być natomiast mowy o związkach logicznych między teoretyczną doktryną z jednej, a ideologią i programem politycznym z drugiej strony. Teoretyczna doktryna jest zbiorem zdań o faktach, ideologia nie może obejść się bez sądów wartościujących.

Potężny wpływ, jaki Marks wywarł na rozwój myśli społecznej i ugruntowanie się socjalizmu nie wywodzi się z odkrycia rzekomych praw historii, prowadzących „z koniecznością

praw natury” do ustroju społecznej sprawiedliwości. (Podobna koncepcja jest jakąś wersją świata celowo urządzonego, który postuluje finalizm w naukach przyrodniczych). Nie wywodzi się on także z praktycznych zaleceń i teorii politycznych, jakie się Marksowi przypisuje na podstawie wyrwanych z kontekstu fragmentów lub wyprowadzanych z jego pism, z mniejszą lub większą dowolnością. Marks mylił się nadto pod niejednym względem nie tylko w dziedzinie teorii, lecz również ideologii i praktycznych zaleceń. Marks natchnął jednak wielkie masy przekonaniem, iż urzeczywistnienie socjalizmu, społeczeństwa ludzi wolnych, równych, pełnych ludzkich osobowości, korzystających bez ograniczeń z obfitości dóbr materialnych i duchowych, jest możliwe i osiągalne. Jego pisma pozostaną na zawsze inspiracją dla wszystkich walczących z wyzyskiem, niesprawiedliwością i krzywdą społeczną. Ten ideał nie jest wyłączną własnością Marksa, lecz w jego dziełach i działalności znalazł potężny i nieprzemijający wyraz.

Odrzucenie politycznej „esencji marksizmu” — logicznej współzależności teorii i ideologii — jest niezbędnym warunkiem dojścia do głosu politycznej marksistowskiej tradycji jako siły orientującej w działaniu i pobudzającej do działania. Socjalizm jest zawsze „utopiijny” w tym sensie, iż jego realizacja jest funkcją dobrej woli i zbiorowego działania dla urzeczywistnienia określonych, a więc ograniczonych celów, powołania do życia instytucji poręczających we wzrastającej mierze wcielanie w życie idei sprawiedliwości społecznej. Odrzucenie politycznej „esencji marksizmu” jest tego warunkiem koniecznym, gdyż w przeciwnym razie powstaje tendencja do traktowania marksizmu jako zbioru niezmiennych przepisów i jednoznacznie wyznaczonej drogi do socjalizmu, gwarantującej automatycznie osiągnięcie milenium. W praktyce oznacza to dobieranie nieskutecznych środków w dążeniu do socjalizmu lub takich, które wiodły do jego przeciwności. Pozbawiało to socjalizm zarówno pragmatycznego jak i moralnego uzasadnienia.

W Polsce dostrzec można wiele znaków, iż powstają warunki sprzyjające odradzaniu się politycznej tradycji marksizmu. Wśród nich za znak najważniejszy uznać trzeba powrót do podstawy empirycznej i oceny osiągnięć w świetle sprawdzalnych kryteriów, kryteriów „chleba i wolności”, hic et nunc, zamiast dla odległej potomości. Gdy socjalizm staje się postawą moralno-polityczną, wyznaczoną przez hierarchicznie uporządkowany zespół wartości, przyznającą faktom i doświadczeniom należne im miejsce, bez zmiany brzmienia zmienia się sens zasady „każdemu według jego potrzeb”. Nie można już bowiem być „marksistą” i znać tylko z imienia ideę sprawiedliwości społecznej. Zmienia się także „pogląd na proletariatus”, jeżeli z przedmiotu rządzenia stać się ma klasą wolnych ludzi pracy decydujących o tym, jakie są ich potrzeby i aspiracje.

Zmierzch marksizmu-leninizmu jest wydarzeniem wielkiego znaczenia, gdyż toruje drogę do idei humanistycznego socja-

lizmu. Bez odrodzenia się tej idei nie podobna zmienić rzeczywistości, lecz tylko zmianami w rzeczywistości społecznej mierzyć możemy realność odrodzenia się idei socjalizmu.

W tym sensie gotów jestem przyznać pewną rację Wieczorkowskiemu, iż „nie ma jeszcze podstaw do głoszenia zmierzchu”. Jedynie rozwój wydarzeń w kraju może ostatecznie rozstrzygnąć spór o to, czy zmierzch marksizmu-leninizmu jest tylko optycznym złudzeniem, czy też trwałym i realnym osiągnięciem na drodze do społecznego postępu.

Zbigniew JORDAN

Nadesłane nowości wydawnicze

KSIĄŻKI EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

JANTA (Alexander). *Duch niespokojny*. Str. 283. Obwolutę projektował Wł. Szomański. (Wyd. „Gryf”, Londyn, 1957. Wyd. amerykańskie — \$4; wyd. europejskie — 20 sh.

HRĄBYK (Klaudiusz). *Kraj i emigracja*. Str. 187 i 3 nlb. (Wyd. New York, 1957).

90 lat Towarzystwa Polskiego w Zurychu. Str. 40. (Wyd. T-wo Polskie w Zurychu).

WEINTRAUB (Wiktor). *Mickiewicz, Lamennais and Biblical Prose*. Str. 644-652. (Odbitka z „For Roman Jakobson”, 1956). Mouton and Co, S. Gravenhage).

WEINTRAUB (Wiktor). *Adam Mickiewicz, 1798-1855: A biographical Sketch*. Str. 589-601. (Odbitka z „Mickiewicz in World Literature”, California Univ. Press., 1956).

WEINTRAUB (Wiktor). *Some Remarks on the Style of Mikolaj Sep Szarzyński*. Str. 560-569. (Odbitka z Vasmer's-Festschrift, Berlin, 1956).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Totalitarianism and rationality*. Str. 751-763. (Odbitka z „The American Political Science Review”, Vol. L., Nr 3, September, 1956).

WEINTRAUB (Wiktor). *Dlaczego Mickiewicz przestał pisać?* Str. 14. (Odbitka z książki zbiorowej „Mickiewicz Żywy” wydanej staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Świdzki, Londyn, 1956).

KOMARNICKI (Tytus). *L'état satellite. Un cas moderne d'intervention*. Traduction française de Mohammad Saleh El Bondach, Str. 16. (Wyd. Editions de l'Association des Juristes Polonais en exil, Beyrouth, Liban, 1957).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *The Politics of Underdevelopment*. Str. 55-75. (Odbitka z „World Politics”, Vol. IX, Nr. 1, October, 1956).

WANDYCZ (Piotr S.). *Czechoslovak-Polish Confederation and the Great Powers, 1940-1943*. Str. 152. (Wyd. Indiana University Publications, Slavic and East European Series, Vol. 3, 1956).

ZALESKI (Eugène). *Mouvements ouvriers et socialistes (Chronologie et bibliographie)*. La Russie. Tome II.: 1908-1917. Pp. 492. (Les Editions Ouvrières, Paris, décembre, 1956, fr. 2.175).

KWAŚNIEWSKI (Tadeusz). *An Open Letter of a Chicago Waiter to W. Churchill*. Str. 20. (Wyd. 7., Chicago, 1957).

KRAMPF (Miriam). *La conception de la vie héroïque dans l'œuvre de Romain Rolland*. Pp. 152, 8 nlb. (Ed. Le Cercle du Livre, Paris, 1956).

The Anti-Stalin Campaign an International Communism. A Selection of Documents, Edited by the Russian Institute, Columbia University. Str. 342. (Columbia University Press, New York, 1956).

WOWK (Wira). *Duchy i derwiszi*. Str. 157. (Wydawnictwo Ukrainskie, Monachium, 1956).

WOWK (Wira). *Elehii*. Str. 27. (Wyd. Ukrainskie, Monachium, 1956).

TARNAWSKYJ (Ostap). *Mosty. Poemi*. Str. 78. (Nakł. Zw. Pisarzy Ukraińskich „Słowo”, New York, 1956).

KAMENETSKY (Ihor). *Hitler's Occupation of Ukraine (1941-44)*. Str. 112. (Wyd. The Marquette University Press, Milwaukee, USA, 1956. Cena dol. 3,00).

KSIĄŻKI KRAJOWE

KOWALCZYK (Teofil). *Kłopot z księżycem*. Poezje. Str. 16. T. I. Arkuszy Poetyckich „Sygnałów”, Zw. Literatów Polskich, Oddział we Wrocławiu, Wrocław, 1957).

KAPROWICZ (Tymoteusz). *Gorzkie Źródła*. Poezje. Str. 16. (Tom II. Arkuszy poetyckich „Sygnałów”, Zw. Literatów Polskich, Oddział we Wrocławiu, Wrocław, 1957).

KOSZUTSKI (Kazimierz). *Trudny horyzont*. Poezje. Str. 16. (Tom III. Arkuszy Poetyckich „Sygnałów”, Zw. Literatów Polskich, Oddział we Wrocławiu, Wrocław, 1957).

ZELENAY (Tadeusz). *Żółte okno*. Poezje. Str. 16. (Tom IV Arkuszy Poetyckich „Sygnałów”, Zw. Literatów Polskich, Oddział we Wrocławiu, Wrocław, 1957).

CHACIŃSKI (Stanisław). *Tematy*. Poezje. Str. 16. (T.V. Arkuszy Poetyckich „Sygnałów”, Zw. Literatów Polskich, Oddz. w Wrocławiu, Wrocław, 1957).

BARTYŃSKI (Andrzej). *Dalekopisy*. Poezje. Str. 16. (Tom VI Arkuszy poetyckich „Sygnałów”, Zw. Literatów Polskich, Oddz. w Wrocławiu, Wrocław, 1957).



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOSC

Katalog 100 popularnych paczek oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.) na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

121, Earls Court Road, London. S.W.5.

Telefon: FREmantle 7888/9

Historia U. S. A.

POLSKIE OPRACOWANIE HISTORII STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Biblioteka „Kultury” zrealizuje niebawem jedno z najważniejszych przedsięwzięć wydawniczych o znaczeniu ogólnopolskim. Będzie nim wydanie wyczerpującej „Historii Stanów Zjednoczonych”. Jest to owoc kilkunastoletniej pracy i studiów Pawła Zaremby, historyka i publicysty.

Książka Zaremby obejmować będzie ogółem około 600 stron druku. Podzielona jest na sześć części i piętnaście rozdziałów, przy czym każda część posiada krótką syntezę omawianego w niej okresu historii Stanów Zjednoczonych, podkreślając znaczenie zjawisk społecznych i kulturalnych. Części noszą następujące tytuły: Rewolucja, Federacja, Dom Podzielony, Kontynent, Mocarstwo Światowe i Cywilizacja. Cennym uzupełnieniem pracy jest: pierwszy pełny i dosłowny przekład Konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz wykazy synchronistyczne. Indeks rzeczowy dawać będzie czytelnikowi łatwość orientacji w bogatym materiale.

Ważkość zapowiadzanego wydawnictwa polega nie tylko na jego nowości i pionierskim charakterze w historiografii polskiej. „Historia” Zaremby jest czymś więcej niż kompilacją lub podręcznikiem. Jej oryginalność polega na wprowadzeniu własnego podziału na okresy, oraz na podkreśleniu „kresowego” charakteru kultury i rozwoju narodu amerykańskiego. Wojna Domowa, specjalność naukowa autora, omówiona jest w oparciu o własne tezy autora. Ponadto książka kładzie szczególnie nacisk na problemy ustrojowe i — co jest dla czytelnika polskiego najważniejsze — została napisana specjalnie dla Polaków z określonym zamiarem pokazania w jaki sposób Stany Zjednoczone, stosując zasady demokratyczne, z kolonii brytyjskiej przekształciły się w największe mocarstwo świata, stając się z izolowanego, peryferyjnego kraju — głównym bastionem cywilizacji chrześcijańskiej. Napisaną stylem lekkim, lecz precyzyjnym, „Historię” Zaremby czyta się prawie jak powieść.

Jesteśmy pewni, że praca Zaremby, którego oceną krytyczną zajmą się specjaliści powitana będzie chętnie przez polskich czytelników, spragnionych wiadomości i wyjaśnień o sprawach kraju, z którego rozwojem i polityką losy Polski związały się tak mocno.

Listy do Redakcji

Toronto, 7. 2. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uzupełniając moją wypowiedź w sprawie uchwały Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na Obczyźnie, oświadczam że z dniem wydrukowania jej w „Kulturze” rezygnuję z członkostwa i tak długo, jak uchwała ta istnieć będzie, nie chcę mieć nic wspólnego ze Stowarzyszeniem.

Nie mogę w tym momencie zdobyć się na minimum tolerancji w stosunku do autorów tak antypolskiego wystąpienia i nie widzę żadnego usprawiedliwienia dla tego monstrualnego tworu, będącego konglomeratem pustych zdań i wyświechtanych zwrotów, przy których szczerość i piękno języka polskiego jest tylko legendą. Przypomina mi się w tej chwili taktowne i z talentem zredagowane wystąpienie pisarzy polskich w sprawie Węgier, przy którym uchwała londyńska jest klasycznym przykładem „drętwej mowy” napisanej „drętłym sercem”.

Często przeżywam we śnie i na jawie sen-widzenie: Oto są powszechne i demokratyczne wybory w Polsce. Obserwatorzy i korespondenci zagraniczni w pozycji wyczekiwanie. Żołnierze UNO przy urnach wyborczych pilnują czystości głosowania. Emigracja zaproszona przybywa, bo trudności finansowe, jak to zwykle we śnie bywa, nie istnieją. Każdy obywatel dostaje w dniu głosowania białą-czerwoną maskę. Cała Polska ma monotony wygląd, ale za to jest stuprocentowa gwarancja. Strach nie wykrzywia już twarzy.

Megafony Radia Free Europe przemawiają swobodnie wieloma językami. Wszystkie emigracyjne rządy i nierządy, rady, zgrupowania i organizacje, kluby jedno- i wieloosobowe przybywają do Polski. Moment jest przecież historyczny; nadszedł dzień wyzwolenia Kraju. Prezesi, dyrektorzy, wódcowie, prezydenci mają prawo kandydowania w wyborach, co też robią. Głosowanie jest więc istotnie powszechne i wolne.

Czy mimo takiej swobody można ludzić się co do rezultatów? Wierzyć, żeby ktoś z emigracyjnych wielkości miał szansę? Nie! Absolutnie, kategorycznie, logicznie nie! Polacy wybraliby jakiegoś Gomulkę, ale byłby to Gomulka z krwi i kości, polski i autentyczny — nie emigracyjny. Jestem przekonany, że zdecydowana większość emigrantów głosowałaby na kandydata krajowego. Nie ten więc moment byłby zaskoczeniem, ale — i tu dotykamy sedna sprawy — co zrobiłaby masa niezdrowych marzycieli politycznych, zapatrzona w przedwojenny obraz Polski, przekonawszy się po wynikach wyborów, że już nigdy nie ujrzą raju utraconego? Jestem przekonany, że za wiedzeni, opuściliby Polskę razem z policją UNO. Nic by już ich nie obchodziły losy samostanowiącego o sobie Kraju i mądre hasła wyuczone na Zachodzie. Wyjechaliby uprawiać w dalszym ciągu antypolską, kurzą politykę.

Zdziwiło mnie stanowisko Mackiewicza w ostatniej ankiecie „Kultury”. Sprawiedliwy czytelnik ucieszyłby się z tylu uczciwie sformulowanych odpowiedzi. Dla Mackiewicza jednostronność ich była tak monotonna, że zmusiła go do wzięcia udziału w ankiecie. Nie istota ankiety, nie zasadnicza postawa Polaka i pisarza kierowały Mackiewiczem, ale pozytywna zgodność odpowiedzi. Jeżeli Mackiewicza razi „drętwa mowa” wielu pi-

sarży, to po przeczytaniu jego wypowiedzi, już nie razi ale przeraża „drętwe serce” autora „Drogi do nikąd”.

Pan Mackiewicz wynalazł „złotego cielca”, w którego uwierzył, emigrację polityczną — i wara komukolwiek w imię czystości „politycznej” uczciwie sympatyzować z Polską, komunikować się z narodem, współpracować na tak wąskiej, ale istotnej stycznej: w dziedzinie literackiej, gdzie właściwie pisarz dzieli się sam z sobą najintymniejszymi wyznaniaми i wzruszeniami, które określa się popularnie dziełem literackim. Nie! W imię „złotego cielca” tymi wyznaniaми, tak bardzo osobistymi, nie można podzielić się z Krajem, bo tam panuje polityczna zaraza. Wiemy, że w „zarazie” tej matki karmią dzieci, młodzież uczy się w szkołach, nasi najbliżsi modlą się o chleb codzienny, uczeni piszą książki, a młodzi kochają się, deklamując miłosne wiersze, zło i dobro idą pod rękę, jak zawsze i we wszystkich punktach kuli ziemskiej. W tym wszystkim istnieje, niestety, bolesny pył polityczny, który gdy chwila właściwa nadejdzie, zdecydowana dłoń narodu zerze ze swego oblicza. Struktura naszego świata jest dziś taka, że nie można obejść się bez tego pyłu w ustroju państwa. Wiemy dobrze — i o tym karząc nas nauczyciel Mackiewicz powinien też wiedzieć, że żaden jeszcze filozof, nie mówiąc o płytkich politykach, nie ustalił bezspornej tabeli dobrych i złych ustrojów politycznych. Najpiękniejszy ustrój państwa „A” może zamienić w ruinę państwo „B” i odwrotnie. Ustrój, to przecież całe społeczeństwo i ono może być złe lub dobre, mądre lub wynaturzone, a nie idea wyssana z głowy lub, jak bywa częściej, z palca. Zresztą, całe narody przeobrażają się, a co dopiero ustroje polityczne. Gdyby jednak w jakimś ogólnym zaślepieniu większość dążyła do samobójstwa politycznego, to tym bardziej mądre głosy panów Mackiewiczów, Terleckich i jego „chłopców” potrzebne są jak pasy ratunkowe dla tonących. Nie mówiąc już o tym, że przebywając na Zachodzie nauczyliśmy się szanować głos większości. Ale może Monachium nie jest tak bardzo na Zachodzie?

Nie dziwi mnie i nawet nie wzrusza tragiczna duma Mackiewicz, nie drukowania w Kraju. Być w takich warunkach nawet „trochę dumny” jest objawem zwyrodnienia psychicznego czy strasznego zakłamania. Dla Mackiewicz, cały naród polski jest monstrualnym polipem komunistycznym w wydaniu stalinowskim, od którego należy się zupełnie odciąć. Nic więc dziwnego, że jego pióro nie jest już narzędziem pisarza ale skalpelem. Czy autora polskiego, przebywającego na emigracji nie stać już na napisanie: „Nie będę ukrywał, że wiem, iż mnie osobiście nikt nie proponuje (mowa o drukowaniu w Kraju). Ale wiem, że ukaza się książki Kuncewiczowej i innych, i nie będę ukrywał, że jestem z tego trochę dumny”. Żeby jednak tak napisać, nie można mieszkać ani w Monachium ani w Londynie.

Z pozdrowieniami

Wacław IWANIUK

10. 2. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ankietą: „Literatura emigracyjna a Kraj”, wypowiedział się między innymi p. Józef Mackiewicz, który zdecydowanie występuje przeciwko drukowaniu w Polsce utworów pisarzy emigracyjnych. P. Mackiewicz wypowiada swe poglądy z dużą pewnością siebie ale popiera je nieprzekonywującą argumentacją.

P. Józef Mackiewicz wychodzi z założenia, że wolalby pójść z Rosjanami przeciw komunistom niż z komunistami polskimi przeciw Rosjanom. Pogląd interesujący i wart dyskusji, gdy stanie się aktualny. Obecnie jed-

nak ani Rosja nie należy do krucjaty antykomunistycznej, ani komuniści polscy nie zwalczają Rosji *tout court*, lecz starają się uniezależnić od centrali komunizmu, znajdującej się w Rosji. Sformułowana teza p. Mackiewicza nie wiąże się z obecną sytuacją a więc i ze sprawą pisania lub nie pisania do Kraju w chwili obecnej.

Porównanie pierwszego okresu rządów Hitlera z gomułkowszczyzną nie rzuca wiele światła na obecne stosunki w Polsce. W roku 1933 w Niemczech rozpoczęło się ograniczanie swobody prasy, natomiast w roku 1956 w Polsce nastąpiło zwiększenie ich swobody. W cenie sytuacji politycznej kierunek zmian ma znaczenie kapitalne i nie należy go pomijać. Podobnie, spadek temperatury do zera w listopadzie ma zupełnie inne znaczenie niż nadejście odwilży w lutym, chociaż w obu wypadkach rtęć w termometrze znajduje się na tym samym poziomie.

Lenin titoistą — oto paradoks p. Józefa Mackiewicza, który pisze: niezależne państwo komunistyczne to titoizm, a więc Lenin wprowadził w Rosji titoizm w wyniku rewolucji październikowej. Autor pozwala się domyśleć czytelnikowi że zgubne skutki owego leninowskiego titoizmu w Rosji rokuja podobnie przykrą przyszłość obecnym komunizmom narodowym. Dotychczas zgadzano się jednak powszechnie, że titoizm polega na usamodzielnieniu się słabszego państwa komunistycznego od głównego ośrodka dyspozycji w świecie komunistycznym. Czyżby w roku 1918 Rosja była odszczepieńcem od głównego pnia państw marksistowskich?

Narodowy komunizm, przeciwko któremu można i należy wysunąć szereg zasadniczych zarzutów, nie polega jednak chyba na takich reformach wewnętrznych jak wprowadzenie dawnych epoletów czy używaniu tradycyjnych sloganów lecz przede wszystkim na poddaniu rewizji stosunków zewnętrznych, łączących partie i państwa komunistyczne.

P. Józef Mackiewicz powiada, że „emigracja polityczna zakłada nie wewnętrzną, legalną opozycję do panującego ustroju a negację tego ustroju, z zakwestionowaniem legalności ustanowionych przez niego władz i instytucji, aż do państwowości firm wydawniczych włącznie”. Czy skądinąd słuszne określenie emigracji nie zostało nieco przeholowane? Czy tracimy status emigranta po przeczytaniu książki wydanej w Polsce przez instytucje wydawnicze, wyłonione przez rząd komunistyczny? Czy każdy, kto otrzymał z Polski chociaż jeden list lub wysłał za pośrednictwem poczty polskiej choćby jedną paczkę do raju, przestał być emigrantem, zbrukawszy się kontaktem z reżymową instytucją?

P. Mackiewicz wprowadza mimochodem pojęcie statutu pisarza emigracyjnego. Skoro już o tym mowa, warto zastanowić się, na czym taki statut polega. Czy ogranicza się do strony negatywnej: zwalczania dyktatury komunistycznej, czy obejmuje również stronę pozytywną: starania o oswobodzenie Polski? Jestem osobiście przekonany, że pisanie do Kraju w pewnych okolicznościach może być jednym z czynników, przyczyniających się do uzyskania swobody przez Polskę. Jeśli tak jest, pisarz emigracyjny powinien starać się wykorzystać wszystkie zgodne z jego sumieniem okazje do pisania do Kraju, jeśli w ten sposób może we właściwy sposób wpłynąć na przemianę w Kraju.

P. Józef Mackiewicz lamentuje nad możliwością końca piśmiennictwa emigracyjnego. Ale przecież cała emigracja polityczna czeka na swą likwidację, na to, by nareszcie wygasł powód jej istnienia. Termin obumarcia piśmiennictwa emigracyjnego jest zagadnieniem do dyskusji, sam fakt wynika z istoty emigracji politycznej.

Sprawy poruszane przez p. Józefa Mackiewicza i jego poglądy są sprawą ważną. Obecnie, kiedy zaczynamy się dzielić na emigracji na dwa wielkie stronnictwa, tych, którzy widzą przemianę zachodzącą w Polsce,

i tych, którzy w nie nie wierzą, należy pilnie obserwować krystalizację poglądów obu grup.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Stanisław SZABŁOWSKI

Kraków, 8. III. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z przykrością przeczytałam w numerze marcowym „Kultury” notatkę w Kronice Londyńskiej dotyczącą mojej osoby. Równie przykro mi napisać że nielojalność była tu raczej nie po mojej stronie.

Przypmina Pan sobie rozmowę ze mną w Paryżu, a Pan Mieroszewski pamięta moje odwiedziny u niego w pierwszych dniach pobytu mego w Londynie. Obaj Panowie wiedzą — a wiedzą również wszyscy członkowie londyńskiego Związku Pisarzy obecni na spotkaniu ze mną w Londynie — że mój stosunek do uchwały tegoż związku z dnia 21 października ub. roku był i jest całkowicie negatywny. Wieczór autorski w Londynie pisarza przybyłego z kraju i wracającego do kraju był w moim pojęciu, a także jak sądzę w odczuciu wszystkich słuchaczy — zacieśnianiem a nie rozluźnianiem węzłów łączących Polaków na obczyźnie z krajem. Pan Mieroszewski był przeciwnego zdania. Postąpił jednak lekkomyślnie i niesłusznie imputując mi z tej okazji „solidaryzowanie się” z uchwałą o niedrukowaniu w kraju. Jest to nonsens nie tylko w świetle całej mojej działalności, ale przede wszystkim w świetle moich rozmów zarówno z nim, jak z Panem, Panie Redaktorze: 1) wypowiedziałam się krytycznie nie tylko o uchwale Związku Pisarzy, ale i o stanowisku zajęтым w „Kulturze” przez P. Mieroszewskiego, który względami pieniężnymi obwarowuje sprawę druku w kraju, o której powinno rozstrzygać tylko sumienie pisarza — moje stanowisko jest tu więc dalej idące niż stanowisko „Kultury”; 2) zaproponowałam nie komu innemu jak właśnie Panu Mieroszewskiemu w imieniu zespołu „Tygodnika Powszechnego” napisanie artykułu do tego pisma, wychodzącego przecież nie gdzie indziej jak w kraju.

Łączę wyrazy poważania

Hanna MALEWSKA

Paryż, w marcu 1957.

Drogi Panie Redaktorze,

Pragnę wyrazić moje zdziwienie notatką „Londyńczyka” o wizycie p. Hanny Malewskiej w Londynie. Wydaje mi się że całkowita swoboda z jaką poruszają się zagranicą przyjezdni z Kraju jest jednym z najbardziej zachęcających symptomów przemian jakie zaszły w Polsce. Co do mnie, nie mógłbym sobie wyobrazić „wolności”, która by mnie ograniczała do widywania ludzi dzielących nie tylko „obowiązujące oficjalnie”, ale nawet moje własne przekonania. Toteż „piętnowanie” publiczne w „Kulturze” znanej pisarki za przyjęcie zaproszenia emigracyjnego Związku Pisarzy czy wystąpienie z odczytem pod jego egidą wydaje mi się paradoksalne.

„Londyńczyk” operuje pojęciami zbiorowymi, jak „pisarze krajowi” i „pisarze emigracyjni”. Myślałam że „Kultura” jest zasadniczo przeciwna tego rodzaju schematyzacji, która może prowadzić do „jednolitych opinii” i „zbiorowej odpowiedzialności”. W stosunku do Kraju należy wyciągnąć logiczne wnioski z liberalnego stanowiska, które tak skutecznie i rozsądnie reprezentuje w „Kulturze” choćby Juliusz Mieroszewski. Wobec emigracji,

przypuszczałam że ankieta „Kultury” na temat uchwały Związku Pisarzy miała właśnie na celu wykazanie absurdalności wystąpień w imieniu fikcyjnej jednomyślności.

Nie widzę również dlaczego obecność p. Malewskiej na herbatce w londyńskim Domu Pisarza miałaby być dowodem jej „solidaryzacji” ze znaną uchwałą? Przypomina mi to „Geniusz Konsekwencji” Wazyka. Jest to argument idący, na pewno wbrew zamierzeniom „Londyńczyka” w kierunku totalizacji wizji świata.

Wreszcie, dlaczego filiżanka herbaty wypita przez p. Malewską miałaby się stać kielichem goryczy dla emigracyjnych pisarzy i publicystów, którzy na łamach „Kultury” zaprotestowali przeciw uchwale Związku? Mam wrażenie, że pisarze ci odpowiedzieli na ankietę „Kultury” właśnie dlatego, że wystąpienie Związku dawało fałszywe pojęcie o rzekomej „zbiorowej solidarności” pisarzy przebywających na emigracji, a wcale nie w celu stwarzania takich czy innych „frontów”.

Inicjatywa „Londyńczyka” w kierunku „nie fraternizowania się” z takimi czy innymi grupami w Kraju czy na emigracji wyda się, mam nadzieję, równie zabawna w treści jak w gramatycznej formie. Pomysł „Kordonu sanitarnego” wokół p. Terleckiego i p. Hermirii Naglerowej jest chyba dowodem do jakiego stopnia „Londyńczyk” przesiąkł anglosaskim „nonsense-humour”.

„Post-Scriptum” „Londyńczyka” wywołało u mnie żywiołowy odruch sympatii do nieznanej mi p. Malewskiej. Można oczywiście przypuścić że pisarz krajowy, mimo że wie jak wielu miłych, a nawet utalentowanych ludzi należy do londyńskiego Związku Pisarzy, może mieć wątpliwości czy, wobec monumentalnej głupoty uchwały tego Związku, należy przyjąć jego zaproszenie na niewinną herbatkę. Ale jeśli się temu pisarzowi „oświadcza” że byłby „nielojalnym” jeśli się go „informuje” i „ostrzega”, cóż pozostaje temu pisarzowi, który w Kraju z ulgą oddycha po dwunastu latach takich właśnie „telefonicznych rozmów”, jak upić się na umór „Lyons Tea” Terleckiego i najęść się „biscuitami” Kisielewskiego aż do niestrawności.

K.A. JELEŃSKI

Maisons Laffitte, 15. 3. 1957.

Ostra nagana udzielona przez Londyńczyka pani Hannie Malewskiej, „pisarce katolickiej” i zarzut „nielojalności” za to, że wbrew ostrzeżeniom przemawiała w Domu Pisarza w Londynie sprawił że wróciłem do jej „Żniwa na Sierpień”. W świetle tej książki o Norwidzie ocena postępowania pani Malewskiej wydała mi się na tyle krzywdząca, że wymaga zajęcia stanowiska.

Wiele razy zastanawiałem się co znaczy „katolicki pisarz” czy „katolicka pisarka”. Ma to całkiem inny wydźwięk pod piórem jakiegoś dajmy na to wyznawcy Maurasa a inny wyznawcy Brata Alberta, katolickim pisarzem jest nienawistnie, aż sadystycznie gromiący ludzi innego światopoglądu Bloy ale i Norwid.

Będąc w Londynie pani Malewska jakby nawet nie wzięła pod uwagę nieszczęsnej rezolucji Związku Pisarzy i poszła do nich jak do braci i przyjaciół. Ale czego można było oczekiwać innego od „katolickiej pisarki” typu Hanny Malewskiej, która pisząc książkę o Norwidzie w okresie najcięższej konspiracji, bez archiwów, „w tramwaju nie przy biurze”, tak wzięła się w świat wewnętrzny poetę, w jego etykę, jak w coś własnego i obowiązującego.

Norwid po śmierci Krasińskiego pisał o nim, jak o jedynym człowieku,

który umiał „szlachetnie się różnić”, może w Londynie wspomniała Malewska te słowa, do których parokrotnie w książce wraca. Czy potrafiłaby, gdyby myślała inaczej, tak pięknie napisać o Biskupie Epifaniuszu w „Przemiana postać świata”, który całe życie próbował godzić śmiertelnych wrogów i podczas tej samej Mszy modlił się za mordercę i zamordowanego?

Można mi zarzucić, że wytaczam zbyt ciężkie armaty dla sprawy względnie blahej, ale tu zgadzam się z Londyńczykiem „to nie jest drobnotka” — sprawa etyki pisarza. I może zasługuje przede wszystkim na miano pisarza katolickiego ten właśnie, który umie „szlachetnie się różnić”, nie sędzi, wybacza i jest człowiekiem

...któremu wystarczy

Pochylić czoła —

Żeby bez włóczni w rękę i bez tarczy...

Może tak właśnie manifestowała pani Malewska jak rozumie wolność pisarza, o którą przecie „Kultura” zawsze walczyła.

Józef CZAPSKI

Zamieszczając powyższe listy pp. K.A. Jeleńskiego i J. Czapskiego wyjaśniam, celem uniknięcia ewentualnych nieporozumień, że notatka Londyńczyka, dotycząca p. H. Malewskiej, reprezentuje stanowisko pisma.

Co do listu samej p. Malewskiej, to pragnę jedynie zauważyć, że byłoby znacznie lepiej gdyby swój stosunek do uchwały Związku Pisarzy w Londynie sprecyzowała publicznie na swoim wieczorku autorskim w tymże Związku — o co była proszona przez paru pisarzy. Nie próbowano by wtedy w Londynie interpretować jej postawy jako aprobaty znanej uchwały Związku Pisarzy.

Redaktor

Londyn, 11. 3. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze za styczeń-luty miesięcznika „Merkuriusz Polski” opublikowałem artykuł programowo-dyskusyjny pt. „Moralne prawo”, w którym poddałem krytycznej — choć z konieczności zwięzłej — analizie cały szereg aspektów emigracyjnej rzeczywistości z punktu widzenia młodszego pokolenia. Do chwili, gdy piszę ten list dyskusji nie podjął jeszcze nikt, natomiast zaatakowały mnie dwa pisma: londyńskie „Życie” i paryska „Polska Wierna”. Nie zamierzam tu odpowiadać na te elaboraty, bo i nie ma na co. Zamiast argumentów autorzy wytoczyli bowiem znany arsenał „pewników”: w „Polsce Wierniej” jakiś W.T. Żegota plecie o wodzie na młyn reżymowej propagandy i kryptokomunizmie, oraz wzdycha za średniowieczem, bo wtedy wolno było bezkarnie obić takich jak ja „żaków”. W „Życiu” J.B. (Bielatowicz?) rozwodzi się nad młodzieńczą lekkomyślnością i nad rzekomymi błędami w mojej polszczyźnie, które zaczerpnął od korektora (n.b. obu tych „wad” jakoś nie dostrzegali w ciągu mojej dziewięćdziesięciu lat współpracy z jego własnym pismem).

Nie, jeśli zabieram głos w „Kulturze”, to tylko w pewnej konkretnej sprawie, w której reakcja obu wymienionych pism jest czymś więcej niż przejawem myślowego lenistwa i zwykłej demagogii — jest wykrętą tendencyjnością. W artykule swoim poruszyłem między innymi kwestię obowiązkowego katolików na emigracji zakazu czytania pism krajowych, który

programowo odcina Polaków zagranicą od życia umysłowego, literackiego i w ogóle kulturalnego w Kraju. Stwierdziłem, że wobec przemian, jakie nastąpiły w Kraju, a objęły także pisma, tego rodzaju mechanicznie obowiązujący zakaz jest nie do utrzymania i powinien być poddany rewizji. Dziś już nie rozwiązuje sprawy także pozwolenie udzielane w razie potrzeby indywidualnie na przeciąg jednego roku, pod warunkiem, że (cytuje z tekstu takiego pozwolenia udzielanego przez Wikariusza Delegata dla Polaków w Anglii i Walii): „Czasopisma te należy przechowywać pod zamknięciem niedostępnym dla innych a po wykorzystaniu należy je zniszczyć względnie oddać właściwej księgarni”.

Zarówno „Życie” jak „Polska Wierna” — abstrahując od ich rzeczywistego oblicza — noszą w podtytuł słowo „katolicki”. Można więc było się spodziewać, że podejmą one tę część mojego artykułu i przytoczą jakieś argumenty. Tymczasem cóż się stało? Oba te pisma chwyciły się tego samego — bardzo brzydkiego zresztą — chwytu, mianowicie sfalszowały moją wypowiedź. Zakaz czytania pism krajowych z mojego artykułu stał się pod piórami pp. Żegoty i J.B. zakazem czytania pism „komunistycznych”, przy czym obaj stwierdzają, że zakaz taki wydała Stolica Apostolska i tylko ona może go zmienić. To ich zdaniem załatwia sprawę. Pomijam zawartą w takim stawianiu sprawy niesłuszną implikację, że raz wydane przez Watykan zarządzenie dyscyplinarne nigdy nie może być zmienione i że nie można się o taką zmianę starać. (Żegota nawet wprost przyznał dyscyplinarnym zarządzeniom kościelnym tę samą cechę niezmienności co... Dziesięciu Przykazań Boskim!) Chodzi mi o coś ważniejszego. Stolica Apostolska istotnie wydała zakaz czytania pism komunistycznych. Natomiast emigracyjne czynniki kościelne w swej nadgorliwości tępienia komunizmu (wiadomo kto jest bardziej katolicki niż papież) rozszerzyły interpretację tego zakazu na całość pism i wydawnictw krajowych. Bynajmniej nie jestem gołosłowny. Mam przed sobą cytowany już powyżej list Wikariusza Delegata, którego zasadnicze zdanie brzmi: „zezwalam niniejszym na czytanie lektury i wydawnictw krajowych”. (Słowo „lektura” jest w tym wypadku niezbyt szczęśliwym sformułowaniem językowym, ale z dalszej treści wynika, że chodzi o czasopisma). W całym liście nie ma mowy o pismach komunistycznych (słowo to w ogóle nie jest użyte), mowa jest jedynie o pismach krajowych. W interpretacji emigracyjnych władz kościelnych te dwa pojęcia są więc zapewne równoznaczne. W artykule chodziło mi o ukazanie absurdalności tego stanu rzeczy, który jest przejawem mentalności emigracyjnej. Jakże niezgrabnie więc usiłują Żegota i J.B. odwrócić kota do góry ogonem, gdy dają do zrozumienia, że zaatakowałem ni mniej ni więcej tylko Stolicę Apostolską.

Nie do przyjęcia dla Polaka jest postawienie znaku równania między słowem „krajowy” a słowem „komunistyczny”, jak na innych odcinkach, tak na polu prasy i wydawnictw. Mamy prawo domagać się, aby zakaz Stolicy Apostolskiej nieprzestano niewłaściwie interpretować na emigracyjnym podwórku. Jeśli władze duchowe pism krajowych nie czytują, istnieje prosta droga na określenie, jakie pisma krajowe są „komunistyczne” i „szkodliwe”. Nawet nie trzeba powoływać komisji ekspertów, która przestudiowałaby ostatnie roczniki „Twórczości”, „Po Prostu”, czy „Przeglądu Kulturalnego”... Wystarczy zasięgnąć opinii Prymasa i Episkopatu w Polsce. I do tej opinii się zastosować.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Bolesław TABORSKI

P.S.: Przy tej sposobności małe wyjaśnienie dla p. Żegoty który pisze o „piśmie studenckim ‘Merkuriusz Polski - Życie Akademickie’” i za „wybryki” redaktorów „Merkurysza” chciałby obić Bogu ducha winnych stu-

dentów. Żegota nie zauważył widocznie, że pod wspólną okładką i u tego samego wydawcy wychodzą dwa pisma, pod osobnymi redakcjami: „Merkuriusz Polski” jest niezależnym pismem młodych pisarzy i publicystów; „Życie Akademickie” jest pismem studenckim i organem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Nie należy więc przyczepiać się do jednego z tych pism za to, co się czyta w drugim.

Do Redaktora „Kultury”.

Paryż, dnia 8. 3. 1957.

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Czesława Miłosza o Pax'ie w ostatnim numerze Pańskiego miesięcznika. Artykuł ten komentuje książkę „Dieu contre Dieu” i jak książka ta, jak większość prasy krajowej, zawiera ostrą krytykę tej grupy.

Słuszności wielu spośród tych krytyk i tych ataków nie poddaję w wątpliwość. Ale jak zapomnieć, że w okresie minionym nie jeden tylko Pax popełniał błędy i szedł na daleko posuniętą współpracę z tym, co zależnie od momentu, w którym autor znalazł drogę do Damaszku, określa się jako berioższczyznę, stalinizm itd. Czasami warto przypomnieć ewangeliczną zasadę: Niech pierwszy kamieniem rzuci ten, co sam jest bez grzechu.

Z akcją Pax'u na terenie międzynarodowym stykałem się niejednokrotnie i starałem się w granicach naszych możliwości jej przeciwdziałać. Z Pax'owcami ostro polemizowałem parokrotnie na łamach pisma „Nouvel Horizon”. Wiem też ile zamętu w kołach lewicowo-chrześcijańskich wywołała ta organizacja.

Dziś jednak nie widzę powodu zwracania się ku przeszłości. Miernikiem naszego stosunku do winowajców minionej epoki winno stać się przede wszystkim ich zachowanie obecne. Wymaga tego nie tylko chrześcijańska zasada przebaczenia, ale i interes narodu. Zbyt wiele czeka nas zadań i trudności, by marnować energię na zakorzenione w dniu wczorajszym rozróbki personalne. Katolikom reżymowym proponuję autokrytykę, lub lepiej rachunek sumienia, katolikom bezprzymiotnikowym wyrozumiałość.

Maciej MORAWSKI

Addis Ababa, 1 lutego 1957.

Łaskawy Panie Redaktorze,

Pan Mieroszewski daje, w styczniowym numerze „Kultury” (pt. Ewolucjoniści i „Wyzwoleńcy”), na ogół doskonałą ocenę problemu polskiego. Ale w dziedzinie „tempa” demokratyzacji bardziej przekonywująca wydaje się opinia Gomułki. Polska jest krajem biednym i zagrożonym. Sejmokracja zostawiła w niej smutną pamięć. Na ryzyko parlamentarnej anarchii mogą sobie pozwolić, kosztem postępu, kraje bogate i względnie bezpieczne jak Francja. Nawet w optymalnej hipotezie ewakuacji wojsk sowieckich pozostałyby one, jako stała groźba, nad naszą granicą. Nie należy ani naciskiem emigracji na społeczeństwo w kraju, ani zbyt gwałtownym naciskiem społeczeństwa na Gomułkę, pozbawiać go „tchu” i manewru. Okazał się on dotychczas politykiem na miarę, w dziejach polskich, niezwykłą. Zapewnie nie kierowniczej roli światu pracy jest dziś w kraju postulatem słusznym politycznie, moralnie i socjalnie. Dalsze rozszerzanie demokratyzacji na partynę doły tegoż świata pracy jest także postulatem słusznym, ale jego tempo i zakres nie mogą przekroczyć „limitu” zagrożenia którego, na emigracji, wprost nie sposób wycenić. Paradoksalnie, sukces zależy także od tego czy niektórzy Polacy zechcą, mimo wolności, wydatnie pracować.

Pan Mieroszewski zaznacza że „każdy naród ma takich komunistów jakich sobie wychował”. Nasz naród, w warunkach najcięższych, wydał z siebie ludzi kierunku Gomułki. Demokracje zachodnie, jak wiemy, wyróżniły się produkcją komunistów typu nieco gorszego!

Pana Mieroszewskiego postulat gwarantowanej demilitaryzacji części Europy plus pomoc gospodarza etc. wydaje się jak najbardziej godny poparcia. Ale czy może skutkować wysunięcie go pod adresem Ameryki przez emigracyjnych „polityków niezależnych”? Na to by Ameryka się z takim postulatem liczyła na serio choć w najmniejszej mierze, musiałby on być wysuwany albo w akcji skoordynowanej z rządem polskim, albo co najmniej w oparciu o wagę wyborczą Polonii Zagranicznej (która chyba do tego nie dojrzała). Inaczej „postulat” wisi w próżni, lub w malutkim słoiczku propagandowym.

Z prawdziwym poważaniem

Jerzy KRZECZUNOWICZ

New York, marzec 1957.

W związku ze zrozumiałym zainteresowaniem społeczeństwa polskiego na emigracji akcją balonową prowadzoną przez Komitet Wolnej Europy — jako były kierownik zespołu redakcyjnego wydawnictw przesyłanych tą drogą do kraju, uważam za swój obowiązek podanie do wiadomości następujących faktów:

1) Akcja balonowa na Polskę została wstrzymana dnia 20-go października ubiegłego roku do czasu wyjaśnienia się sytuacji w kraju.

2) Wobec przywrócenia szeregu normalnych środków komunikowania się ze społeczeństwem w kraju, wznowienie akcji balonowej stało się bezcelowe i po 20-ym października żadne zrzućty wydawnictw Komitetu Wolnej Europy w Polsce nie miały miejsca.

3) W tych warunkach, uważając akcję balonową za zakończoną, w dniu 1-go marca br. złożyłem rezygnację z zajęcia w Komitecie Wolnej Europy. Informacje dotyczące całości akcji balonowej podam do wiadomości publicznej w stosownym czasie.

Dr Adam BROMKE,

S. Mateo, California, styczeń, 1957.

Szanowny Panie Redaktorze!

Notatka pani Zofii Cunningham („Kultura” 2/112), zatytułowana „Nec Hercules...” na tle „Baśki i Barbary” porusza pewne sprawy, do których chcę dodać „swoich pięć centów” z Ameryki. Zasadniczo zgadzam się niemal ze wszystkimi uwagami Sz. Autorki aż po kwestie, wylaniające się z małżeństw mieszanych (którym nie zazdroszczę).

Małżeństwo w ogóle jest wielkim kompromisem OBUstronnym, dlatego nie miałyby być minimalnym chociażby na tle językowym? Żaden język nie jest tak trudny, aby z miłości ku komuś (w tym wypadku najbliższemu) nie można go — chociażby liźnąć. Bez musu, bez gramatyki i bez składni z początku — ot po prostu z ciekawości, uprzejmości i... przyjemności.

Czyż obcojęzyczny małżonek nie jest nigdy zainteresowany, jak nazywa się w języku żony, którą (przyjmujemy) kocha, na przykład „knee” lub „legs” lub „bras”?... A tak po nitce (bardzo milej) do kłębka dojść można, ani się spozostregłszy, mając na uwadze, że rok ma 365 dni (i tyleż nocy!), a małżeństwo zasadniczo trwa przez długie lata.

Jeśli przyjmiemy — jedno słowo (lub słówko Boy'a) na dzień, przez dziesięć lat urośnie z tego... Orgelbrandt. 3.650 słów — to nie bagatela,

zważywszy, że słynny „Basic English” liczy tylko 850 słów, a podobno starczy go niemal na wszystko. Takimi sposobami powstało wielu „poliglotów”, do których sam się po części zaliczam.

Z dzieckiem natomiast — jeszcze rzecz łatwiejsza — uczy się bowiem najlepiej tak zwana „metoda małpia” przez powtarzanie, naśladowanie — nie zlebiając tajemnic języka. Sposób ten jest bynajmniej nie do pogardzenia, skoro sam wielki Berlitz na nim się głównie opiera. I znamy to powiedzenie pewnej paniusi, która zachwycała się faktem, że „we Francji każdy chłop mówi po francusku” (o gramatyce nie mając pojęcia!).

Muszę zakończyć przykładowym dysonansem. Mam kilku znajomych, wybitnych ludzi pióra, żonatych z cudzoziemkami przez długie lata. Będąc u nich — po zdawkowych uprzejmościach i banalach, o czym mówić? Oczywiście o „Kulturze”, o „Wiadomościach”, o ich pracach, o moim warsztacie. Żony bardzo się nudzą, a nawet... złością. Jest to co najmniej nieprzyjemne, a jak wykazałem — tak łatwe do usunięcia. Nie zrozumieć bowiem nigdy, aby po dziesięciu latach współżycia nie umieć jednego słowa po polsku, gdy druga strona „opływa” (z musu) w dostatki (i niedostatki) obcej mowy.

A jeśli w takim „trio” — mąż, żona (o różnych językach) i jedno dziecko — owe dziecko z matką lub z ojcem nie może się porozumieć, to jest to bezwzględnie wina jednego z rodziców, które uparcie (bo inaczej to trudno nazwać) ignoruje język drugiej strony z egoizmu lub despotyzmu, na co nie ma miejsca ani w małżeństwie ani w rodzinie!

Ale najsmutniejsze i najsmutniejsze zarazem jest zjawisko, kiedy mąż mówi jednym językiem, żona drugim — a między sobą rozmawiają... trzecim! W takim wypadku należałoby im tylko życzyć, aby przenieśli się do jeszcze innego kraju — i mówili do dzieci językiem czwartym. „Mein Liebchen, was willst du noch mehr”?...

Dla Szanownego Pana Redaktora — wyrazy szacunku.

S.L. LEWICKI

27 lutego 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mogłem oprzeć się zdumieniu, gdy w ankiecie „Kultury” znalazłem ustęp mego listu. Nie leżało w granicach mego zamiaru brania udziału w ankiecie, co zresztą z przedrukowanego ustępu jasno wynika. Była to tylko odpowiedź na artykuł p. Jeleńskiego, który swoją jednostronnością mocno przesolił.

Antysemityzm jest tematem wielce osobliwym i wymagającym dużej przedmiotowości po obu stronach. Wiedząc do jakiego stopnia obiektywizm jest obcy szczególnie dzisiejszym czasom z jednej — i małą wagą mego sądu z drugiej strony, byłbym rzecz przemilczał, gdyby nie artykuł p. Jeleńskiego, który wsadził szpilkę (jak się okazało nie tylko mnie) i wykrzesał przeciwdziałanie w formie na jaką ów artykuł, moim zdaniem, zasłużył.

Pragnę więc sprostować zaistniałe nieporozumienie.

Łączę wyrazy szacunku.

F. NAHALEWICZ

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2^e Trimestre 1957

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji:

91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszyska, r. Guara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-4	180 fr.	800 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderkade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlove Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; «Wiazkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomosci», Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonsenstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.Y.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

DOSKONAŁY BRYTYJSKI WARSZTAT DZIEWIARSKI
do robienia swetrów, pończoch i wszelkich trykotaży

SUPER *Knitmaster*

uzyskał wyróżnienie Brytyjskiego Instytutu Wzorowego
Gospodarstwa, który daje na każdy warsztat
12-miesięczną gwarancję.

FAKT, ŻE 90% WSZYSTKICH UŻYWANYCH W WIEL-
KIEJ BRYTANII WARSZTATÓW DZIEWIARSKICH —
TO MASZINY SUPER KNITMASTER, JEST DOSTA-
TECZNĄ GWARANCJĄ SOLIDNOŚCI I POPULARNOŚCI.

Oto 10 punktów wyższości tego znakomitego warsztatu,
który z łatwością może utrzymać całą rodzinę w Polsce:

1. dzierga 28 gr. wełny w 2-3 minuty;
2. daje wyniki takie same jak doskonała robota ręczna;
3. wykonuje w ciągu minuty 30 rządków i 5.000 oczek;
4. przyjmuje każdą wełnę, od
najcieńszej jednokrętowej do
najgrubszej;
5. jedna sekunda, jeden rząd; ;
całkowicie automatycznie;
6. wykonuje sweter w 45 minut
— jak to pokazano w lon-
dyńskiej Telewizji;
7. posiada wzmocnione wstaw-
kami stalowymi, nietłamiące
się łożyska igielne;
8. pracuje prawie bez-
głośnie;
9. posiada łatwy w
użyciu licznik rząd-
ków;
10. nie posiada grzebieni, od-
ważników, ani klamer lub
plastykowych skrobaczek.



Cena za model SURER 3500, wraz z licznikiem (który jest niezbędny
w pracy), wraz z dostawą DO DOMU w Polsce \$69.00.

Cena za model SUPER 4500 wraz z licznikiem i dostawą
jak wyżej — \$84.00.

Części zamienne dostarczamy natychmiast na żądanie.

Zamówienia indywidualne i hurtowe oraz wszelkie zapytania prosimy
kierować do nas jako do wyłącznych reprezentantów fabryki
na Polskę — Czechosłowację — Węgry — Z.S.S.R
Bulgarię i Rumunię.

WINTREX & Co Ltd - 51 Brompton Road
LONDON SW3, England